

PRZE KROŃ

nr 46 / 3047 • 16 listopada 2003

• cena 4 zł /w tym 7% VAT/

POSEŁ

ŚLEDZĄCY

ZBIGNIEW

ZIOBRO

W ROZMOWIE

Z NAJSZTUBEM

TWIERDZI,

ŻE JAKUBOWSKA

ZACZĘŁA SYPAĆ

LESZKA MILLERA.

KIEDY TO

ZROZUMIAŁA,

O MAŁO NIE

ZEMDŁAŁA.

KTO KŁAMIE?

PANI MINISTER

CZY MILLER?

Major Hieronim Kupczyk

BOHATER i OFIARA

ISSN 0033-2488

46



770033 248038

Indeks 371424



SZTUKA TWORZENIA SAMOCHODÓW

RENAULT Master

Wzorowo bezpieczny: dostępny ABS najnowszej generacji z elektronicznym korektorem siły hamowania EBV i z Systemem Wspomagania Nagłego Hamowania.

Wzorowo oszczędny: dłuższe przebiegi między przeglądami – nawet co 40 000 km.

Wzorowo komfortowy: nowoczesny wygląd przestronnej kabiny, komputer pokładowy kontrolujący eksploatację i zużycie paliwa. Nowy Master zapracował na najwyższą pozycję.

infolinia: (22) 575 99 99

www.renault.com.pl

Renault na prowadzeniu w kategorii samochodów użytkowych w Europie!



Pracownik miesiąca

na Czwartek **RACZKOWSKI**



Wymyślił i narysował: MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o sondażu OBOP, w którym po raz pierwszy od 1999 roku SLD utraciło pozycję lidera w rankingu preferencji partyjnych. Bo nie budujemy naszych nadziei na sondażach.

...o tym, że można być „kłamcą lustracyjnym” (tak jak wiceminister skarbu państwa Ignacy Bochenek, który – według sądu I instancji – zataił związki ze służbami specjalnymi PRL) i pełnić funkcję ministra, gdyż ustawodawca, zabraniając „kłamcom” pełnienia niektórych funkcji publicznych, nie wymienił stanowisk ministerialnych. Bo po co teraz załamywać ręce, skoro pan Bochenek zdążył już być wiceprezydentem Legnicy, wojewodą dolnośląskim, a od 1992 roku sprawdza się

także jako wiceprzewodniczący Dolnośląskiej Rady Unii Pracy?

...o niezwyklej przejawie aktywności polityków Unii Wolności odkrytym i upowszechnionym przez Polską Agencję Prasową – liście, jaki Bujak, Frasiński i Lis wystosowali do nagrodzonego milionem dolarów Leszka Kołakowskiego. Bo nie wydaje nam się sensacją, że ci trzej panowie umieją pisać.

...o obietnicy rozpoczęcia w drugiej połowie 2004 roku budowy autostrady A-1, łączącej Gdańsk z granicą polsko-czeską, ani o tym, że zdaniem ministra infrastruktury Marka Pola droga A-1 ma wielu „pozornych przyjaciół”, ale ci pozorni przyjaciele robią wszystko, by przeszkodzić

budowie tej autostrady”. Bo podobnymi wypowiedziami i obietnicami ministra Marka Pola można by wypełnić niejeden tygodnik, tylko kto to kupi?

...o zapytaniach, jakie Jarosław Sellin, członek KRRiTV, wystosował do prezesa Polskiego Radia w sprawie przeglądu prasy w „Sygnałach Dnia” w Jedyńce. Sellina bardzo zbulwersowało, że „obok jednego tekstu z tygodnika »Newsweek Polska« i »Przeglądu« przedstawiono dwa teksty z... tygodnika »Nie«. W dodatku (...) cytowano artykuł Jerzego Urbana”. Bo cenimy dociekliwość, ale nie nadgorliwość, i nie wierzymy, żeby Sellin nie słyszał nigdy o wolności słowa.

CYTAT tygodnia

Jako kobieta nie mam najlepszej opinii na temat umiejętności tanecznych pana prezydenta

RENATA BEGER komentująca wypowiedź Aleksandra Kwaśniewskiego, że przed komisją śledczą może zaśpiewać i zatańczyć



Fot. MACIEJ MACIĘŻYŃSKI/REPORTER



Fot. AP

**CZAT
Z BARTKIEM
CHACIŃSKIM**
W PORTALU
WIRTUALNA
POLSKA
WE WTOREK
18 LISTOPADA
O GODZ. 14.00



Fot. PRZEMYSŁAW POKRYK/REPORTER

40

Mistrz świata
w wydawaniu
pieniędzy
stał się
przed sądem

- 6 POWIĘKSZENIE Bohater i ofiara
- 18 PRZEKRÓJ TYGODNIA – wiadomości krajowe i zagraniczne
- 24 PYTAMY Marcina Króla o dobrodziejstwa anarchii
- 25 PRZEKRÓJ TYGODNIA – ludzie
- 26 KOMENTARZ
- 27 RAPORT MNIEJSZOŚCI Krzysztof Karasek „Studium ornitologiczne”

NAJSZTUB PYTA

- 28 PAŃSTWO BRONI MILLERA Zbigniew Ziobro opowiada też, o co podejrzewa prezydenta

GORĄCY DOKUMENT

- 32 CZEKIŚCI RZĄDĄ Byli (?) KGB-iści walczą z rosyjskimi multimiliarderami o władzę na Kremlu
- 36 KUPCY W ŚWIĄTYNI Kto skorzysta na pierwszym w Polsce zlicytowaniu parafii rzymskokatolickiej

LUDZIE!!!

- 40 UPADEK PUCYBUTA Dennis Kozłowski, najbogatszy biznesmen polskiego pochodzenia, kradł tak, jak nikt w Ameryce nie potrafił
- 44 APOSTOŁ GEJÓW Gene Robinson, homoseksualny biskup anglikański, może doprowadzić do rozpadu swojego Kościoła
- 46 LUBI DZIEWCZĘTA Andrzej Niemczyk prowadzi

polskie siatkarki do sukcesu. Sam zmagając się ze śmiertelną chorobą

- 50 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ
- 52 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

MEDYCYNĄ

- 54 NA RATUNEK KOBIECZOŚCI Możemy leczyć w Polsce nowoczesnymi metodami. Ale tylko za cenę samozaparcia i wielkich pieniędzy

INTERNET

- 58 ŻYCIE JEST TAM Nowy, wspaniały, wirtualny świat

PSYCHOLOGIA

- 60 MĘSKI UMYŚŁ Brzydsza połowa ludzkości ma kłopoty z uczuciami
- 62 INSPEKTOR GADŻET

PATRZĄC I CZYTAJĄC

- 64 OLBRZYM Malarski geniusz XX wieku – Francis Bacon

LISTY

- 73 TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

- 74 WYDARZENIE – Mocne uderzenie poezji

- 76 FILM – Dziadku, drogi dziadku...

- 78 MUZYKA – Do Heja niepodobne

- 80 KSIĄŻKI – Gra na dwa radia

- 82 TEATR – Freestyle na temat party life'u

- 84 TELEWIZJA – Najlepsze programy



64

Fot. KUNSTHISTORISCHE MUSEUM WIEN

ROZMAITOŚCI

- 86 DZIENNIK OSOBISTY MASŁOWSKIEJ; BRALCZYK; jolka

- 88 WINNY BIEŃCZYK i KULINARNE PIÓRO POLSKI; krzyżówka

- 90 RACZEJ RACZKOWSKI

62



MUZYKA



MODA



7-X FESTIWAL 7-X
FILMÓW RADZIECKICH
KINO POLONIA

NIEZNANE OBLICZA ROCK'N'ROLLA

Zapraszamy w podróż do niezwykłych miejsc Afryki, Azji i... Polski. Sprawdź w rock'n'rollowych rytmach czego jeszcze nie wiesz o modzie, filmie i muzyce szalonych lat 60-tych, 70-tych i 80-tych na kanale Discovery.

Prowadzi Wojciech Mann

Listopad z Discovery Channel

Rock na świecie
Moda
Na ekranie
Rock na świecie/Moda/Na ekranie

środa 12.11 o 22:00
środa 19.11 o 22:00
środa 26.11 o 22:00
niedziela 30.11 o 21:00



www.discoverypolska.com



powiększenie

TRZY TYSIĄCE OSOB WZIĘŁO UDZIAŁ W PONIEDZIAŁEK 10 LISTOPADA / POGRZEBIE POLEGŁEGO W IRAKU POLSKIEGO OFICERA HIERONIMA KUPCZYKA

Wspaniały kumpel, uśmiechnięty, odważny, towarzyski, nie do podrobienia, żartowniś, obowiązkowy, pracowity, rodzinny, dociekliwy, pryncypialny, wyrywny, żywiołowy, miłośnik muzyki (oprócz country), dobry tancerz, zapamiętały kibic – Szczecin i Polska pożegnały podpułkownika Hieronima „Kubę” Kupczyka



Fot. FORUM

BOHATER

Prezydent
Aleksander
Kwaśniewski
składa
kondolencje
żonie i córce
poległego
oficera

Fot. R. STACHNIK/REPORTER



Koledzy z XII Brygady wnoszą trumnę do kościoła garnizonowego

Fot. R. STACHNIK/REPORTER



Aleksander Kwaśniewski dekoruje trumnę Krzyżem Kawalerskim

Fot. P. GORALSKI/AGENCJA GAZETA (2)



Jolanta i Marta, żona i córka Hieronima Kupczyka, na ceremonii pogrzebowej

— Żegnamy Ciebie, panie pułkowniku, w starym żołnierskim pożegnaniu: Śpij, kolego, w ciemnym grobie, niech Ojczyzna śni się Tobie i Rodzina (...). Żołnierz nie umiera, żołnierz oddaje życie

— BISKUP POŁOWY WOJSKA POLSKIEGO
GENERAŁ SŁAWOJ LESZEK GŁÓDŹ

— Pułkownik Hieronim Kupczyk był nie tylko świetnym żołnierzem, dobrym mężem i ojcem, człowiekiem honoru. Uczynił coś więcej. Nie ma przecież większej ofiary niż ta, że ktoś oddaje swoje życie za innych

— PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Major Hieronim Kupczyk został pośmiertnie awansowany do stopnia podpułkownika i odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski

— Pułkowniku Kupczyk, przypadł mi smutny obowiązek poinformowania Twojej żony i córki o Twojej śmierci. Nie mogłeś mi zrobić nic gorszego. Kochałeś je obie z całego serca. Żyłeś dla nich. Zapewniam Cię, że nie zapomnimy o nich

— PUŁKOWNIK MARIAN KOŁACIŃSKI,
DOWÓDCA XII BRYGADY
ZMECHANIZOWANEJ W SZCZECINIE

— Szczecinianką jestem, to zobowiązuje. Też mam męża, zdaję sobie sprawę, że on też mógł tam być. Przyszłam na pogrzeb, bo jestem patriotką i w ogóle jestem Polką

— UCZESTNICZKA POGRZEBU



Fot. FORUM

LUDZIE ROZCHODZILI SIĘ W CISZY I SKUPIENIU. NA GROBIE ZOSTAŁY WIEŃCE OD NAJBLIŻSZYCH "UKOCHANEMU TATUSIOWI UKOCHANA CÓRKA", „UKOCHANEGO MĘŻA ŻEGNA ŻONA”



W dniu śmierci majora Kupczyka ktoś zdjął ze ściany w jego szczecińskim gabinecie kalendarz z samolotem. Tuż przed odlotem Kuba napisał na nim pisakiem: „Na pewno wrócimy wszyscy! Do zobaczenia za pół roku”

JOANNA GORZELIŃSKA
RAFAŁ MADAJCZAK



W samolocie do Iraku.
Major Kupczyk w środku



OPIARA

Na tym kalendarzu major Hieronim Kupczyk zaznaczył datę wylotu do Iraku



Powyżej: Był uczniem Szkoły Podstawowej nr 2 w Ostrowie Wielkopolskim. Obecnie w budynku mieści się gimnazjum

Arkusze ocen z podstawówki. Naukę rozpoczął w roku szkolnym 1966/1967



Hirek z mamą, siostrą (od lewej) i ojcem (z prawej) oraz zaprzyjaźnioną rodziną Maciejewskich na spacerze 1 maja 1961 r. w Ostrowie Wielkopolskim

ZGINĄŁ NAJLEPSZY. WSZYSCY, TYLKO NIE ON. MOŻEMY WYJŚĆ NA PLAC I SPYTAĆ CZŁOWIEKA, KTÓRY SŁUŻY TU KILKA LAT. ON POWIE OD RAZU: TO BYŁA CZŁOWA POSTAĆ TEJ JEDNOSTKI



Major Kupczyk pierwszy z lewej. Koledzy z jednostki, niezależnie od stopnia, mówili do niego po prostu Kuba

Starszy chorąży sztabowy Sławomir Politycki nigdy nie zapomni czwartku 6 listopada 2003 roku. – Kolega wszedł do pokoju. Myślałem, że jest pijany, a on wyduśił z siebie: „Chłopie, Kuba został postrzelony”. Moja pierwsza reakcja była taka, że twierdziłem. I wtedy radio podało, że Kuba zginął, rozplakałem się, wyszedłem, zakręciło mną niesamowicie – wyznaje Politycki. – O postrzale usłyszałem o godzinie 11, Kubę wtedy operowali – wspomina sierżant Gerard Cichocki. – Czekaliśmy, jak się zakończy, ale niestety... Nie dochodzi to jeszcze do nas – głos mu się łamie, w oczach ma łzy. – W piątek kupiłem „Głos Szczeciński”, jak jechałem do pracy, zacząłem czytać w tramwaju, nie dokończyłem, nie mogłem... – płacze Gerard.

Major Jan Czystoń, przyjaciel Kuby od 23 lat, był na kontroli w Stargardzie, gdy zadzwonił do niego kolega z informacją, że oficer w Iraku jest ciężko ranny. – Powiedział: „Janek, słuchaj, znasz faceta, uśmiechnięty...”. Kuba zawsze miał szczęście, w czwartek szczęście go opuściło – major nie jest w stanie powstrzymać łez. Wychodzi na chwilę z pokoju. Potem dodaje: – Spotkaliśmy się na bazarze tydzień przed jego wylotem. Pamiętam, radziłem mu: „Kuba, kup sobie dobrą koszulkę, skarpety z goreteksu”. Powiedział, że jak mu badania lekarskie źle wypadną, to po prostu nie pojedzie. Koledzy majora Hieronima Kupczyka z XII Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie oprowadzają nas po jednostce, pokazują miejsca, z których go pamiętają, i próbują opowiedzieć swój żal. Wszyscy mówią o nim po prostu Kuba.

– Liczył się z możliwością odejścia z armii, może na koniec chciał zobaczyć kawałek świata, więc poleciał na misję do Iraku – przypuszcza starszy chorąży sztabowy Piotr Tobolski. – Jemu ten wyjazd nie był potrzebny, on miał wszystko – uważa Czystoń. – Zginął najlepszy – dodaje Sławomir Politycki. – Po prostu ktoś musiał zacząć i akurat padło na Kubę – wtrąca Czystoń.

ROZMAWIALIŚMY O ŚMIERCI

Kuba był nie do podrobienia – mówi pułkownik Marian Kołaciński, zastępca dowódcy XII Brygady Zmechanizowanej, w której major Kupczyk od 21 lat przechodził kolejne stopnie kariery. – Wszystkie wyzwania, które przed nim stały, zrealizował – kiwa głową Kołaciński. Dodaje, że major pojechał do Iraku, bo chciał sprawdzić swoje umiejętności

w realnych warunkach. – To była jego inicjatywa, nikt go do tej decyzji nie zmuszał. Politycki: – Ciągłe widzę go w lanosie, jak czeka na żonę, tutaj, na parking. Stoi przed bramą, Jola wychodzi i razem jadą do domu. Myślałem, że zawsze tak będzie. Wczoraj w nocy do późna walczyłem z tymi myślami. Żona majora Kupczyka Jolanta pracuje w jednostce jako księgowa. Mieszkali w bloku na wojskowym Osiedlu Samosierry. Jan Czystoń: – Nasze żony się przyjaźniły, razem jeździliśmy w góry, spędzaliśmy sylwestra. Wiem, że Jola bardzo przeżywała jego wyjazd do Iraku i próbowała go powstrzymać. – Była pełna obaw w związku z jego wyjazdem. Chyba nawet była przeciw – zastanawia się pułkownik Kołaciński. – Teraz mi powiedział, że jej życie straciło sens. Kuba był dla niej ostoją. Marta, jedyna i ukochana córka

Kuby, zareagowała bardzo spokojnie. Kiedy dowiedziała się, co się stało, poszła do kościoła.

Marta ma 21 lat, studiuje oceanologię na Politechnice Szczecińskiej.

– Przed wyjazdem wielokrotnie rozmawialiśmy z Kubą o śmierci – wspomina pułkownik Kołaciński. – Raz: w ramach szkoleń, dwa: w ramach dyskusji przy piwie. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wojna, którą zaczęli Amerykanie, przyniesie ofiary. Kuba jako doświadczony dowódca miał dostęp do informacji z Iraku. Wiedział, że ogień i kule świszczą nad głowami, a nocą na niebie widać ogniki z karabinów – mówi pułkownik.

NIE BAŁ SIĘ STARCIA

Wchodzimy na salę gimnastyczną. Major Kupczyk spędzał tu kilkanaście godzin tygodniowo. Podczas gry w piłkę odreagowywał stresy związane z pracą i nawiązywał przyjaźnie z kolegami z jednostki. – Tutaj go poznałem – mówi Politycki. – Znalazłem się wtedy na metalowej siatce osłaniającej kaloryfery, bo Kuba był jak ściana, silny, a ja taki szczyporek. Ale się nie dałem.

– Kiedy wszedłem do niej do domu, żona już wiedziała, o co chodzi. Nie ma reguły, jak przekazać rodzinie taką wiadomość. Trzeba mieć takt, wyrozumiałość...

PUŁKOWNIK MARIAN KOŁACIŃSKI
Z XII BRYGADY ZMECHANIZOWANEJ



Był wiernym kibicem Pogoni Szczecin. Piłkę z podpisami piłkarzy trzymał w swoim gabinecie w jednostce

Żołnierze wspominają, że Kuba na boisku był bystry, energiczny, śmiał się donośnie. Człowiek żywioł. Typowy napastnik o niełatwej wytrzymałości, ale bardzo szybki. Silnej postury, nie bał się starcia. – Miał w sobie wewnętrzną zapalniczkę, który mnie podrywał – mówi Politycki. – Był jak Romario. Czasem zresztą nazywaliśmy go imieniem brazylijskiego napastnika.

Gerard Cichocki, który grał na pozycji rozgrywającego, uśmiecha się: on był „sępen”, cały czas do przodu. Nigdy się nie cował, interesowało go tylko strzelanie bramek. Major Czyszczoń zapamiętał jego typowe zagranie – „kiwka w prawo, pójście na lewo”.

Kupczyk nie tylko strzelał bramki, był także zapalonym kibicem. Uwielbiał chodzić na mecze, nawet te najgorsze. Na półce w jego gabinecie w eksponowanym miejscu leży piłka z autografami piłkarzy Pogoni Szczecin, w tym reprezentacyjnego bramkarza Radosława Majdana.

COŚ NA UKOJENIE

– Był tak dociekliwy i pryncypialny, że nic mu nie umknęło. Przede wszystkim wymagał od siebie – mówi pułkownik Kołaciński.

Politycki: – Pamiętam, że jak byłem chorąży, a on już wtedy chyba kapitanem, nie mieliśmy relacji typu „panie chorąży, panie kapitanie”. Było tak jak na boisku: „Cześć, Kuba”. Po tym się poznaje ludzi.

– Na poligonach przez lata spaliśmy pod jednym namiotem i jednym krzakiem – wspomina pułkownik. Podczas ćwiczeń na poligonie rubasznosc Kuby mobilizowała ludzi. Potrafił rozładowywać napięcie w trudnych chwilach. Ciągłe żartowanie. – Miał taki donośny głos, że jak meldował się w lesie, to szyszki spadały – wspomina Politycki. – Na odprawach najpierw ruglowo podwładnych, a potem mówił: „Panie pułkowniku, teraz coś na ukojenie”, i walił żart. Odprawa się kończyła, wszyscy wracali do roboty i już atmosfera była weselsza – dodaje Kołaciński. – Był bardzo odporny fizycznie. Niekiedy podczas ćwiczeń, które trwały cztery dni, wcale nie kładł się spać.

– Kiedyś na trzecią w nocy była wyznaczona zbiórka w lesie. Co niektórzy z powodu zmęczenia mieli problemy, żeby się punktualnie zjawić. Hieronim Kupczyk oczywiście był jak zawsze przed czasem – potwierdza Politycki.

Chociaż major od siebie wymagał wiele, dla podwładnych był wyrozumiały. – Zawsze mogłem na niego liczyć – mówi chorąży sztabowy Piotr Tobolski. – Dwa lata temu zmarła mi matka, powiedziałem mu, że muszę załatwić kilka spraw. Nie musiałem nic wyjaśniać, od razu dał mi tydzień urlopu.

PRZYGODA NA KONIEC SŁUŻBY

Ze szczecińskiej jednostki do Iraku poleciało ponad 200 żołnierzy. Większość z nich wyruszyła z tego samego Osiedla Samosierry, na którym mieszkał major Kupczyk. Ich żony są sąsiadkami. Spotykają się w sklepie, odwiedzają w domach.

Pułkownik Kołaciński od razu zawiadomił rodziny żołnierzy przebywających w Iraku o śmierci majora Kupczyka: – Wszystkie kobiety do wieczora miały kontakt ze swoimi mężami i synami. Ale i tak żony dzwoniły tutaj do mnie i dopytywały, co się stało.

– Strach był we mnie od początku, ale na pewno teraz jest bardziej świeży – mówi Arletta, żona podpułkownika Janusza Adamczaka. – Mąż stara się dzwonić prawie co-

dziennie i mnie uspokajać. Zapewnia, że jest spokojny, ale jak jest naprawdę, tego nie wiem. Mamy troje dzieci. Mąż rozmawia też z dwuletnią córką. Robi wszystko, co może, żeby rozładować atmosferę, żeby w domu nie przygniotła nas psychoza strachu.

– Dziś trzeba umieć odpowiedzieć własnym dzieciom. Pytają, co z tatą, czy on też może się znaleźć w takiej sytuacji... Patrzą na mnie, przyglądają mi się – mówi z kolei żona innego żołnierza. – Zdarzyło się coś okropnego, mogę się tylko pochylić i milczeć. Muszę to sobie jakoś poukładać, żeby jutro przeżyć dzień jako tako normalnie.

Politycki pamięta ostatnią rozmowę z Kupczykiem: „No co, Romario, jedziesz?”, zapytał, a Kuba na to: „Tak, przygoda na koniec służby”.

Zaraz po przylocie w rejon Zatoki Perskiej major Kupczyk wysłał SMS-a do Jana Czyszczońskiego: „Pieńko na ziemi, Sąd Ostateczny za żywota”.

JOANNA GORZELIŃSKA
RAFAŁ MADAJCZAK

WSPÓŁPRACA KRZYSZTOF BĄK, RADIO ZET

JUTRO MNIE NIE MA W PRACY. MOŻESZ ZA MNIE ODRABIAĆ ZALEGŁOŚCI – LUBIŁ ŻARTOWAĆ. POZUCIE HUMORU, Z KTÓREGO BYŁ ZNANY W JEDNOSTCE, NIE OPUSZCZAŁO GO TEŻ W IRAKU



„Za co ty walczysz, cóż chcesz w nagrodę, Polski Żołnierzu? (...) Śmiech w każdym domu, pieśń w każdej chacie Wolnych pod stropem wolnego nieba. A jeśli trzeba... A jeśli trzeba Oddać życie swe młode, Polski żołnierzu!”
Pamięтка z I Wiosennego Spotkania Dowódców, 2002 rok

Gabinet majora Kupczyka w szczecińskiej jednostce

Jedna z fotografii zdobiących ściany gabinetu. Pierwszy z prawej stoi major Kupczyk

Wojskowe Osiedle Samosierry w Szczecinie. Okna mieszkania państwa Kupczyków

Ślub Jolanty i Hieronima. Lato 1981 roku

FOT. ROBERT STACHNIK/REPORTER, ZDJ. I REPR. AGENCJA FORUM (4)

Wojciech Szczęsny/Agencja Super Press



Krewni 24-letniego kaprala Wilfredo Pereza zastrzelonego na posterunku pod szkołą w Bagdadzie. Poniżej: Pogrzeb 20-letniego szeregowca Matthew Busha



DO KRWI OSTATNIEJ

Stabilizacja Iraku zamienia się w okupację kraju ogarniętego powstaniem. Tylko w pierwszym tygodniu listopada koalicja straciła 35 żołnierzy

Zanim konwój z rannym w szyję majorem Hieronimem Kupczykiem dotarł do szpitala wojskowego w Karbali, na drugim końcu Iraku w zasadzce zginął właśnie 21-letni szeregowy James Wolf z Nebraski. Pocisk z granatnika ranił też sześciu jego kolegów. Tego samego dnia w wojskowym szpitalu w Hamburgu zmarł sierżant Paul Fisher. Został 16. ofiarą zamachu na śmigłowiec transportowy pod al Falludżą. W miniony piątek na brzegu rzeki Tygrys nieopodal Tikritu roztrzaskał się kolejny amerykański śmigłowiec z sześcioma żołnierzami na pokładzie. Zestrzelono go z ręcznej wyrzutni rakiet. Te ataki pokazują, że nawet w powietrzu Amery-

kanie nie są bezpieczni, a operacja „Iracka Wolność” przestaje być bezładną strzelaniną z niedobitkami reżimu Saddama Husajna. Zasadzki na żołnierzy koalicji są dokładnie planowane. Zaczyna się od strzału z ręcznej wyrzutni rakietowej albo detonacji bomby. Ci, którzy przeżyją, giną od serii z kałasznikowów. Napastnicy znikają, zanim nadciągnie odsiecz. Coraz częstsze stają się też wypadki ostrzelania żołnierzy z przejeżdżających samochodów. Latem w Iraku dochodziło codziennie do kilkunastu, najczęściej nieudanych, ataków na Amerykanów. Dziś jest ich od 30 do 40 w ciągu doby. Tylko w pierwszym tygodniu listopada siły koalicji straciły 35 żołnierzy. Jednym z nich był major Kupczyk.

To już nie są odosobnione ekscesy. Jeszcze w maju właśnie tak wyjaśniano śmierć kaprala marines Jakuba Henryka Kowalika. Polski emigrant liczył, że wyjazd do Iraku zapewni mu amerykańskie obywatelstwo. Podobnie myśleli Meksykanie czy Haitańczycy zaciągający się na wojnę do Iraku. Po narastającej, półrocznej fali ataków morale armii, która składa się w dużej mierze z imigrantów, osłabło na tyle, że Pentagon sięgnął po dawno zaniechane środki. Po raz pierwszy od czasów wojny wietnamskiej wojskowy prokurator postawił amerykańskiemu żołnierzowi zarzut tchórzostwa. 32-letni sierżant Georg-Andreas Pogany załamał się, gdy zobaczył Irakijczyka rozerwanego na strzępy serią z karabinu maszynowego.

By nie pogarszać sytuacji, Pentagon stara się nie rozpowszechniać zdjęć żołnierzy wracających do domu w trumnach.

STABILIZACJA POWSTANIA

To, co miało być misją stabilizacyjną w Iraku, coraz bardziej przypomina okupację kraju ogarniętego wojną partyzancką. W Iraku nie ma dziś czego stabilizować. Po serii krwawych zamachów na siedziby organizacji międzynarodowych cywile, którzy mieli odbudowywać zniszczony kraj, w popłochu z niego uciekli. Zrobiło się tak niebezpiecznie, że ONZ zredukował swój personel do poziomu, który uniemożliwia nawet dystrybucję żywności (zależy od niej los 60 procent Irakijczyków). Wyjeżdżali Lekarze bez Granic i Czerwony Krzyż, zatakowany po raz pierwszy od 140 lat.

W Iraku zostali prawie sami żołnierze. Z Ameryki, Wielkiej Brytanii i kilkudziesięciu innych państw dowodzona przez Polaków. Według Waszyngtonu Irak stał się tymczasem głównym polem bitewnym wojny z terroryzmem. Z całego świata ściągają tam zwolennicy oczyszczenia świętej ziemi kalifów z niewiernych. Ocenia się, że przyjeżdżnych bojowników fundamentalistów jest w Iraku kilka tysięcy.

We wrześniu w Egipcie aresztowano 23 młodych mężczyzn z Egiptu, Bangladeszu, Turcji i Indonezji, którzy planowali wyjazd na świętą

wojnę do Iraku. Miesiąc później Syria deportowała Algierczyka, który organizował przerzut radykałów do okupowanego Iraku. Razem z nim aresztowano mieszkającego w Niemczech Syryjczyka, który był w tym samym meczecie w Hamburgu co Mohammed Atta, przywódca porywaczy z 11 września. Odkąd jedna z arabskich telewizji wyemitowała wystąpienie Osamy ben Ladena wymieniającego kraje okupujące Irak, nie ma już znaczenia, kto jest Amerykaninem, kto Hiszpanem, a kto Polakiem.

NIKOŃCZĄCA SIĘ LISTA

Akcje, dotychczas przedstawiane jako chaotyczne zrywy niedobitków reżimu, przybierają rozmiary powstania. Według różnych źródeł mogą nimi kierować albo bliski współpracownik Saddama Izzat Ibrahim al Douri, albo Abu Musab Zarqawi, który do upadku irackiego reżimu kierował komórką Al-Kaidy w Kurdystanie. Opór przeciwko amerykańskiej okupacji zaczyna wylewać się poza teren tak zwanego trójkąta sunnickiego, zamieszkanego przez klany dożgonnie wierne Saddamowi.

Przynajmniej dwa ataki z ubiegłego tygodnia miały miejsce w Mosulu na północy Iraku, w rejonie dotąd względnie spokojnym, kontrolowanym przez sprzymierzonych z Amerykanami Kurdów. W polskiej strefie jeszcze przed

ostrzelaniem konwoju majora Kupczyka dochodziło do ataków na polskich żołnierzy.

Ataki będą się powtarzać, bez względu na to, czy Polaka zabił fedain Saddama, bojownik Al-Kaidy, czy miejscowy chłop, któremu nie podoba się, że przez jego wioskę jeżdżą obcy żołnierze. Major ze Szczecina był kolejnym żołnierzem koalicji zabitym w Iraku po 1 maja, kiedy to George W. Bush ogłosił koniec wojny w tym kraju. Zanim ten numer „Przekroju” wyjechał z drukarni, lista poległych znów się pewnie wydłużyła.

JAKUB MIELNIK

ATAKI W LICZBACH

W tej chwili w ciągu doby w Iraku dochodzi do **30-40** ataków na siły koalicyjne. Od 1 maja (formalne zakończenie działań wojennych) w walkach poniosło śmierć **149** Amerykanów, **12** Brytyjczyków i **1** Polak. Rannych zostało **1900** amerykańskich żołnierzy. Dla porównania – w pierwszym miesiącu wojny zginęło **15 000** Irakijczyków, w tym **8000** cywilów

PRZYJACIEL TWOJEGO PRZYJACIELA
JEST TWOIM PRZYJACIELEM



WIĘC POWINIENEŚ GO LUBIĆ

TYDZIEŃ ...STRAT:

Tony Rickardsson, szwedzki żużlowiec jeżdżący w Polsce, stracił w skradzionym mercedesie wartym 120 tysięcy złotych sprzęt rajdowy za 180 tysięcy złotych.

Konwój bankowy stracił 200 tysięcy złotych podczas bandyckiego napadu w Warszawie.

Brytyjski książę Karol stracił opinię heteroseksualisty.

...REMISÓW

W II rundzie Pucharu UEFA Wisła Kraków zremisowała z Vålerengą Oslo 0:0, a Groclin 1:1 z Manchesterem City.

...I ZYSKÓW:

Ludzkność zyskała nowy lek na erekcję, który działa podobno nieprzerwanie przez półtora dnia.

Leszek Kołakowski zyskał milion dolarów Nagrody im. Johna Klugego za myślenie.

Polscy archeologowie zyskali od Libii fascynujące tereny wykopaliskowe.

Obraz „Landhaus am Attersee” Gustava Klimta zyskał na aukcji rekordową cenę 29 milionów dolarów.

Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski zyskał po raz kolejny pewność, że nie ma nic nowego do powiedzenia komisji badającej aferę Rywina.

Zyskałiśmy wiedzę, jak się kończy trylogia „Matriksa”.

krótko

ROGALE WZORCOWE



Rogale z Poznania szykują się do wejścia do Unii Europejskiej. Na razie nowo powstała Kapituła Rogala Świętomarcińskiego ustaliła wzór rogała, a jej członkowie (oglądając i smakując) ocenili wypieki 82 pracowni cukierniczych. Wymogów nie spełniało jedynie sześć. Reszta otrzymała certyfikaty, które potwierdzają zgodność wyrobu z trzema regulami rządzącymi poznańskim rogałem: powinien opierać się na cieście półfrancuskim, a jedyne dopuszczalne nadzienie to biały mak, do którego dodaje się migdały. Ważna jest też estetyka wykonania: należy zwracać uwagę na pomadę, która wygładza nierówności wypieku.

PODERWAŁ TYSIĄCE

ROBBIE WILLIAMS POTRAKTOWAŁ POLAKÓW POWAŻNIE: ZREZYGNOWAŁ Z WYSTĘPU NA GALI NAGRÓD MTV, BY POKAZAĆ SIĘ W KATOWICACH

Brytyjskiemu wokaliście Robbie'emu Williamsowi szacunek należy się nie tylko z powodu poważnego traktowania występu w Polsce. Williams potrafił bowiem naprawdę rozruszać dziewięćdziesięcioletnią publiczność w Spodku – również przypadkowych gości, którzy przyszli, bo po prostu wypadało się na Robbiem pokazać.

Pokazał kondycję, głos i poczucie humoru, układając naprędce piosenkę nawet do naszego prostego „dziękuję”. Ucałował na scenie jedną z fanek, po czym przeprosił za to ze sceny jej chłopaka.

Cały koncert trwał godzinę i 40 minut. Robbie Williams z publicznością potrafił się nie tylko przywitać, lecz także bardzo długo żegnać, dziękując

jej za ciepłe przyjęcie – na bis wykonał cztery piosenki. Przy „Rock D” piosenkarz owinał się polską flagą i oświadczył, że kocha nasz kraj, na dobranoc zaśpiewał „Angel”, a potem niespodziewanie został na noc w Warszawie, gdy okazało się, że z powodu mgły nie odleci jego samolot do Moskwy.



Podczas koncertu w Katowicach Williams wyśpiewał wszystkie swoje hity

GRANAT NA KORUPCJĘ

NA FILIPINACH DWÓCH MĘŻCZYZN POSUNĘŁO SIĘ DO AKTU TERRORU, UZASADNIAJĄC GO WALKĄ Z KORUPCJĄ. OBAJ POLEGLI

Do wieży kontroli lotów w stolicy Filipin Manili wtargnęło dwóch uzbrojonych mężczyzn. Mieli ze sobą pistolety, granaty i środki wybuchowe. Natychmiast wezwano siły bezpieczeństwa i podstawiono karetki. Nie były potrzebne.

Panfilo Villaruel, 62-letni szef urzędu lotnictwa, oraz emerytowany porucznik marynarki Ricardo Gatchalian wyjaśniali właśnie dziennikarzom przez telefon motywy swojej desperackiej akcji. Zajęcie wieży było ich protestem przeciw wszechobecnej korupcji. Podczas tego wywiadu kierujący antyterrorystami minister transportu Leonardo Mendoza rozkazał atakować. – W obawie o bezpieczeństwo lotów – wyjaśniał.

Pasażerowie w terminalu usłyszeli strzelaninę dochodzącą z wieży. Minister odrzucił zarzuty, że snajperzy dokonali egzekucji desperatów. Według niego to oni pierwsi otworzyli ogień do żołnierzy. Do policyjnej ciężarówki przed terminalem wrzucono dwa worki ze zwłokami.

Z tegorocznego indeksu organizacji Transparency International wynika, że filipińska elita nie ma czystych rąk. W rankingu uczciwości Filipiny zajmują odległe 92. miejsce na 133 państwa. Polska jest na 64. miejscu.



Lynch z bratem podczas uroczystego powrotu do rodzinnego miasteczka

LEGENDA W PROSZKU

BYŁY
ŻOŁNIERZ
ARMII USA
W IRAKU,
BOHATERKA
NARODOWA
JESSICA
LYNCH,
POTWIERDZA,
ŻE JEJ
HEROICZNA
HISTORIA
WYMYŚLIŁ
PENTAGON

rowana i dręczona przez lekarzy sadystów.

Prawda była inna. Lynch wykreśliła numer propagandzistom. W wywiadzie dla telewizji ABC ujawniła, że nie wystrzeliła ani jednego pocisku. – Padłam na kolana i zaczęłam się modlić. Potem nic nie pamiętam – mówiła. „Bohaterka” została ciężko ranna, bo jej auto wpadło na ciężarówkę. Odzyskała przytomność po trzech godzinach. Wbrew oficjalnej wersji pamięta, że w irackim szpitalu otoczono ją opieką. – Nie myślę o sobie jako o bohaterce, tylko o ocalonej – mówi Lynch. Rewelacje zbiegły się w czasie z publikacją książki Lynch „Ja też jestem żołnierzem”, na której zarobiła pół miliona dolarów.

W następnym numerze „Przekroju” opiszemy, jak Pentagon sfabrykował historię Jessiki Lynch.

krótko



SPOKOJNIE, TO TYLKO DESKA

43-letnia Francuzka przepłynęła samotnie Ocean Spokojny na desce windsurfingowej. **Raphaella le Gouvello** płynęła szlakiem ekspedycji Kon-Tiki Thora Heyerdahla z 1947 roku – z Peru na Tahiti. Przez 89 dni przebyła osiem tysięcy kilometrów, opędzała się od rekinów, walczyła z chorobą morską i z falami. Codziennie po siedmiodzinnej wędrówce odpoczywała, spała i jadła w wodoodpornym przedziale specjalnie przygotowanej deski windsurfingowej. Tę długą na niemal osiem metrów łódź wyposażono w baterie słoneczne i zapobiegające wywróceniu poduszki powietrzne. Windsurferce towarzyszył statek, który nie podpływał jednak bliżej niż na 200 metrów, aby wyczyn mógł zostać uznany za samodzielny.

RACHUNEK BEZ ZAPŁATY

WŁADZE WARSZAWY OSZACUJĄ WARTOŚĆ ZNISZCZEŃ WOJENNYCH W STOLICY, ALE WYSTĄPIENIE DO NIEMCÓW O ODSZKODOWANIE JEST WĄTPLIWE

Choć odszkodowanie jest pomysłem Ligi Polskich Rodzin, to rada miasta (w tym radni PO i SLD) niemal jednogłośnie zobowiązała prezydenta Lecha Kaczyńskiego do przygotowania odpowiedniej uchwały. Ma ona określić zasady oszacowania strat, jakie poniosła Warszawa podczas wojny.

– Podchodzę do sprawy z szacunkiem, ale i powściągliwością – powiedział nam profesor Władysław Bartoszewski. – Jeśli mamy cofnąć się o lat 60, to dlaczego nie o 80 albo 200, gdy Prusacy najeżdżali miasto podczas zaboru? Pomysł rady byłby też niebezpiecznym precedensem, bo otworzyłby worek z roszczeniami od Uralu po Łabę.

Po wojnie żadne odszkodowania za zniszczenia nie trafiły do właścicieli zbombardowanych domów na Zachodzie. Jednak żadnego miasta Niemcy nie



Niemcy zburzyli 85 procent budynków stolicy Polski

zniszczyli tak planowo jak Warszawę.

Zdaniem Romana Giertycha zgodnie z wyliczeniami przeprowadzonymi w 1988 roku przez profesora Alfonsa Kłafkowskiego wartość ewentualnych roszczeń w całym kraju wynosiła wtedy aż 480 miliardów dolarów. Ale nawet jeżeli zniszczenia będą wycenione, wystąpienie z roszczeniami wobec Niemiec nie jest pewne. – Będzie to zależeć od sytuacji politycznej – mówi Lech Kaczyński.

(MAX)

CYFRO- MAT

Około dwóch milionów osób w Polsce choruje na astmę.
890 tysięcy nie ukończyło 19. roku życia
Ponad 200 dziennikarzy zostało zabitych w Rosji od upadku ZSRR w 1991 roku
Pięć godzin dziennie spędzają przed komputerem lub telewizorem brytyjskie dzieci w wieku do trzech lat.
42 procent z nich ma własny telewizor
2151 odrzutowców pasażerskich na świecie czeka na złomowanie
370 tysięcy chorych umyślowo siedzi w amerykańskich więzieniach, 80 tysięcy – w szpitalach psychiatrycznych

© Harpers Magazine – Tribune Media Services International 2003.

WRÓG TWOJEGO WROGA
JEST TWOIM PRZYJACIELEM



TEŻ POWINIENIEŚ GO LUBIĆ



MEDIA POD DIALIZĄ

BYŁA AFERA DIALIZOWA CZY NIE?
– ZOSTALIŚMY ZMANIPULOWANI PRZEZ
POLICJĘ – TWIERDZĄ ŁÓDZCY DZIENNIKARZE



Dializę – zabieg oczyszczania krwi z toksyn – stosuje się u chorych z niewydolnością nerek. Pacjent podłączany jest do sztucznej nerki. Z jednej strony przepływa przez nią krew, z drugiej płyn, do którego przez błonę półprzepuszczalną przenikają toksyny

Fot. DARIUSZ KULESA/AG (2)

Najpierw Polską wstrząsnęła wiadomość, że pacjenci dializowani w łódzkim szpitalu od pięciu lat są podtruwani. O zatrzymaniu sprawców trucia – szanowanego lekarza i jego konkubiny – poinformowała tryumfalnie policja.

Gazety nie sprawdziły dokładnie policyjnych informacji i następnego dnia prasę obiegły przerażające artykuły: w płynach dializowych miały być metale ciężkie i inne szkodliwe substancje używane do produkcji nawozów. Pacjenci wpadli w popłoch. Lekarza, który według policji zawinił, wysłano na bezpłatny urlop. Jego kariera została zniszczona.

Po dwóch miesiącach dziennikarze „Gazety Wyborczej” opublikowali artykuł „Antyafe-

ra”. Policja popełniła błąd albo – jak twierdzą niektórzy – świadomie rozpętała aferę, której nie było. Po co? Nikt nie chce przyznać tego oficjalnie. Po Łodzi krążą plotki. Najczęściej mówi się, że chodzi o stanowisko dyrektora szpitala, największej kliniki w mieście. Ktoś zaprzyjaźniony z kimś wysoko postawionym miał jakoby na nie chrapkę. Wyniki badań substancji używanych do dializ nie wykazały odstępstw od normy. Mimo to policja nadal się upiera, że zarzuty były uzasadnione.

Kto stracił na aferze? Dziennikarze, bo nie sprawdzili informacji. Policja, bo stała się narzędziem personalnych rozgrywek. Ale prawdziwe ofiary to szanowany lekarz i pacjenci. (SAJ)

CHRONOLOGIA

13 sierpnia – łódzka policja nieoficjalnie donosi dziennikarzom, po czym rzecznik policji komunikuje, że zatrzymano ordynatora oddziału dializ szpitala im. Kopernika oraz jego konkubinę pod zarzutem używania zanieczyszczonych preparatów do dializ. Policja nie znajduje tych substancji.

14 sierpnia – prasa podaje, że policja ma oświadczenia pacjentów, których stan zdrowia pogorszył się po dializach. Ordynator zostaje zawieszony. Kilka dni później dyrektor szpitala Janusz Tazbir sam przynosi policji poszukiwane substancje. Prokuratura nie zleca badań, dyrektor oddaje je do analizy na koszt szpitala.

13 października – trzy z czterech zbadanych próbek nie są zanieczyszczone. W czwartej są zanieczyszczone, ale nieszkodliwe.

14 października – „Gazeta Wyborcza” zarzuca policji, że niestudnie oskarżyła lekarza. Komendant łódzkiej policji oskarża dziennikarzy o łapownictwo. Potem przeprosza. Odtąd pojawiają się sprzeczne informacje – jest afera, nie ma afery.

5 listopada – rzecznik łódzkiej policji w rozmowie z „Przekrojem” twierdzi, że prokuratura zleciła przebadanie dostarczonych trzy miesiące wcześniej przez dyrektora szpitala substancji, ale do tej pory nie ma wyników.

ŻADNYCH UCHYBIEŃ

Z rzecznikiem łódzkiej policji, podinspektorem Witoldem Kozickim, rozmawia Dorota Sajnog

Czy to praktyka, że wyższy rangą oficer policji dzwoni do mediów w czasie swojego urlopu z granicy z rewelacjami o wykryciu afery?

– Dziennikarze często korzystają z informacji przekazywanych przez anonimowych „wyższych oficerów”. Osobiście piętnuję takie zachowania.

Czy w tym wypadku policja zbyt się pośpieszyła?

– Nie. Wewnętrzna kontrola nie doszukała się w działaniu policji żadnych uchybień. Na tamtym etapie mieliśmy wystarczająco dużo materiałów, by zatrzymać podejrzanych i przedstawić im zarzuty. O winie rozstrzygnie sąd.

Można zatrzymać ludzi i przesłuchiwać bez ekspertyz, które wskazywałyby, że są winni?

– Niepotrzebne są ekspertyzy. Mieliśmy zeznanie świadka. Policja nie straszyla pacjentów. Zarzuty postawione podejrzanyom dotyczą bezskutkowego narażenia życia i zdrowia, bo nie udowodniono, że ktoś uciepiał wskutek leczenia. O ile sobie przypominam, to o zgubnych skutkach dializ rozpisywała się prasa...



Fot. TOMASZ STANISZAK/AG



IDA W ZAPARTE
Z Tomaszem Pator, dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, jednym z autorów artykułu o aferze, rozmawia Dorota Sajnog

Daliście się zmanipulować policji...

– Każdy dziennikarz depeszowałby się w to wpuszczać. Nasi redaktorzy koledzy dostali „kontrolować, przeciek” po południu od wysokiego rangą policjanta. Nie było czasu sprawdzać, weryfikować. Dwie osoby zostały zatrzymane, przesłuchane, postawiono im określone zarzuty i był fakt. Jednak ta sprawa od początku „śmierdziała”.

Skąd te podejrzenia?

– Trochę znaleźliśmy się na tym, że funkcjonuje sztuczna nerka. Natomiast policjanci, z którymi rozmawialiśmy, mieli o tym bardzo blade pojęcie. Poza tym policja oparła się na zeznaniach jednego tajemnego informatora i nie zleciła przebadania preparatów. Sami podjęliśmy śledztwo i wyszło, że żadnej afery nie ma.

A jednak prokuratura nie wycofuje stawianych zarzutów.

– Policja też nic nie odkręca. Podejmuję, że to taka gra na zwłokę, żeby się do końca nie skompromitować.



Fot. UJ

SŁOWO

– GROŹNA BROŃ

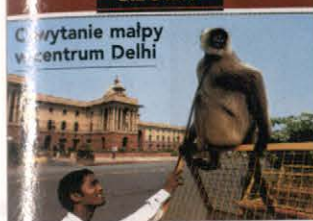
Prof. Zbigniew Bajka z Ośrodka Badań Prasoznawczych Uniwersytetu Jagiellońskiego

Niektóre informacje, szczególnie pochodzące z takich źródeł jak policja, przyjmuje się za pewnik. Ale dziennikarz zawsze powinien pamiętać, że nawet policja może się mylić. Zapewne opublikowałbym artykuł o aferze w łódzkim szpitalu. Opatrzyłbym go jednak znakami zapytania. Przecież ordynator i właścicielka firmy dostarczającej komponenty do dializ byli jedynie podejrzani. Tymczasem wiele gazet wydało na nich wyrok. Łatwo jest zniszczyć życie drugiemu człowiekowi przez nieodpowiedzialne publikacje. Znacznie trudniej jest taką szkodę naprawić.

Dziennikarze często są manipulowani przez polityków, firmy. Często bardzo dobrze zdają sobie z tego sprawę. Chcą pierwsi otrzymać sensacyjne materiały, więc podejmują grę. Oczywiście często tracą przy tym niezbędny w tym zawodzie obiektywizm.

Zdarza się też pisanie materiałów pod z góry przyjętą tezę. Wtedy bywa, że dziennikarz tylko pro forma zadaje pytania drugiej stronie konfliktu. I w ten sposób czuje się rozgrzeszony. Takie działania nie mają nic wspólnego z rzetelnością dziennikarską.

krótko



PACZELNE W RZĄDZIE

Policję Indii New Delhi opanowują małpy. Pozbawione warunków życia w masowo wycinanych lasach wprowadzają się do miast, gdzie poszukują jedzenia. Szczególnie oblegają budynki rządowe. Urzędnicy narzekają na zwierzęta, które gryzą ich, wyjadają drugie śniadania, łodówek i grzebią w dokumentach. Sąd najwyższy wydał więc rozporządzenie, że w Delhi ma być strefą wolną dla małp. Władze szykowały się do akcji wywożenia tego gatunku z terenów państwowych do pobliskich lasów. Przeciwnie temu Maneka Gandhi, synowa Indiry Gandhi, niezależny prawodawca w parlamencie indyjskim, która uważa, że małpy powinny być w spokoju. Sytuacja w stolicy daleka jest od rozwiązania.

ROBIMY KÓŁKO

MRUGANIE ŚWIATŁAMI OSTRZEGAJĄCE PRZED RADAREM POLICJI JEST KONSTYTUCYJNYM PRAWEM OBYWATELA – ORZEKŁ SĄD W USA. W POLSCE MRUGAĆ NIE MOŻNA, ALE MOŻNA KRĘCIĆ KÓŁKA

Harlie Walker (75 lat) ze stanu Tennessee dostał w sierpniu mandat na 10 dolarów za mruganie światłami – ostrzegając kierowców przed policyjnym radarem. Emeryt skierował sprawę

do sądu. Sędzia uwierzył policji, że Walker utrudniał jej pracę. Mężczyzna musiał dołożyć do mrugania 65 dolarów. Ale wygrał w sądzie odwoławczym. Sędzia w Nashville orzekł, że zakaz mrugania kłóci się z poprawką do konstytucji, która zapewnia wolność słowa.

– Pierwsza poprawka mówi o wolności słowa, ale i ekspresji. To ostatnie to dla mnie także swoboda mrugania – powiedział „Przekroju” Walker. – Dowiedziałem się właśnie, że policja dostała rozkaz, by nie karać za mruganie. Jestem dumny z naszej wolności i konstytucji.

Polska konstytucja nie broni mrugających, bo „nadużycie sygnału świetlnego” zabronione jest kodeksem drogowym – wyjaśnił nam inspektor Mariusz Wasiak z policyjnego Zarządu Ruchu Drogowego. Policja nie lubi ostrzegawczego mrugania, bo – jak tłumaczy – chce wyłapać kierowców, którzy szarżują na drodze. Obawia się też, że sygnały pozwalają uniknąć patroli złodziejom i pijanym kierowcom. – Profesjonalni kierowcy po minięciu radaru robią do innych kółko ręką. To formalnie nie jest zabronione – wyjaśnia inspektor Wasiak. (MR)



TATA-PAJAK

Przebrany za Spidermana mężczyzna sześć dni siedział na 30-metrowym dźwigu stojącym obok mostu Tower Bridge w Londynie. Protestował przeciw łamaniu praw ojca. – Ten ptasi mózdek zachowuje się jak idiota – ocenił Richard Barnes, zastępca szefa londyńskiej policji, która zablokowała wjazd na most. Zanim wskazano objazdy, korki sięgnęły 15 kilometrów. 36-letni David Chick uciekał na ramię dźwigu, gdy policjanci próbowali ściągnąć go siłą. Miał ze sobą walkie-talkie i zapasy jedzenia. Został aresztowany, gdy sam zszedł na dół. Straty spowodowane protestem mogą wynieść nawet pięć milionów funtów. Chick jest członkiem ruchu Fathers 4 Justice (Ojcowie dla Sprawiedliwości), który niekonwencjonalnymi metodami walczy o zmiany w prawie rodzinnym. W ubiegłym miesiącu dwaj inni członkowie F4J: Eddie Górecki i Jolly Stanesby protestowali w brytyjskim sądzie najwyższym przebrani za Batmana i Robina.

KLIENT TWOJEGO KLIENTA JEST NASZYM CZYTELNIKIEM



Za co Reklamodawca może polubić czytelnika „Super Expressu”? Na przykład za to, że bardzo uważnie czyta swoją gazetę z reklamą Reklamodawcy. Albo za to, że jest jednym z prawie 4 milionów odbiorców jego reklamy. Wreszcie za to, że jego domowy budżet jest częścią 7 mld złotych wydawanych co miesiąc przez czytelników „Super Expressu”.

Czytelnik „Super Expressu” może różnić się od Reklamodawcy wyborem gazety codziennej.

REKLAMODAWCO, NIE OCENIAJ - DOCIERAJ

Źródło: PBC General, SMG/KRC A Millward Brown Company, I-VIII 2003

NA PEWNO GO POLUBISZ



W następnym
„Przekroju”

KUPONY RABATOWE DO MULTIKINA



MATRIX BEZ REWOLUCJI

„REWOLUCJE” ROZŚMIESZYŁY KRYTYKÓW,
ZDENERWOWAŁY WIDZÓW, ZACIEKAWIŁY FANÓW
I USZCZĘŚLIWIŁY WŁAŚCICIELI KIN

FOT. CARLO ALLEGRI/GETTY/REUTERS

W Londynie obejrżeli trzecią część „Matriksa” o 14, w Warszawie było już o godzinę później miejscowego czasu. W Los Angeles fani musieli wstać na 6 rano, a w Tokio obejrzano film o 23. Wszystko tego samego dnia. Film „Matrix: Rewolucje” wszedł jako pierwszy w historii do ponad 90 krajów jednocześnie.

„Rewolucje” rozjuszyły bądź rozbawiły krytyków, którzy uznali film za głupi i rozczarowujący. „To hałaśliwy film z niezrozumiałym początkiem i śmiechu wartym finałem” – napisał „Washington Post”. Peter Travers z „Rolling Stone’a” ujął to brutalnie: „»Rewolucje« to szajs”.

Sceptyczni widzowie uznali bitwę o Zion za najnudniejszą scenę filmu. Fani są bardziej przychylni: na jednym tyl-

ko internetowym forum w ciągu dwóch dni 2,5 tysiąca Polaków zadeklarowało się jako miłośnicy „Matriksa”. Nie ustały dyskusje nad filmem, ale słowo „rozczarowanie” pojawia się częściej niż dotąd.

„Rewolucyjny był tylko oryginał” – pisze „Gazeta Wyborcza” i przyznaje nowemu filmowi trzy gwiazdki na sześć możliwych. W 1999 roku ta sama „Wyborcza” dała pierwszemu „Matriksowi” również trzy gwiazdki, tłumacząc: „nadużywane niekiedy określenie »efektowny, ale głupi« pasuje tu, jak ulał”. Ten przykład dobrze opisuje zmieniający się stosunek do „Matriksa”, na który – mimo zastrzeżeń – zaczęto z czasem patrzeć jako na fenomen kulturowy. (BACH)

JEST REKORD CZY GO NIE MA?

Duży film kasowy wchodzi zwykle najpierw w USA i Kanadzie, na początek w dwóch-trzech tysiącach kopii. Zwykle po miesiącu ma premierę w pozostałych krajach. „Matrix: Rewolucje” wprowadzono w samych Stanach Zjednoczonych w ośmiu tysiącach kopii, a do kin w 94 krajach świata wszedł w tym samym momencie. W sumie daje to ponad 18 tysięcy kopii filmowych w 43 językach. Czy udało się pobić światowy rekord otwarcia należący do poprzedniego „Matriksa”?

„Matrix: Rewolucje” pierwszego dnia w USA i Kanadzie zarobił 24 miliony dolarów (43 miliony na świecie) – i ustąpił

w dziedzinie jednodniowych wyników kilku filmom. Wszystko wskazuje na to, że i w pierwszy weekend projekcji „Rewolucje” nie pobiją poprzedniego rekordu Wachowskich („Reaktywacja” zarobiła 157 milionów w USA i Kanadzie). Więc klęska? I tak, i nie. Wachowscy, wprowadzając film w środek, wyłamali się z tradycji i sprawili, że wynik „Rewolucji” nie będzie można w łatwy sposób porównać z innymi.

W Polsce film osiągnął znakomite, choć też nierewolucyjne rezultaty: 82 tysiące widzów pierwszego dnia i milion złotych wpływów ze 145 kopii. (BACH)

LICZBY

„Matrix”, pierwsza część trylogii zarobił w kinach na całym świecie 475 milionów dolarów, część druga – „Matrix: Reaktywacja” – już 734 miliony. 200 milionów dolarów – tyle szacunkowo wydano na „Matrix: Rewolucje”. 270 dni zdjęciowych – tyle zajęło kręcenie drugiej i trzeciej części „Matriksa”. 2 tygodnie zajęło kręcenie kulminacyjnej sceny pojedynku Agenta Smitha i Neo. 2 miesiące pracowano nad maszynami do wytwarzania dużych kropli deszczu, niezbędnymi do tej właśnie sekwencji.

KOMUNISCI: ZNISZCZYĆ MATRIX!

Rosyjscy komuniści też zapragnęli wykorzystać popularność „Matriksa”. W dniu premiery „Matriksa: Rewolucji” przed największym moskiewskim kinem przy placu Puszkina zebrał się tłum ludzi skrzykniętych w myśl zasad flash mobu – modnej na Zachodzie krótkiej społecznej demonstracji. Z hasłami „Jesteśmy NEO-komunistami” i „Zniszczyć Matrix!” otoczyli schody prowadzące do kina. Ubrani byli w czerwone T-shirty, mieli też na sobie charakterystyczne okulary z „Matriksa” i czapki czerwonoarmistów. Akcja miała zwrócić uwagę młodzieży na partię komunistyczną przed grudniowymi wyborami do Dumy. Premiery w innych krajach przebiegły już bez incydentów. W Pekinie narzekano tylko na ceny biletów, a w Stanach Zjednoczonych na dawno nienotowane kolejki przed kinami.



FOT. PHOTO PRESS/REPORTER

RONDO PRZYJAŹNI

Największe rondo francuskiego miasta Bressuire otrzymało nazwę Rond-Point de Parzew. Umieszczono na nim także biało-czerwoną flagę i herb Parzewa. Oba miasta przyjaźnią się od pięciu lat, odkąd podpisały umowę o współpracy. Na odsłonięcie ronda – głównego węzła komunikacyjnego w mieście – przyjechała z Polski 49-osobowa delegacja, w tym trzech tłumaczy. W uroczystości brały udział także delegacje z Togo, Hiszpanii, Rosji, Niemiec i Rumunii. Grały parczewskie zespoły Taaka Paka i Kanon. Burmistrz Stanisław Mroczek powiedział nam, że już wkrótce radni nadadzą imię Bressuire jednej z ulic, deptaków lub rond w 11-tysięcznym mieście Podlasia. – Obiecałem to merowi – przyznał burmistrz. Niestety, bliska współpraca z Francją nie zaowocowała większą znajomością francuskiego wśród parczewian. Uczy się go niewiele osób, a sam burmistrz woli niemiecki.

ŻAŁOSNY SYSTEM

W USA MORDERCA JEDNEJ OSOBY
MOŻE DOSTAĆ KARĘ ŚMIERCI,
ZAŚ ZABÓJCA 48 OSÓB
„ZALEDWIE” DOŻYWCIE

Gary L. Ridgway (54 lata) przyznał się do zamordowania 48 prostytutek, być może zabił dalsze 61 kobiet w Kanadzie. Przyznanie się jest częścią układu z prokuratorem – dzięki temu morderca uniknie kary śmierci. Resztę życia spędzi za kratkami: żywy i w więziennej chwale wielokrotnego przestępcy.

Pierwszy raz Ridgway zabił w 1982 roku – ciało kobiety znaleziono w rzeczce Green River. Ostatni raz zamordował pięć lat temu. Jego ofiarami były prostytutki. – Lubilem jeździć szlakiem morderstw i myśleć o kobietach, które tam leżą – twierdzi Ridgway. Ma wyższe wykształcenie. Zarabiał, malując szarówki.

Policja podejrzewała go już w 1983 roku, ale został aresztowany dopiero



Ridgway wprowadzany na salę sądu w Seattle. Proces będzie tylko formalnością

w 2001, po porównaniu jego DNA ze śliną znaną na ciałach trzech ofiar.

Te trzy morderstwa można mu było bez trudu udowodnić. Ale po układzie z prokuratorem Ridgway przyznał się do kolejnych 45. Dzięki temu prokurator odstawił do archiwum sprawę mordercy znad Green River, a Ridgway może sobie kpić w więzieniu ze skazanych na śmierć „pojedynczych” morderców. (PASZOT)

ZAWÓD: DYREKTOR

BRAT SZEFA PSL MIMO NIEPOWODZEŃ NA KIEROWNICZYCH STANOWISKACH DZIWNIE ŁATWO ZNAJDUJE KOLEJNE DYREKTORSKIE POSADY

Adam Kalinowski właśnie zrezygnował z pracy dyrektora Szpitala Kolejowego w Lublinie. Zostawia go z 22 milionami złotych długu, w dodatku kontrola wykazała nieprawidłowości w gospodarowaniu finansami szpitala. Już następnego dnia marszałek województwa lubelskiego Henryk Makarewicz (działacz PSL) powołał byłego dyrektora szpitala na dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego.

Żeby miejsce się zwolniło, tego samego dnia dotychczasowy szef WORD Dariusz Podstawka dostał wypowiedzenie. – Zarząd nie miał do niego zaufania. Uznał, że pan Kalinowski jest właściwym kandydatem – powiedział „Przekroju” rzecznik urzędu marszałkowskiego Marcin Futyma. Pytani przez nas lubelscy urzędnicy anonimowo chętnie komentują: – Podstawka to człowiek z dawnego układu. Nikogo nie powinno dziwić, że marszałek chce mieć swoich ludzi na kluczowych stanowiskach w mieście.

Kalinowski ma doświadczenie w uczeniu kierowców – przed objęciem posady dyrektora szpitala był właścicielem szkoły jazdy, która zbankrutowała. (SAJ)

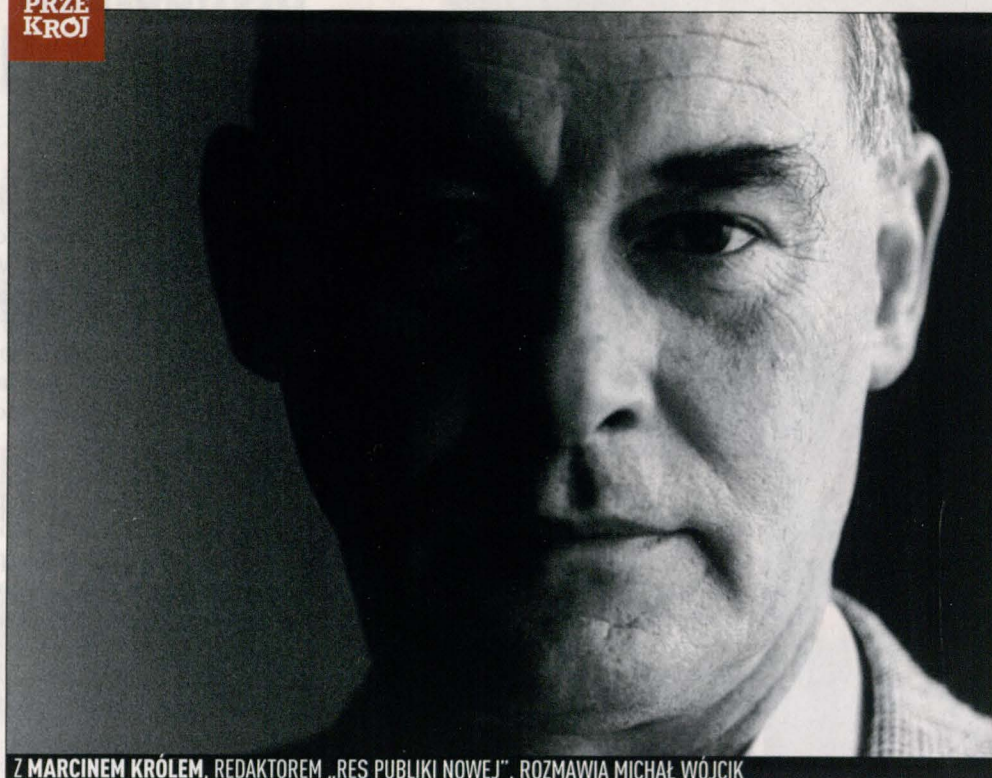
POZARZĄDZAJ SOBIE

Duże koncerny w poszukiwaniu talentów organizują w Internecie konkursy – studenci mogą zmierzyć się z realnymi problemami zaradców wielkich korporacji. Rozpoczął się właśnie konkurs L'Oréal e-strat Challenge 2004, w którym studenci z całego świata przez pięć tygodni kierują wymyślonym przedsiębiorstwem kosmetycznym. Wirtualne „zarządy” są trzyosobowe, więc liczy się umiejętność pracy w grupie. Studenci wymyślają strategię, pozycjonują produkty i ćwiczą podejmowanie trudnych decyzji. Na szczęście odpowiedzialność za nietrafione decyzje też jest wirtualna. Na razie.

Przejrzyj to jeszcze raz...

Zobaczysz
najlepsze filmy!

Multikino



Z MARCINEM KRÓLEM, REDAKTOREM „RES PUBLIKI NOWEJ”, ROZMAWIA MICHAŁ WÓJCIK

DOBRE STRONY ANARCHII

OD 1 GRUDNIA
NIE MUSIMY PŁAĆ
ZA PARKOWANIE
W WARSZAWIE,
BO PARLAMENT
NIE ZDAŻYŁ NA CZAS
UCHWALIĆ
WŁAŚCIWYCH
PRZEPISÓW. TO JUŻ
KOLEJNY PRZYKŁAD
OPIESZAŁOŚCI
SEJMU. A MOŻE
TA OPIESZAŁOŚĆ
WYJDZIE NAM
NA DOBRE?

MICHAŁ WÓJCIK: Czy kontrolowana anarchia jest dobra?

MARCIN KRÓL: Na takie pytanie nie można udzielić pozytywnej odpowiedzi. Ale można powiedzieć, że nieudolność władz, w dodatku nie tylko na poziomie Sejmu, lecz także na poziomie szczegółowych uregulowań, ma dobre i złe strony. W normalnie funkcjonującym kraju totalnej anarchii być nie powinno. Z drugiej strony mamy w Polsce niesłychanie przerosniętą biurokrację z tendencją wzrostową. W związku z tym od czasu do czasu „przegapienia legislacyjne” mogą nam sprzyjać. Po prostu łatwiej się żyje. Na przykład ostatnio dowiedziałem się, że w Polsce doskonale rozwija się „przemysł sadzonkowy”. Ludzie, którzy hodują sadzonki kwiatów na eksport, doskonale z tego żyją. Bo na szczęście władza jeszcze tego nie zauważyła i nie opodatkowała. To dobry przykład tego, że przegapienie jakiejś sfery obywatelskiej aktywności sprzyja jej rozwojowi. Uważam zatem, że im mniej mamy regulacji, tym lepiej. Liberalowie, do których i ja się zaliczam, uważają, że państwo jest głupie w zakresie szcze-

gółowych regulacji. Dlatego, że tak samo traktuje różne regiony i nie dostrzega między nimi różnic.

Czy to oznacza, że niektóre segmenty państwa są absolutnie zbędne?

– Oczywiście, że tak. Państwo bez szkody dla siebie obyło się bez kilku ministerstw. Nikt by na przykład nie zauważył zniknięcia Ministerstwa Kultury. Przyznam, że na początku okresu transformacji proponowano mi posadę ministra kultury. Odmówiłem, tłumacząc, że jest to posada do zlikwidowania. Nie mam również przekonania co do resortów infrastruktury, zdrowia czy edukacji narodowej w obecnym kształcie. Samorządy spokojnie poradziłyby sobie z całością spraw administracyjnych. W wielu krajach już tak jest. Rolę ministerstw pełnią o wiele mniejsze rządowe agendy. Zajmują się wyłącznie dystrybucją pieniędzy. A żeby rozdawać, nie trzeba zaraz zasiadać w Radzie Ministrów, otaczać się tym sztafajem władzy. Inaczej ma się sprawa z wojskiem, polityką zagraniczną i finansami – w tych dziedzinach państwo nie powinno dzielić się władzą.

A co z Senatem?

– W takiej postaci jak teraz Senat jest absolutnie zbędny. Ale w wielu krajach druga izba dobrze funkcjonuje na innych zasadach. Instytucja wyborów powszechnych nie jest przecież doskonała, a więc inny typ reprezentacji: regionalnej, branżowej czy sędziów stanowej (w Polsce oczywiście tego nie ma) – jakby w poprzek obecnym strukturalom władzy – jest jak najbardziej pożądany. Zmierzam do tego, że ograniczenie państwa wychodzi na dobre. Jest jedno ale. Liberalowie na całym świecie zgadzają się, że państwo traci kontrolę nad wielkimi światowymi korporacjami, które często są od niego potężniejsze. To może być groźne, bo przepływy pieniędzy w ramach jednej firmy mogą w ciągu jednego dnia zlikwidować wręcz budżet państwa czy państewka.

Zaapelował pan jakiś czas temu do Polaków o akcję obywatelskiego nieposłuszeństwa. Czy aktywność przeciętnego Polaka jest już tak skrzepowana przepisami, że nie jesteśmy wolnymi ludźmi?

– W niektórych dziedzinach tak. Na przykład w normalnej demokracji pełno jest sporów o podatki. U nas sprawa ich wysokości rozstrzyga się odgórnie, bez jakiegokolwiek społecznej dyskusji. A przecież musimy wiedzieć, na co idą nasze pieniądze. Im dokładniej obywatel to wie, tym chętniej je płaci. Kiedyś zabrano mi pieniądze na podatek drogowy. Ta kwota miała iść na drogi i oczywiście nie poszła. Zniknęła. Poza tym ja zupełnie nie panuję nad moimi pieniędzmi, które państwo zabiera mi na ZUS. Tak samo na TVP. Podatnik telewizji płaci abonament, a kompletnie nie ma wpływu na to, co dzieje się w tej instytucji.

Co by się stało, gdyby ustawodawca dziś przestał pracować? Gdyby Sejm się zakorkował? Czy państwo by się zawaliło?

– Mam poczucie – aczkolwiek mówię to złośliwie – że największym osiągnięciem ustawodawczym Sejmu od lat było zniesienie akcyzy na wódkę. Mieszkam niedaleko granicy wschodniej i widzę, że nielegalny przemysł alkoholu został skutecznie skasowany. Już się nie opłaca. Państwo zarabia więcej, bo ludzie kupują legalny alkohol. I to jest sukces.

ROZMAWIAŁ MICHAŁ WÓJCIK

ZMARLI



KAROL DZIOŁAK

Karol Dziołak, 15, dobrze zapowiadający się akordeonista, uczeń szkoły muzycznej w Białej Podlaskiej. Był najstarszym z trójki uzdolnionych muzycznie braci, których rodzice wraz z czteroletnią siostrą Moniką zginęli w ubiegłorocznym wypadku autokaru pielgrzymkowego na Węgrzech. Rodzeństwo z Zakalek: Karol, Wojtek, Jacek i Monika, tworzyło znany i nagradzany na festiwalach zespół folklorystyczny Rodzinna Kapela Dziołaków. Występowali między innymi w programie „Od przedszkola do Opola”. Po śmierci rodziców i siostry TVP organizowała pomoc dla sierotych chłopców.

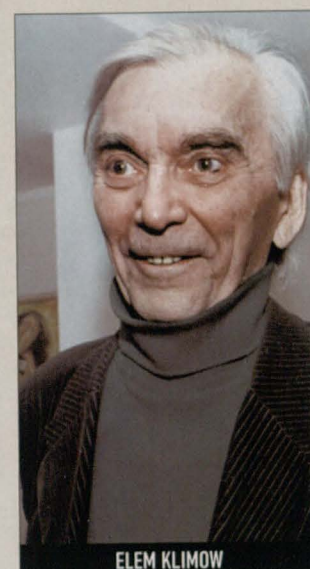
Karol, jadąc rowerem, wpadł pod koła samochodu sąsiadki. Zmarł po ośmiu dniach śpiączki.

LOTTE BERK

Lotte Berk, 90, tancerka, twórczyni podstaw gimnastyki tanecznej, z której wyrósł między innymi callanetics i stretching. W jej szkole trenowały między innymi Brooke Shields i Joan Collins.

Sławę na scenie zdobyła w przedwojennych Niemczech, skąd musiała uciekać w 1938 roku. Hitlerowcy atakowali jej przedstawienia, ponieważ rodzice Berk byli Żydami. – Dziękuję, że nie jesteście nazistami – powiedziała widzom podczas ostatniego występu, gdy publiczność siłą wyrzuciła SA-manów z sali.

Wyjechała do Londynu, gdzie założyła własną szkołę gimnastyczno-taneczną. W latach 70. otworzyła dwie ekskluzywne szkoły w USA. Znana z ogromnego poczucia humoru i licznych kochanków.



ELEM KLIMOW

Elem Klimov, 70, rosyjski reżyser. Każdy z jego pięciu filmów był wydarzeniem kulturalnym oraz problemem dla cenzorów. Urodził się w Stalingradzie, pracował w Moskwie. Najbardziej znany jego film „Agonia” (o ostatnich miesiącach rządów cara i zabójstwie Rasputina) nakręcony w 1974 roku, na ekrany dostał się dopiero 11 lat później – cenzor uznał, że film jest aluzją do rządów Breżniewa. W 1985 Klimov nakręcił swój ostatni film „Idź i patrz”. Potem postanowił ekranizować „Mistrza i Małgorzatę”, ale nie udało mu się to do końca życia. W czasach pieriestrojki był jednym z jej filarów w środowisku filmowców.

DAVID BAR-ILLAN

David Bar-Illan, 73, pianista, redaktor, krytyk, w latach 90. rzecznik prasowy izraelskiego rządu, któremu przewodził wówczas Benjamin Netanjahu.

Urodzony w izraelskiej Hajfie, ukończył słynną amerykańską Juilliard School of Music, występował jako solista z orkiestrą w Europie, USA i Ameryce Południowej. Jako polityk był związany z izraelską prawicą, ostrzegał przed negocjacjami z Organizacją Wyzwolenia Palestyny. W 1992 roku został redaktorem naczelnym „The Jerusalem Post”.

– Był prawdziwym człowiekiem renesansu i zadziwiającym pisarzem, którego moc wypływała z głębokiej wiary w prawicę naszych ludzi – powiedział po jego śmierci były szef Benjamin Netanjahu.



...w dużym formacie.

Przeglądarka do zdjęć

ORYGINALNE
AKCESORIA



NOKIA
CONNECTING PEOPLE

Na przegląd swoich filmów przyjechał do Polski węgierski aktor, scenarzysta i reżyser **ROBERT KOLTAI**.

Znany jest z roli szeregowca Chudeja w filmach Janusza Majewskiego „C.K. Dezerterzy” i „Złoto dezerterów”



a właściwie
to...

Żałoba



ydzień temu w Iraku
zginął pierwszy
polski żołnierz.
W kraju, w którym
miesiąc wcześniej
57 procent obywateli

deklarowało sprzeciw wobec
obecności polskiej armii
w Iraku, zapanowała dziwna
satisfakcja z tego, że
ponieśliśmy na wojnie pierwszą
śmiertelną ofiarę. Jak mało
który naród lubimy umierać
w słusznej sprawie. Prezydent
i premier zgodnie orzekli, że
major Hieronim Kupczyk zginął
za Polskę, za wolność, za naszą
rację stanu. Irak to „nasza”,
więc słuszna sprawa. „Nasi” są
chłopcy w Iraku, „nasza” stręła,
„nasze” są nawet wypożyczone
od Amerykanów dżipy.
„Nasze” to synonim tego,
co dobre, słuszne, szlachetne
i bohaterkie. Czujemy się
odpowiedzialni za to, co dobre,
nigdy za rzeczy wątpliwe albo
wręcz złe. I choć instynktownie
czujemy, że ta śmierć była zła
i niepotrzebna, wmawiamy
sobie, że była słuszna.

Czy na pewno? Wzięliśmy

udział w interwencji, która
okazała się nieuprawniona,
polscy żołnierze narażają życie
dla cudzych interesów
politycznych, a sojusz
z Ameryką, zamiast przynieść
nam wielkie korzyści, na dobrą
sprawę zrujnował nasze stosunki
z Europą. Jako żołnierz
zawodowy major Kupczyk musiał
liczyć się ze śmiercią. Ale nawet
on miał prawo oczekiwać
od swojego rządu, że nie będzie
narażał jego życia w walce
o doraźne i – jak się okazało
– iluzoryczne korzyści.
Skoro to wszystko widzimy
i w sondażach jesteśmy tacy
przeciwni, to co „nasi”
żołnierze robią jeszcze
w Babilonie? To nasze państwo,
nawet jeśli – dla części z nas
– nie nasza koalicja.
Niezależnie od tego, na kogo
głosowaliśmy, to nasz prezydent
w naszym imieniu wysłał
wojsko do Iraku. „Nie w moim
imieniu” – pod tym hasłem
protestowali 30 lat temu
przeciwnicy interwencji
w Wietnamie. Nie wyrażając
sprzeciwu, dajemy rządzącym
milczące poparcie dla ich
działań. Miło, jeśli są one
dobre. Jeśli są złe – a taka
jest bez wątpienia śmierć
żołnierza – i wynikają
z polityki, na którą się nie
zgadzamy, mamy obowiązek
wyrażać swój sprzeciw. Bez tego
będziemy ponosić część
odpowiedzialności za każdą
następną ofiarę tej wojny.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

że Amerykanie potrzebowali
nas w Iraku głównie, żeby
umiędzynarodować swoją
interwencję, a teraz potrzebują
bardziej ONZ, Niemców
i Francji. Politolog cynik
zapytany o to, czy mamy
jeszcze szanse zrealizować te
„mocarstwowe” marzenia elit,
pewnie odpowiedziałby,
że gdyby zginęło tam bardzo
wielu Polaków, gdybyśmy złożyli
porównywalną z Amerykanami
daninę krwi, to wtedy
– już z powodów
emocjonalnych, a nie
strategicznych – moglibyśmy
jeszcze w Iraku coś „ugrać”
dla Polski. Jednak to jest cena,
jakiej nawet wyobcowane elity
nie mogą zapłacić. Dlatego
to one powinny ogłosić nasz
odwrot z Iraku. Oczywiście nie
zaraz, bo po czymś takim nikt
nie traktowałby nas poważnie,
ale w perspektywie kilku
tygodni. Nie dlatego,
że niepotrzebnie – przepraszam
rodzinę majora za to słowo
– zginął jeden człowiek,
tylko dlatego, że kalkulacje elit
wzięły w łeb.

PIOTR NAJSZTUB

Nikt nie czuje się
odpowiedzialny
za śmierć majora
Hieronima Kupczyka.
Władze, które zdecydowały
o wysłaniu wojsk do Iraku,
nadal powtarzają mantrę
o strategicznym partnerstwie
w wojnie z terroryzmem
i niesieniu kaganka wolności
i demokracji. Polacy deklarują
w sondażach, że oni tego nie
chcieli. Osobiście też nie czuję
się odpowiedzialny, bo
krytykowałem tę wojnę. Nie ma
odpowiedzialnych? Ależ są!
Przecież, trzeba to sobie
powiedzieć brutalnie, nie
jesteśmy narodem tak dalece
miłującym demokrację
i wolność, że rzucamy swoje
wojsko wszędzie, gdzie łamane
są prawa człowieka i pojawia się
zagrożenie dla wolności. I nasze
władze o tym wiedziały!
Rząd, prezydent, parlament
– elity namyśliły się i uznały,
że udział w tej wojnie jest
nam potrzebny. Bo zyskamy
na międzynarodowym
znaczeniu, bo USA bardziej
nas pokochają, bo nasze firmy
zarobią miliony dolarów.
Już wiadomo, że nie zarobimy,



WILHELM SASNAL

Krzysztof Karasek

STUDIUM ORNITOLOGICZNE

Przekład z Juliana Kornhausera

Ptaszek siedzi w klatce
Ptaszek chodzi po klatce
Ptaszek bije skrzydłami o klatkę
Ptaszek spada na dno klatki

Ptaszek trzyma rękę na kłamce
Ptaszek wychodzi z klatki
Ptaszek rozgląda się
Ptaszek wraca do klatki

(z „Prywatnej historii ludzkości”, 1979)



Dla „Przekroju” ANDRZEJ DUDZIŃSKI

raport mniejszości



Prezydent, premier, prokuratura
– wszyscy powinni jeszcze odpowiedzieć
na ważne pytania, ale zachowują się tak,
jakby nie zależało im na schwytaniu
„grupy trzymającej władzę”
– twierdzi w rozmowie z Piotrem Najsztubem
poseł śledczy ZBIGNIEW ZIOBRO

Komisja wykończyła minister Jakubowską? Zasłabła i prze-
 rwała przesłuchanie.

– Przede wszystkim należy życzyć pani minister zdro-
 wia. Z drugiej jednak strony trudno się dziwić jej nie naj-
 lepszemu samopoczuciu. Może nieświadomie, ale po raz
 pierwszy zaczęła w zeznaniach obciążać swego szefa
 Leszka Millera. To musi być dla niej trudne doświad-
 czenie.

Przestała być lojalna wobec premiera?

– Chyba zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, że najwy-
 raźniej została wystawiona, że grozi jej nie tylko kres karie-
 ry politycznej, infamia, lecz także odpowiedzialność karna.
 Myślę więc, że pani Jakubowska mogła zadać sobie pytanie
 o granice lojalności.

Jaki fragment jej zeznań ma pan na myśli?

– Po raz pierwszy zeznała, wbrew wcześniejszym stwierdze-
 niom, że kompromis obiecany przez Leszka Millera nie za-
 wierał zgody na zakup przez Agorę telewizji ogólnopolskiej,
 czyli Polsatu. A zeznała też, że lojalnie realizowała wolę pre-
 miera. Jeśli to prawda, to oznacza, że: po pierwsze, Leszek
 Miller regularnie oszukiwał Adama Michnika, mówiąc mu
 wielokrotnie, że kompromis po myśli Agory jest przesądzo-
 ny; po drugie, okłamał – pod przysięgą – komisję i prokura-
 turę, mówiąc, że kompromis z Agorą był zawarty przed wizy-
 tą Rywina; po trzecie wreszcie, propozycja korupcyjna
 Rywina była w pełni racjonalna. Rywin proponował bowiem
 coś, czego Leszek Miller – wbrew wcześniejszym deklaracjom
 wobec Michnika – Agorze dać nie chciał. To dopiero po zażą-

PAŃSTWO BRONI MILLERA

ILUSTRACJE MARCIN MACIEJOWSKI

danu przez Rywina łapówki w imieniu Millera i zachowaniu
 Agory, które mogło być odczytane jako przyjęcie propozycji
 łapówkarskiej, Leszek Miller podjął decyzję o dalszych pra-
 cach nad autopoprawką, tak aby Agora mogła kupić Polsat.
 Czy to przypadkowa zbieżność zdarzeń?

Cóż zatem skłoniło Millera do zmiany zdania 15 lipca
 wieczorem? To logicznie rozumowanie, przy założeniu, że
 Jakubowska mówi prawdę.

A jeśli Miller zaprzeczy, powie, że Jakubowska kłamie?

W ten sposób premier obciąża Jakubowską.

Afera Rywina rozgrywa się nie tylko w komisji śledczej.
gdzie pan jeszcze widzi elementy tej gry?

– Na pewno prokuratura odegrała bardzo złą rolę.

**Prokuratura podlega ministrowi sprawiedliwości Kurczuko-
 wi. Ostatnio powróciła teza, że organy sprawiedliwości, łągo-
 żąc zarzuty wobec Rywina i nie aresztując go, pomogły**
**grupie trzymającej władzę” (GTW). Czy dzisiaj, gdy już wię-
 sej pan wie o psychice Rywina, myśli pan, że aresztowanie**
go mogłoby spowodować, że przestałby milczeć?

– Jestem przekonany, że tak. Ostatnio bardzo doświadczony
 adwokat, wieloletni prokurator, powiedział mi, że taktyka
 prokuratury, niezastosowanie aresztu, wyraźnie wskazuje, że
 prawda o mocodawcach Rywina ma pozostać w ukryciu.

Dlaczego?

– Przede wszystkim sprawy korupcyjne są niezwykle trud-
 ne dowodowo, bo dwie strony łączy silny związek interesów,
 stąd zмова milczenia. Jeżeli prokuratura otrzymała, co się
 rzadko zdarza, tak poważne dowody – nagranie, obciążające
 zeznania świadków, że był człowiek, który domagał się
 ogromnej łapówki nie we własnym imieniu, bo powoływał
 się między innymi na premiera – i prokuratura tego samego
 dnia rano nie przeprowadziła przeszukań we wszystkich
 miejscach, które łączą się z osobą Rywina, nie doprowadziła
 do natychmiastowego zabezpieczenia wszystkich dokumen-
 tów, które łączą się ze sprawą autopoprawki... Przecież wsku-
 tek zaniechań prokuratury nie dostaniemy wielu dokumen-
 tów, które mogłyby nam pomóc ustalić, kto Rywina wysłał do
 Agory. Te zaniechania pozwoliły GTW przygotować czytelną
 i spójną linię obrony. Prokuratura też, pozostawiając Rywina
 na wolności, stworzyła GTW komfort, że Rywin, czując, że
 jest chroniony, nie będzie sypał. A przecież ta sama prokura-
 tura podlegająca pośrednio Leszkowi Millerowi na co dzień
 aresztuje lekarzy, policjantów i nauczycieli, którzy domagają
 się tysiąca złotych łapówki. Przypomnę, że Rywin chciał kil-
 kudziesięciu milionów złotych! I jest na wolności!

**Może więc mandat komisji śledczej powinien zostać po-
 szerzony o badanie działań prokuratury w tej sprawie. Może,**
**ustalając, komu zależało na niearesztowaniu Rywina, doj-
 dziemy do tego, z kogo składa się GTW?**

ZBIGNIEW ZIOBRO
 MA 33 LATA. SKOŃCZYŁ
 WYDZIAŁ PRAWA
 I ADMINISTRACJI
 UNIwersYTETU
 JAGIELLOŃSKIEGO
 I ODBYŁ STUDIA
 DOKTORANCKIE
 W ZAKRESIE PRAWA
 KARNEGO
 NA UNIwersYTECIE
 ŚLĄSKIM. PRACOWAŁ
 W PROKURATURZE
 W GLIWICACH,
 GENERALNYM
 INSPEKTORACIE CELNYM,
 A OD 2000 ROKU BYŁ
 DORADCĄ W MSWiA.
 W MARCU 2001 ROKU
 PREMIER JERZY BUZEK
 MIANOWAŁ GO
 WICEMINISTREM
 SPRAWIEDLIWOŚCI.
 ZIOBRO ODSZEDŁ
 Z RESORTU PO CZTERECH
 MIESIĄCACH RAZEM
 Z ODWOŁANYM
 MINISTREM LECHEM
 KACZYŃSKIM.
 WE WRZEŚNIU 2001 ROKU
 ZOSTAŁ POŚLEM PIS.
 JEST ZAŁOŻYCIELEM
 STOWARZYSZENIA KATON
 DZIAŁAJĄCEGO NA RZECZ
 POPRAWY
 BEZPIECZEŃSTWA
 ORAZ CENTRUM POMOCY
 OFIAROM PRZESTĘPSTW.
 BEZ POWODZENIA
 STARTOWAŁ
 W WYBORACH
 NA PREZYDENTA
 KRAKOWA.
 UCHODZI, OBOK ROKITY,
 ZA NAJINTELIGENTNIEJ-
 SZEGO I PRZEZ TO
 NAJBARDZIEJ
 NIEWYGODNEGO
 ROZMÓWCĘ
 ZASIADAJĄCEGO
 W KOMISJI BADAJĄCEJ
 AFERĘ RYWINA. PREMIER
 MILLER ZDENERWOWANY
 JEGO DOCIEKLIWOŚCIĄ
 PODCZAS PRZESŁUCHANIA
 NAZWAŁ GO „ZEREM”.

– Próbowałem doprowadzić do tego, żeby komisja prze-
 słuchała prokuratorów, żebyśmy mogli zapytać, dlaczego do-
 szło do tak poważnych, niebywale rażących naruszeń zasad
 śledztwa. Zostałem przez kolegów z SLD przegłosowany.
 A przecież publiczne wyjaśnienie tych naruszeń mogłoby
 być początkiem naprawy naszego wymiaru sprawiedliwości,
 oczyszczenia go z zakulisowych, partyjnych zależności.

Tak się niestety nie stało, ponieważ interes polityczny tych,
 którzy mają większość w komisji, temu przeszkodził. Nie
 przypadkiem odbyła się wielka obrona przed przesłuchaniem
 prokuratorów. Prokuratorzy, prawnicy, stając przed komisją,
 zbyt wiele by ryzykowali, gdyby chcieli zachować się podob-
 nie jak pani Jakubowska. Takie zachowanie to mógłby być dla
 nich kres kariery zawodowej. Sprawa więc mogłaby się sygnąć.

Kto jeszcze gra w aferze Rywina?

– Na przykład „Trybuna”, dziennik, o którym jego były
 redaktor naczelny powiedział, że jest organem Leszka Mil-
 lera, prowadziła od początku bardzo wyrazistą kampanię.
 Kwestionowała sam fakt zaistnienia propozycji łapówkar-
 skiej, przeprowadziła niezwykle agresywny atak na Mich-
 nika za to, że ujawnił sprawę, doradzała Rywinowi milcze-
 nie jako najlepszą linię obrony. Czy to nie zastanawia?

**Czy dostrzega pan jeszcze w innych instytucjach państwo-
 wych aktywność, która mogłaby być związana z aferą Rywina?**

– Trzeba w tym kontekście powiedzieć o urzędzie prezy-
 denta. Pan prezydent spotykał się z niektórymi świadkami
 przed ich przesłuchaniem, choćby z panem Sulikiem,
 przekonując go, że Robert Kwiatkowski i pan Czarzasty
 z tą sprawą nie mają nic wspólnego. Mogło to wywierać na
 nich wpływ. Dochodziły do mnie słuchy o różnych zaku-
 lisowych działaniach, które służyć miały uniknięciu ze-
 znawania prezydenta przed komisją. Jakby pan prezydent
 niezwykle obawiał się stanąć przed komisją.

**Może nie chce nadwyřęzać własnego autorytetu, autoryte-
 tu urzędu? Może uważa, że jest „ponad”?**

– Czy „pierwszy obywatel” powinien być „ponad”,
 zwłaszcza kiedy ma dużą wiedzę o tej sprawie? Żadnej
 ujmę nie przyniesie prezydentowi udzielenie pomocy
 w rozwikłaniu afery kryminalnej. To nie jest jakaś tam
 sprawa. To jest śledztwo, którego wyniki mogą rzutować
 na jakość naszego państwa.

**Prezydent może się spodziewać, że będzie przez pana czy
 posła Rokitę traktowany jak podsądny. Już samo to, jaki pan
 ma stosunek do jego działań w tej sprawie, sugeruje, że py-
 tania, które by pan mu zadawał, ich ton, mogłyby podważać
 jego autorytet.**

– Jestem przekonany, że członkowie komisji okazaliby
 należyty szacunek i kurtuazję właściwą głowie państwa.
 Wyraziliśmy gotowość udania się na przesłuchanie

w miejsce wskazane przez prezydenta. Natomiast pan prezydent zobowiązany jest przestrzegać podstawowych reguł praw, które stać muszą ponad osobistymi ambicjami, aspiracjami, poczuciem dumy. Mówiąc, że może przed komisją nawet zatańczyć lub zaśpiewać jako pierwsza osoba, która mogłaby być wezwana, okazał działaniu komisji całkowite lekceważenie. Po takiej wypowiedzi prezydenta można odnieść wrażenie, że stoi on ponad instytucjami państwa prawa.

Może pan prezydent chce ocalić ostatnią nieskalaną instytucję? Bo tylko on się cieszy takim zaufaniem narodu, nie ma go żaden inny urząd, polityk.

– Nie zastanawia pana, dlaczego pan prezydent nie chce pomóc w rozwikłaniu afery?

On sam mówi, że chce, ale wszystko, co miał do powiedzenia, powiedział już prokuraturze, a te zeznania macie.

– Jest bardzo wiele pytań bez odpowiedzi. Na przykład dlaczego prezydent przez wiele miesięcy przetrzymywał bardzo ważny dokument, jakim dziś dysponujemy – notatkę Rywina. Nie znamy okoliczności i szczegółów dotyczących afery, jego ewentualnych rozmów z Rywinem, Czarzastym czy Kwiatkowskim. Są tylko bardzo ogólne informacje, że spotkał się w Juracie z Adamem Michnikiem, który powiedział mu o propozycji korupcyjnej. Czy to jest wyczerpujące zeznanie? Nie wiemy, co dokładnie powiedział Michnik, jak to przedstawił, a przecież to są podstawowe fakty, które powinniśmy poznać. Samo przesłuchanie prokuratorskie było prowadzone w sposób zdumiewający. Pan prezydent mówi w sposób skrajnie lakoniczny. Nie wyjaśnia rozmaitych wątków sprawy. No, choćby kwestia tego, że namawiał redaktora Michnika i premiera Millera, aby zgłosili sprawę do prokuratury. Nie wiemy kiedy, gdzie, co dokładnie mówił, jakich argumentów używał i jak reagował na to Michnik, jak reagował Miller, jakie podnosili argumenty na „nie”.

Ale czy odpowiedzi na to pytanie przybliżyłyby nas do prawdy?

– Oczywiście, choćby dlatego, że motywy, jakimi kierował się premier Miller, nie chcąc zgłosić sprawy do prokuratury i nie pozwalając tym samym, by GTW, która wysłała Rywina, została ujęta, są niezwykle ważne dla zidentyfikowania tej grupy. Z całą pewnością pan prezydent posiada znacznie większą niż ktokolwiek wiedzę na temat Lwa Rywina, z którym niemalże się przyjaźnił. Z całą pewnością posiada bardzo rozległą wiedzę na temat działań Roberta Kwiatkowskiego, Czarzastego, którzy działają z jego nominacji.

Nie znamy też szczegółów w pozornie drobnej sprawie, ale jakże istotnej, ujawnionej w czasie zeznań redaktora Michnika. Pan prezydent zeznał w prokuraturze, że 22 lipca telefonicznie rozmawiał z redaktorem Michnikiem. Można domniemywać, choć Michnik temu zaprzeczył, że dowiedział się wówczas o sprawie korupcyjnej. Mało tego, wiemy z analizy dokumentów, że tego samego 22 lipca, po nagranej przez Michnika rozmowie z Rywinem, pół godziny po wyjściu Rywina, pojawia się „w rządzie” dokument, który w stu procentach spełnia oczekiwania Agory w zakresie przepisów antykoncentracyjnych. Jest to jedyny dokument, w którym Agora dostaje dokładnie to, co chce, tak jak to Rywin mówi w nagraniu korupcyjnej propozycji. I taki dokument pojawia się na pół godziny po wyjściu Rywina od Michnika, a pamiętajmy, że Rywin wychodzi w przekonaniu, że Michnik przyjmuje propozycję. I nagle dokument w godzinach wieczornych ulega istotnej zmianie na niekorzyść Agory.

A co ma z tym wspólnego prezydent?

– Rodzą się pytania, bo z billingów wiemy, że najbliżsi współpracownicy prezydenta pozostawali w tym czasie

w ścisłym kontakcie z Robertem Kwiatkowskim, który jawi się jako postać bynajmniej nie drugoplanowa i niepozytywna. Możemy się domyslać, że musiało stać się coś, co zmieniło treść korzystnej wcześniej dla Agory autopopravki. Naszym zadaniem jest wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

Uważa pan, że GTW dowiedziała się, że Adam Michnik nagrał całą rozmowę i nie zapłaci łapówek?

– W tej chwili nie możemy tego wykluczyć. Pytanie tylko, od kogo się dowiedziała? A jeżeli prezydent dowiedział się podczas tej rozmowy telefonicznej z redaktorem Michnikiem, że Rywin został złapany na gorącym uczynku? I tę informację przekazał swoim współpracownikom (mówi, że na pewno rozmawiał z ministrem Ungierem)? Później mamy połączenia telefoniczne pomiędzy innym ministrem prezydentem Markiem Siwcem a panem Robertem Kwiatkowskim, około godziny 18. Mniej więcej w tym czasie pojawia się kolejna niekorzystna dla Agory zmiana autopopravki. Czy jest to przypadkowa koincydencja? Możliwe, ja nie twierdzę, że doszło tu na pewno do przekazania informacji GTW, ale jeżeli rozważamy jej istnienie, to nie rozważamy go bez udziału pana Roberta Kwiatkowskiego. Powinniśmy dowiedzieć się, co powiedział prezydentowi Michnik, co on sam przekazał swoim współpracownikom, a oni z kolei Kwiatkowskemu.

Pan wierzy, że prezydent przyjdzie do komisji?

– Jeżeli pan prezydent nie przyjdzie, to to daje tym bardziej do myślenia.

Ten szantaż już zastosowaliście w zeszłym tygodniu. Nie wzywając, ale zapraszając, powiedzieliście telewizjom tak naprawdę: uważamy, że prezydent powinien tu przyjść i odpowiedzieć na kilka ważnych pytań, które mogłyby wiele w tej sprawie wyjaśnić. Jednak nie chcemy być na tyle niegrzeczni, że go tu ściągamy siłą, tylko czekamy, aż sam do nas przyjdzie. Jeśli nie przyjdzie, to znaczy, że chce coś ukryć.

– Nie, przekaz był bardzo prosty: komisja w swojej przynajmniej większości, abstrahując od podziałów politycznych, uważa, że prezydent jest bardzo ważnym świadkiem w tej sprawie. To był gest przyjaźni.

Nie przesadzajmy z tą hipokryzją, panie pośle. A co będzie, jeżeli prezydent sam nie zdecyduje się przyjść, wy go wezwiecie, a on dalej będzie odmawiał?

– Jeżeli prezydent w sposób tak oczywisty zdecyduje się na konflikt nie tyle z komisją, ile z zasadami państwa prawa, to weźmie na siebie odpowiedzialność i moralną, i polityczną, ale też i prawną.

No dobrze, weźmie ją i uniesie. Czy istnieje jeszcze jakiś inny sposób, żeby go doprowadzić przed oblicze komisji?

– Jeżeli prezydent powie: komisja mnie wezwwała, ale – moim zdaniem – nie miała prawa mnie wezwać, to sprawę rozstrzygnie Trybunał Konstytucyjny. Nie wierzę w to, żeby prezydent – po negatywnym dla siebie rozstrzygnięciu – nadal nie chciał przyjść. Zresztą myślę, że komisja w geście kurtuazji wolałaby przyjść do prezydenta.

Wielokrotnie pan i poseł Rokita mówiliście, że skład komisji uniemożliwia przeprowadzenie pewnych dowodów, że przewaga posłów koalicji wypacza wasze śledztwo. Mimo wszystko wzięliście udział w jej pracach, co rozumiem, bo ma sens publiczne zadawanie własnych pytań, publiczne uzyskiwanie na nie odpowiedzi. W tym nie może przeszkodzić polityka. Teraz jednak nadchodzi czas pisania raportu końcowego i teraz już decydować będzie o jego kształcie większość polityczna. Czy nie uważa pan, że powinien teraz odejść? Nie brać udziału w zginiłych kompromisach?

– Ale ja nie przewiduję żadnego kompromisu.

Raport, który opracowuje kilka osób, zawsze jest kompromisem.

– Raport będzie miał tak samo swoje zdania odrębne, i tam zamierzam przedstawić taką prawdę, jaką widzę własnymi oczyma. Zamierzam też powiedzieć prawdę o dokumentach, dowodach, do których dostępu nie miałem, bo zadziałał mechanizm partyjny, zmowy dyktowanej politycznym interesem, co da się też zauważyć w pracy tej komisji. Jednak z całą pewnością ta komisja tworzy wyrwę w tym gwarantowaniu sobie bezkarności przez przedstawicieli nawet konkurencyjnych ugrupowań politycznych – bo tak często było dotąd. Tam, gdzie będzie to możliwe, postawię kropkę nad „i” w przekonaniu, że przyjdzie czas, kiedy prokuratura nie będzie zależna od Leszka Millera czy od sposobu myślenia takich ludzi i z tej sprawy zostaną wyciągnięte bardzo poważne wnioski, wnioski personalne, dotyczące osób z pierwszych stron gazet. Jeżeli tak się nie stanie, to będzie porażka.

Co znaczy personalne?

– To znaczy, że winni poniosą nie tylko polityczne, lecz także karne konsekwencje.

Ma pan nadzieję postawić kiedyś Millera przed sądem?

– To już nie moja rola. Mam nadzieję stworzyć sytuację, która pozwoli postawić przed sądem każdego, kto w sposób oczywisty i rażący, ze szkodą dla państwa, naruszył obowiązujące prawo karne. A takie osoby w tej sprawie da się określić.

I ma pan nadzieję, że to będzie również dzisiejszy premier?

– Każdy w zakresie swojej odpowiedzialności. Kategorycznie będę to formułował w raporcie, z całą pewnością wskażę takie osoby.

Czy od początku prac komisji zmieniło się pańskie zdanie o roli Agory w tej sprawie?

– Długi czas w ogóle nie podejmowałem wątku związanego ze śledztwem dziennikarskim „Gazety”, czy ono było, czy nie. Koncentrowałem się na Rywinie, GTW, Millerze. Zastanawiała mnie oczywiście ta niezłomna, niezwykle emocjonalna postawa Adama Michnika, który wbrew wielu faktom wychodzącym na jaw twierdził, że Leszek Miller do niedawna odnosił to też do pani Jakubowskiej) na pewno nie może z tą sprawą mieć nic wspólnego. Trudno uwierzyć, że człowiek takiej inteligencji jak Adam Michnik, o takim bagażu doświadczeń życiowych, mógł z taką dozą wielkiej naiwności przyjmować założenia, które nie dadzą się obronić w świetle ustalanych faktów.

Może prawdziwa jest hipoteza, która mówi, że Adam Michnik nie mógł zaatakować w tej sprawie Leszka Millera, jeśli chciał jej nadać rzeczywisty, kryminalny charakter? Gdyby od początku powątpiewał w uczciwość premiera, to musiałby postuluować jego dymisję i z afery Rywina zrobiłaby się afera „Michnik odwołuje Millera”. Nie byłoby żadnej sprawy o łapówkę, nie byłoby próby odszukania tej grupy, która stała za Rywinem.

– To ciekawy punkt widzenia. Jednak w tej koncepcji wiele elementów układanki na pierwszy rzut oka mi nie pasuje. Adam Michnik nie projektował wcale takiego rozwoju wydarzeń, takiego impetu tej sprawy...

Może to właśnie znaczy, że chciał za wszelką cenę utrzymać jej kryminalny charakter, nie polityczny.

– Ale ta sprawa musiała być polityczna i kryminalno-afetalna najwyższego kalibru i tego nie mógł nie wiedzieć. Jednak zadaje sobie pytanie, dlaczego Adam Michnik bronił potem Leszka Millera w sposób emocjonalny, a intelektualnie niewiarygodny, co stało się między innymi powodem te-



Dlaczego Adam Michnik bronił Leszka Millera w sposób emocjonalny, a intelektualnie niewiarygodny?

zy posła Rokity – której zresztą Rokita dalej nie forsował – o tym, że mogło dojść do „dilu” pomiędzy Michnikiem a Millerem, że jeden „się trzyma” drugiego, bo się siebie i tego, co mogą nawzajem na swój temat powiedzieć, boją.

To tylko hipotezy, dowodów na to nie ma. A jaki „dil” mógłby zrobić Adam Michnik z Leszkiem Millerem?

– Gdyby rozważać tę hipotezę, a każdą trzeba było, to należałoby zapytać o hipotetyczną motywację naczelnego „Gazety”. W żadnej sprawie motywacji finansowej u Adama Michnika nie można było dostrzec. Ale głośno się zastanawiając, można powiedzieć, że Polsat, telewizja ogólnopolska, to są jednak duże wpływy polityczne, władza w sferze idei. Pojawiało się też pytanie o nasilenie się negocjacji w sprawie ustawy między Agorą a rządem już po korupcyjnej propozycji Rywina. Te kilka dni obfitowało wieloma konsultacjami w sprawie ustawy. Rodziły się też pytania, dlaczego Adam Michnik czekał trzy dni z poinformowaniem premiera o szantażu Rywina, choć w tym czasie, jak to sam zeznał, rozmawiał z premierem. Dziś przynajmniej, zastrzegając, że wówczas nie miał tej świadomości, iż mogłoby to być sygnałem kompromisu dla tych, którzy wysłali Rywina na negocjacje. To jednak były tylko dywagacje, które nie znalazły żadnego potwierdzenia.

Była też inna hipoteza. Czarzasty w swoich zeznaniach wiązał działania Adama Michnika i Agory w sprawie afery Rywina z prywatyzacją Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, wiązał z decyzjami rządowymi, które leżały w interesie Agory. Ta hipoteza mówi, że dziennikarskie śledztwo „Gazety” trwało, dopóki Agora „była w grze” o WSiP. Wiemy już, że to śledztwo nie było supertajne, że środowisko polityczno-urzędnicze wiedziało o nim, między innymi od Adama Michnika. Nie ma jednak żadnych dowodów, że działania te były rodzajem nacisku Agory na rząd lub GTW. To nie znaczy, że sugestia Czarzastego i posłów SLD – członków komisji – jest prawdziwa. Moim zdaniem dziś nie ma żadnych dowodów, z których można wyciągnąć wnioski, że doszło do „dilu” między Agorą a Millerem czy GTW, ale trudnym, a czasami przykrym obowiązkiem komisji jest badać wszystkie nasuwające się wersje wydarzeń, nawet te mało prawdopodobne. Adam Michnik podejmował wielkie ryzyko, kiedy nagrał Rywina i przez kilka miesięcy nie informował o tym opinii publicznej, rzekomo prowadząc śledztwo dziennikarskie. W tej sprawie nie może być pytań tabu, nawet jeśli są trudne, przykre, a czasami wydają się niesprawiedliwe.

Niezależnie od tego, czy te hipotezy zostaną udowodnione, czy nie, widać już, że autorytet „Gazety” na tej sprawie uclepiał. To kto wygra aferę Rywina, oczywiście oprócz posła Rokity i pana, którzy zyskaliście nieśmiertelność?

– Standardy funkcjonowania państwa. Im więcej prawdy nam się uda pokazać i z tej prawdy wyciągnąć konsekwencje – nawet wobec tych, którzy są w tej sprawie najważniejszymi postaciami – tym bardziej wygra państwo i jego system. Odpowiedzialność dotyczy wszystkich aktorów tej gry, również „Gazety Wyborczej”, w wymiarze moralnym, politycznym, wiarygodności tej gazety. „Gazeta”, uczestnicząc w tym procesie czy decydując się na jego otwarcie, podjęła wielkie ryzyko. I z całą pewnością Adam Michnik, kiedy atakował z taką furją panią redaktor Katarzynę Kolendę za jego zdaniem niegodne pytania, czuł na sobie brzemień i tej odpowiedzialności.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

WARSZAWA, 7 LISTOPADA 2003 R.

Wywiad opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl



Zamierzam też [w raporcie komisji] powiedzieć prawdę o dokumentach, dowodach, do których dostępu nie miałem, bo zadziałał mechanizm partyjny, zmowy elit dyktowanej politycznym interesem



SIERGIEJ IWANOW

WŁADIMIR PUTIN



SIERGIEJ LEBIEDIEW

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

CZEKIŚC RZĄDZĄ

We wrześniu tego roku George Bush senior przyleciał z prywatną wizytą do Soczi, rosyjskiego kurortu nad Morzem Czarnym. Od utraty Krymu rosyjscy prezydenci tradycyjnie tam spędzają wakacje. Bush przyjechał na prywatne spotkanie z Władimirem Putinem. Chciał wysondować, jak rosyjski prezydent zareaguje na kupno naftowego giganta Jukos przez amerykańskie koncerny Chevron i Mobil. Putin zbył Busha ogólnikami o prawach wolnego rynku i wolności handlu.

Gdy tylko samolot z byłym amerykańskim prezydentem zniknął za horyzontem, rosyjski przywódca poinformował swoją świtę, o czym rozmawiał. Wśród „czekistów” – najbliższych współpracowników prezydenta wywodzących

się z KGB – zawrzało. Ich rozumowanie było proste: nie dość, że Chodorkowski jest Żydem i publicznie ogłasza swe ambicje polityczne, łamiąc umowę prezydenta z oligarchami (wiosną multimiliarder zapowiedział, że do 2008 roku nie będzie brał udziału w życiu politycznym), to jeszcze próbuje oddać Amerykanom najważniejsze rosyjskie bogactwo naturalne. Ekipa Putina zawdzięcza bowiem boom gospodarczy wysokim cenom na ropę.

Dla „czekistów” to wszystko było widomą oznaką zdrady Chodorkowskiego. Antysemityzm i niechęć do USA są znakiem firmowym byłych oficerów radzieckich służb specjalnych. Jednak w rosyjskim systemie prawnym nikt nie potraktowałby oskarżenia multimiliardera o zdradę poważnie, a żaden prokurator nie podjąłby się takiego zadania. Polecono więc

prokuraturze generalnej, żeby znalazła na Chodorkowskiego coś innego. Prokuratura znalazła – uchylanie się od płacenia podatków.

Gdy w październiku szef Jukosu wylądował w więzieniu, rosyjscy demokraci pocieszali się, że teraz pozostałe asy biznesu zewrą szyki i wesprą partię opozycyjną wobec Kremla. W grudniu mają się odbyć w Rosji wybory parlamentarne. Z poparciem oligarchów opozycja miałaby szansę wygrać z bezbarwnymi przedstawicielami władzy.

Ale wśród biznesmenów zamiast mobilizacji zapanowała panika. Kilku najbogatszych śladem Romana Abramowicza zaczęło sondować możliwości kupna jakiegoś brytyjskiego klubu piłkarskiego, co zwyczajowo jest zapowiedzią związania interesów w Rosji i przenosin do spokojnej Anglii.

Z dnia na dzień rozsypało się jedno z najbardziej wpływowych środowisk rosyjskich i jeden z ostatnich śladów demokratycznych reform lat 90. Nic nie wskazuje na to, by właściciele miliardów byli zdolni do wspólnej akcji przeciw Kremlowi. Pomiędzy rozdrobnionym społeczeństwem a władzą nie stoi już nic. Teraz o przyszłości Rosji będą decydować wyłącznie ludzie zwani w Moskwie „widmami z pagonami”.

WOŁODIA, JEDZIESZ!

– Przyszli dosłownie znikąd, nikt wcześniej ich nie widział, a i dzisiaj rzadko która gazeta ma ich zdjęcia w archiwum – mówi o nich dziennikarz „Nowej Gazety” Oleg Lurie.

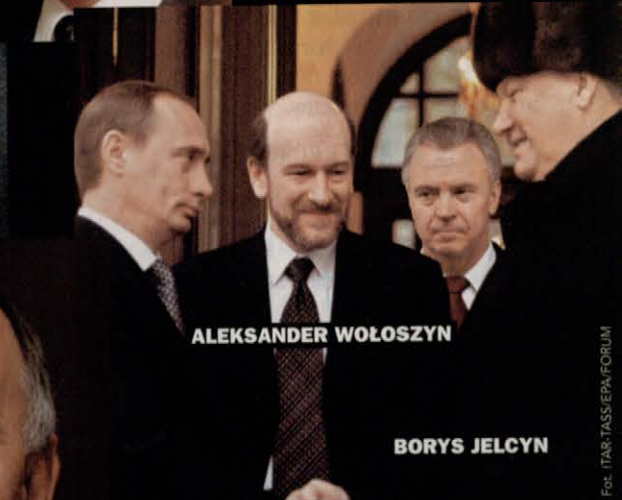
„Widma” mają już także pierwszą ofiarę na Kremlu: potężnego szefa administracji prezydenta Aleksandra Wołoszyna. Niepozornego,



BORYS GRYZŁOW



WIKTOR IWANOW



ALEKSANDER WOŁOSZYN

BORYS JELCYN

Za murami Kremla trwa zaciepła walka o władzę i pieniądze. Przyjaciele prezydenta Putina z dawnego KGB wsadzają do więzienia kolejnych oligarchów i krok po kroku przejmują władzę w państwie

tyłego człowieczka z bródką mianował jeszcze Borys Jelcyn wiosną 1999 roku. Pozostawał na tym stanowisku najdłużej ze wszystkich – aż 1684 dni – i stworzył strukturę władzy potężniejszą niż rosyjski rząd. Za jego czasów rosyjski premier i rada ministrów zostali zepchnięci do roli zwykłych podwykonawców. Najważniejsze decyzje zapadały w administracji na Kremlu.

– Wołodia, umówiliśmy się, że o 11 wieczorem wpadniemy do siedziby zwycięskiej partii, trzeba chłopakom pogratulować. Ty też tam jedziesz – tak zwrócił się Wołoszyn do Putina, wówczas jeszcze premiera, po wyborach parlamentarnych w grudniu 1999 roku. Wtedy mógł sobie na to pozwolić, bo reprezentował na Kremlu interesy „Familii” – polityków i oligarchów związanych z byłym

prezydentem Borysem Jelcynem. Emerytowany prezydent spędzający czas w swej podmoskiewskiej rezydencji rzucał jeszcze długi cień na rosyjską politykę. Dzięki temu Wołoszyn mógł odgrywać rolę pośrednika pomiędzy władzą a środowiskiem przemysłowców, a właściwie rolę lobbysty biznesu na Kremlu.

Ale z nowym prezydentem na Kremlu przyszli nowi ludzie. Ten klan Moskwa nazywa dziś „czekistami” lub „widmami”. Wszyscy byli w KGB, niektórzy jako kadrowi oficerowie, inni jako niejawni współpracownicy. Inteligentni, bezwzględni, niektórzy z doświadczeniem wojennym z radzieckich konfliktów kolonialnych w Angoli, Mozambiku czy Afganistanie. Kształcili się w akademiach specjalnych, gdzie wbito im do głów, że KGB to najlepsze, co ma naród radziecki, a oni są prawdziwą jego elitą.

Dziś na Kremlu nie dzieje się nic bez zgody „czekistów”. Formalnie generał lejtnant Wiktor Iwanow jest tylko zastępcą szefa administracji prezydenckiej, ale nawet ministrowie nie wejdą do gabinetu Putina bez jego zgody. „Kadrowy”, uważany za stratega „czekistów”, jest skrytym, unikającym prasy człowiekiem.

Jego najbliższym współpracownikiem jest kolejny zastępcą szefa administracji Igor Siczin. W aktach personalnych napisano, że ma „awanturny charakter” – pewnie dlatego „Kadrowy” zleca mu kierowanie atakami na konkurencyjne klany.

CZEKAJĄ W PRZEDPOKOJU

Do „czekistów” należy też minister obrony Siergiej Iwanow, minister spraw wewnętrznych Borys Gryzłow, szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa Nikołaj Patruszew, szef wywia-

Po trzech latach rządów swojego prezydenta „czekiści” nadal stoją w przedpokoju władzy. Wszystko, co było dotąd w ich zasięgu, to drobny biznes, a jedyną przeszkodą do jego opanowania stanowią do dziś koledzy z mundurowych resortów, którzy też czerpią korzyści z „opieki”.

Stosunki stołecznego biznesu z „czekistami” cyniczna Moskwa skwitowała następującą anegdotą: Na skrzyżowaniu zapala się czerwone światło. Pierwsza hamuje czarna wołga. Jadący za nią mercedes 600 nie zdążył wyhamować i uderzył w bagażnik wołgi. Z mercedesa wybiega Nowy Ruski, zza pazuchy wyciąga pistolet i z wściekłością zaczyna walić po szybach wołgi. Nagle widzi siedzącego w środku pułkownika kontrwywiadu. – Towarzyszu pułkowniku! Towarzyszu pułkowniku! – wrzeszczy Nowy Ruski. – Ja tu stukam i stukam, a towa-

nych współpracowników. Niezależnie od tego, kto rządzi na Kremlu – car, sekretarz generalny czy prezydent – żadna frakcja w jego otoczeniu nie może dominować.

Ale „czekiści” i tak tryumfują. Dymisja Wołoszyna to nie tylko biurokratyczne zwycięstwo jednego z klanów, lecz także nieuchronna zmiana rosyjskiej polityki. Jakby na potwierdzenie rosyjskie władze zgłosiły pretensje do kolejnego oligarchy – Romana Abramowicza. Zarzucają mu, że bezprawnie wszedł w posiadanie majątku. W wypadku Jukosu starano się znajdować dorzeczne zarzuty. „Bezprawne posiadanie majątku” to już otwarta groźba znacionalizowania przemysłu. Komuniści nawołują do tego już drugie dziesięciolecie.

Dotychczas przed takim rozwojem wypadków bronił Wołoszyn. Teraz nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie nonsensowne pomysły będą w Rosji realizowane, a jakie nie. Żaden z „czekistów” nie jest ekonomistą. Kilku z nich próbowało prowadzić różne firmy na początku lat 90., ale nic z tego nie wyszło. Jedyną przeszkodą w realizacji planu odebrania wszystkim oligarchom „bezprawnych majątków” jest – o dziwo – prezydent. Putin wie, że taka operacja wtrąciłaby cały kraj w chaos. Ale jak długo będzie mógł i chciał opierać się najbliższym współpracownikom?

ODBUDUJĄ ZSRR

– Waszyngton doskonale zdaje sobie sprawę, co się dzieje w Moskwie, ale nic nie robi, bo jest zajęty innymi sprawami – powiedział jednemu z rosyjskich korespondentów wysoko postawiony przedstawiciel amerykańskiej administracji. Korzystając z tego, „czekiści” rozwijają ofensywę dyplomatyczną. Nigdy nie zapomnieli, że głównym wrogiem Moskwy jest Waszyngton. Lata 90. uważają za szczególnie dla siebie poniżające, gdyż Rosja nie prowadziła wtedy polityki na odpowiednim poziomie, czyli mocarstwowej. Teraz nadrabiają te zaległości, a prezydent jest z nimi. Nie bez kozery jednym z zarzutów, jakie postawili Wołoszynowi, było to, że nie chce połączenia Rosji z Białorusią. Dla „czekistów” takie zjednoczenie byłoby początkiem odbudowy rosyjskiej dominacji na całym dawnym terenie ZSRR.

Pierwszą lekcję otrzymała Ukraina, która – nie tylko w środowisku „czekistów”, lecz także w całej moskiewskiej elicie politycznej – uważana jest za podłe i zdradzieckie państwo, konia trojańskiego Zachodu u samych granic Rosji. Z poduszczenia „czekistów” władze Kraju Krasnodarskiego na południu Rosji rozpoczęły budowę tamy na Morzu Azowskim, która miałaby zmienić przebieg granicy ukraińsko-rosyjskiej. Moskwa zgłosiła formalne żądania terytorialne wobec sąsiada i czeka, aż poniżony Kijów je przyjmie. To ma być lekcja pokory dla całego regionu. „Czekiści” nadchodzą.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI



Granica ukraińsko-rosyjska na Morzu Azowskim – miejsce pierwszego sporu granicznego wywołanego przez „czekistów”

Jedyną osobą, która powstrzymuje jeszcze zapędy „czekistów”, jest Władimir Putin

du Siergiej Lebiediew oraz zastępcą szefa rosyjskiego kontrwywiadu i główny specjalista od przestępstw gospodarczych Jurij Zaostrowcew, przez podwładnych zwany „Majonezem”. Ten ostatni rozciąga opiekę nad dwoma ogromnymi moskiewskimi sklepami meblowymi Grand i Tri Kita – ich współwłaścicielem jest jego ojciec, też były oficer KGB. Za przysługi ochrony i opieki „Majonez” otrzymuje miesięcznie około ćwierć miliona dolarów.

Tyle że taka opieka jest uciążliwa, a pieniądze za nią – jak na Rosję – niezbyt duże. Po prawie roku zakulisowych walk Zaostrowcew wygrał w końcu z konkurentami z MSW, którzy chcieli wsadzić do więzienia właścicieli supermarketów za niepłacenie cła importowego. Zwycięstwo „Majoneza” ogłosił w październiku moskiewski sąd: śledczy prowadzący sprawę supermarketów dostał dwa lata w zawieszeniu za przekroczenie uprawnień. Rok zacieklej walki z kolegami z milicji w obronie dwóch meblowych supermarketów, które w dodatku uważane są w Moskwie za drobny biznes.

rysz nie otwiera i nie otwiera! A ja się chciałem zapytać, dokąd pieniądze zawieźć dla towarzysza pułkownika!

Prawdziwe fortuny są nie w Moskwie, ale na Syberii, w przemyśle wydobywczym ropy, gazu i aluminium. Pieniądze potrzebne nie tylko jako osobiste bogactwo, lecz także dla całej grupy – na przykład do prowadzenia regionalnych i centralnych kampanii wyborczych. Ale one należą do oligarchów, których bronił dotąd Wołoszyn i konkurencyjny klan „Familia”.

PUTIN JAK CAR

– Wydarzenia związane z Jukosem stały się katalizatorem zmian na Kremlu – powiedział niedawno Putin. Gdy rozsypało się środowisko oligarchów, Wołoszyn zorientował się, że już nie ma już kogo reprezentować na Kremlu. Sam podał się do dymisji, nim taką decyzję wymusiłby na prezydencie „czekiści”. Zgodnie z zasadami snucia dworskich intryg Putin nie mianował jednak na zwolnione miejsce „widma”, ale jednego ze swych cywil-

DOM & WNETRZE

NR 12 (99) 2003 GRUDZIEŃ NR INDEKSU 35693X
CENA 8,90 zł (w tym 7% VAT)

temat numeru

BOŻE NARODZENIE

TRADYCYJNE • dom w złocie i czerwieni
NOSTALGICZNE • pierniczki na choinkę
EKSTRAWAGANCKIE • dekoracje w ogrodzie

SZKLANA KOMNATA
zaskakująca
łazienka
w centrum
nowoczesnego
mieszkania

WARSZAWA
PARYŻEM WSCHODU
odkrywamy świetność
wnętrz starej kamienicy

DOM TRZECH
MUSZKIETERÓW
dziś mieszka tu Monika Soszyńska
projektantka Christiana Lacroix

JUŻ W SPRZEDAŻY

MODERNISTYCZNY DOM



PARYSKIE MIESZKANIE STYLISTKI



PAKOWANIE PREZENTÓW



Pyszne czekoladki
AVANTI w prezencie
od WEDLA
w salonikach
INMEDIO i RELAY

PREZENT!
Najmodniejsze
ozdoby
na Twoją choinkę



Komornik Krzysztof Skrzypek licytację kościoła w Dalikowie zaliczył do najtrudniejszych spraw w karierze. Koledzy po fachu już mu złożyli wyrazy współczucia

Cmentarz, na którym wydarzyła się tragedia, będzie licytowany na końcu. Do tej pory nikt nie wie, jak go wycenić

Groźba zlicytowania parafii w Dalikowie okazała się smakowitym kąsem dla antyklerykalnych pism. Za to przed episkopatem Polski trudny egzamin. Czy biskupi uszanują wyrok sądu?

Komornik Sądu Rejonowego w Łasku ożywia się, gdy przerywamy na chwilę rozmowę o egzekucji kościoła i zaczynamy mówić o fotografii. Krzysztof Skrzypek nie ma czasu na pogaduchy, ale hobby jest silniejsze od niego.

– Kiedy zlicytuje pan parafię w Dalikowie? – nie dają za wygraną. Na to pytanie komornik nie ma szybkiej odpowiedzi. Wolalby uniknąć tej egzekucji, ale jeśli nie dojdzie do ugody stron, w murach świątyni zamiast mszy rzeczywście słyhać będzie sapanie kulturystów.

Zgodnie z wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi półtora tygodnia temu ponownie ru-

szyla procedura kasacyjna. Zdaniem części prawników oznacza to, że Roman Kotliński, redaktor antyklerykalnego łódzkiego magazynu „Fakty i Mity”, już może planować, gdzie w świątyni zainstaluje zestawy do ćwiczeń. Na razie jego konkurentem w ewentualnej licytacji jest tylko Jerzy Urban, szef tygodnika „Nie”, który z kolei zapowiada, że w kościele urządzi dyskotekę. Sprzedaż parafii byłaby precedensem w polskiej historii. Dlatego tegie prawnicze głowy od miesięcy ciężko pracują, by jednak do licytacji nie dopuścić.

Co jest przedmiotem ich troski? Przede wszystkim ceglany kościół z początku wieku. Neogotycka bryła, jakich wiele w Polsce – z ar-

chitektonicznego punktu widzenia nie szczególnego. Zapuszczony sad i cztery hektary pola. I jeszcze nieciekawą, skromny budynek plebanii w szarym kolorze oraz cmentarz. Na jego środku stoi kaplica byłych właścicieli dalikowskiego majątku i kilkaset lastrykowych grobów. Niby niewiele, ale mieszkańcy już zapowiadają, że przy obronie Dalikowa, która dopiero nastąpi, obrona Termopil to przyszcz.

TRUP ZA ODSETKI

Bezpośrednią przyczyną kłopotów dalikowskiej parafii, a także nieukrywanej satysfakcji Romana Kotlińskiego, byłego księdza, a obecnie wojującego antyklerykała, była roz-

MICHAŁ WÓJCIK

ZDJĘCIA KONRAD KONSTANTYNOWICZ/ZEROJEDEN.COM

łożysta akcja. Jej gruby konar odłamał się 11 października 1997 r. i przygniótł 14-letnią Agnieszkę. Dziewczyna stała akurat przy grobie swojego dziadka na dalikowskim cmentarzu. Była fatalna pogoda (w nocy gwałtowna burza, od rana następnego dnia wichura o sile 10 stopni w skali Beauforta – jak skrupulatnie na potrzeby adwokata Agnieszki podał Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej), a na cmentarzu tylko kilka osób. Karetka pogotowia przyjechała po 20 minutach.

Lekarze nie mieli wątpliwości: Agnieszka ma złamane trzony trzech kręgow. Potrzebny jest zabieg i rehabilitacja. Uczniowie kilku szkół przeprowadzili zbiórkę na pomoc kole-

żance. Wsparcie zadeklarował również Caritas. Do dziś nie wiadomo, dlaczego sprawy się skomplikowały. Tym bardziej że leczenie – choć powoli – zaczęło przynosić efekty.

Rok później w łódzkim sądzie leżał już wniosek o odszkodowanie. Adwokat Agnieszki Mikołajczyk wnioskował o 172 tysiące złotych jednorazowej rekompensaty i 800 złotych miesięcznej renty. Pozew skierowany był przeciwko kurii archidiecezji łódzkiej, do której należy parafia i cmentarz w Dalikowie.

Znowu wybuchła burza. Tym razem w sądzie. obrońca parafii stwierdził, że rehabilitacja dziewczynki została fatalnie poprowadzona, a za skutki złego leczenia nie jest

przecież odpowiedzialna parafia. Mimo to sąd okręgowy był innego zdania. Wiosną 2001 roku zapadł wyrok. Parafia ma zapłacić 127 tysięcy złotych i miesięcznie wypłacać rentę w wysokości 1450 złotych. Renta jest wypłacana, ale odszkodowanie nie. Zgodnie z prawem ruszyła więc lawina odsetek. Do dziś kwota osiągnęła 400 tysięcy i wciąż rośnie. Ponieważ wyrok się uprawomocnił, a parafia nie była w stanie zapłacić odszkodowania, mama Agnieszki skierowała wniosek o kasację dóbr parafii na poczet zasądzonych odszkodowań.

Tego, co się potem stało, nie da się porównać do burzy. To był prawdziwy kataklizm





Wójt Dalikowa Paweł Szymczak jest dobrze przygotowany do batalii o kościół. Zebrał dokumenty od XVII wieku

Teresa Mikołajczyk, mama poszkodowanej dziewczynki, potrzebuje pieniędzy na ratowanie zdrowia córki



Redaktor antyklerykalnego pisma Roman Kotliński nie ukrywa, że chce kupić świątynię na złość Kościołowi

FOT. Cezary Peczold/FAKTERPORTER

wzburzenia. Parafianie spięli łańcuchami bramę do kościoła, zaś kilku śmiałków przed kamerami zapowiedziało, że w obronie świątyni paść może nawet trup.

GŁOWY DZIEDZICA

Wójt Dalikowa Paweł Szymczak nikomu nie wygraża, nie zlorzeczy i nie pomstuje. Wie, że szykuje się długa batalia o kościelne dobra, które ma zająć komornik.

– Ale nie zajmie – tłumaczy wójt. – Nie ma takiej możliwości.

Na dowód rzuca na stół dokumenty. Z częstotliwością pracy szybkiego ksero na stół pod paprotką lecą ekspertyzy i wycinki z ustaw. Pierwszy dokument od razu rzuca się w oczy. To kopia listu Franciszka Wądręskiego, „komornikiewicza Ziemskiego Sieradzkiego, dziedzica Dalikowa” z 1762 roku. List poucza spadkobierców, by nie śmieli kwestionować decyzji ofiarowania Kościołowi kawałka ziemi. „Sukcesorom moich praw – z trudem czytam staropolski tekst monitu – aby sobie te roli y Stawiska nie przywłaszczali”. Zapewne na tym właśnie gruncie mieszkańcy wsi wystawili ponad 140 lat później murowany kościół.

Zaraz za tą kartą leci na stół cały tekst konkordatu. Wójt, nie patrząc, udziela wskazówek: – Artykuł piąty!

Artykuł piąty precyzuje, że państwo ma obowiązek zapewnić Kościołowi katolickiemu swobodne i publiczne pełnienie jego misji. To oznacza – tu nadlatuje kolejny papier, wykładnia konkordatu autorstwa rejenta Chmiela Wojciecha – że zbycie nieruchomości bez pisemnej zgody biskupa nie jest możliwe. A zbyć może przecież chcecie proboszcz parafii – sugeruje rejent i ostrzega, że nabycie nieruchomości od osoby nieuprawnionej naraża nabywcę na proces sądowy.

Wójt wyraźnie kontent z wrażenia, jakie robi dokumentacja, nie daje za wygraną. Na stół spada Ustawa o postępowaniu egzekucyjnym administracji z 1966 roku. Zielonym flamastrem wprawna ręka zaznaczyła już, że rzeczy

służące Kościołowi do nabożeństwa albo będące obiektem kultu nie podlegają egzekucji. Wątpiących dobić ma fragment kodeksu postępowania cywilnego. W dokumencie mowa jest o ograniczeniach egzekucji. I tak jednemu dłużnikowi trzeba zostawić albo jedną krowę, albo dwie kozy, albo trzy owce. Nie można go też pozbawić przedmiotów służących do wykonywania praktyk religijnych.

– A u nas w parafii – wyjaśnia wójt – jest 1300 głów.

NO PROBLEM

Z egzekucją długu od parafii, takiego samego przecież podmiotu prawnego jak wszystkie inne instytucje, nie będzie najmniejszego problemu – mówi z kolei Andrzej Ritmann, rzecznik prasowy Łódzkiej Izby Komorniczej.

Gdy słucham jego argumentów, mam wrażenie, że sprawa prosta jest jak drut: – Komornik pojawia się u księdza z wnioskiem wierzyciela i wyrokiem sądu opatrzonym klauzulą wykonania. Następnie biegły sądowy, rzeczoznawca nieruchomości, dokonuje oględzin i wycenia budynki. To nie wszystko. Już za miesiąc w prasie pojawi się obwieszczenie o licytacji. Cena wywoławcza wynosi trzy czwarte kwoty oszacowania. Jeśli nie znajdzie się nabywca, odbędzie się druga licytacja. – Tym razem – ciągnie Andrzej Ritmann na jednym wydechu – nieruchomość ma być wyceniona na dwie trzecie wartości.

– I wtedy ja to kupię – deklaruje redaktor Roman Kotliński. Były ksiądz nie boi się opatrności. – Bez żadnego strachu pójde na wojnę z parafią – grzmi. – I przerobię kościół na salę gimnastyczną. Jerzy Urban przesadza

z pomysłem na dyskotekę. Przecież pies z kulawą nogą nie przyjdzie tu tańczyć, jak parafianie będą w tym czasie „omadlać” budynek.

Kotliński nie ukrywa, że rozkoszuje się myślą o losach dalikowskiej parafii. – Gdyby Kościół chciał, afery by nie było – mówi. Pamięta bowiem, że z samych tylko łódzkich cmentarzy w dzień Wszystkich Świętych kwestarze zbierali rok w rok około miliona złotych, zatem suma 400 tysięcy nie powinna być dla Kościoła żadnym problemem. Dlatego też z utęsknieniem czeka na licytację i gorąco popiera mamę Agnieszki w jej staraniach o odszkodowanie.

CENA SENTYMENTU

Mama Agnieszki zawsze umawia się poza domem. Nie chce, aby potem jej córkę wytykano palcami. Jest przerażona. Codziennie spotyka się z dziennikarzami. Od nich wyciąga najnowsze informacje na temat licytacji. Drży na myśl, że mogłaby nie mieć pieniędzy na leczenie córki. – Obecnie potrzeba 250 tysięcy – mówi. – Gdy tylko taka kwota pojawi się na koncie, jedziemy do zachodniej kliniki. Agnieszka będzie zdrowa! – jej głos jest twardy i brzmi nieustępliwie.

Pani Teresa nie chce jednak krzywdy parafian. Przykro jej, że może dojść do licytacji kościoła, ale nie miała innego wyjścia, niż zgłosić się do komornika. To bowiem jedyna droga do uratowania Agnieszki.

Z kolei profesor Andrzej Marciniak z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego uważa, że sprzedaż kościoła, który w najlepsze służy wiernym, jest absolutnie niemożliwa. Sąd Najwyższy w 1969 roku zdecydował bowiem, że licytacja nie podlega przedmiotom liturgicznym, jak: kielichy, obrazy, ołtarze czy krucyfiksy. Dotyczy to również samych świątyń. – Nestor prawa egzekucyjnego, profesor Edmund Wengerek, posunął się nawet dalej – dodaje profesor Marciniak. – Egzekucji nie podlegają także same działki, na których stoją kościoły. Jego

zdaniem jednak Kościół jako instytucja musi znaleźć pieniądze na odszkodowanie.

Co na to biegli rzeczoznawcy, którzy mają wycenić pechowy kościół? Nawet w tym środowisku opinie są podzielone. Zdaniem Stanisława Różanka, sekretarza warszawskiego oddziału Polskiego Stowarzyszenia Wyceny Nieruchomości, teoretycznie wycenić da się wszystko. – Na początku lat 90. robiliśmy nawet symulację wyceny Wawelu i Sukiennic. Udało się. W wypadku kościoła w Dalikowie

w tym samym miejscu, o tyle przecież nie dało się wycenić sentymentu żydów do tej świątyni. Sentyment mieszkańców Dalikowa do miejscowego kościoła jest również bezcenny. W dodatku kościół budowali ich dziadkowie, którzy leżą teraz na pobliskim cmentarzu. On również zagrożony jest licytacją.

TWARDE PRAWO

Jeżeli przystąpię do pracy, to dopiero za jakiś rok – zastanawia się na głos komornik Skrzy-

Zdaniem sądu, który nakazał wypłatę odszkodowania, nie trzeba licytować kościoła. Przecież właścicielem parafii jest kuria

prawdopodobnie stanie na wysokości kilku set tysięcy złotych. Sama działka to zaledwie 40 tysięcy.

Pracownik krakowskiego oddziału Stowarzyszenia uważa jednak, że kolega z Warszawy nie wziął pod uwagę wartości sentymentalnej. – Rok temu próbowaliśmy wycenić jedną z krakowskich synagog. O ile łatwo wycenić dochody z jej używania, a nawet policzyć koszty odtworzenia podobnej budowli

pek. W jego głosie pobrzmiewa jednak powątpiewanie. – Strony muszą się dogadać – mówi.

Gdy następnego dnia znowu pojawia się na terenie parafii, otoczenie świątyni przypomina już obóz warowny. Ksiądz chowa się w zatrzaskanej plebanii. Kilkanaście minut później, mimo że nadeszła pora mszy, widząc aparat fotograficzny, nie otwiera kościoła. Razem z wiernymi czekamy zatem na zewnątrz. Czas mija, zaczynamy parafianom przeska-

dzać. Sypią się pogroźki i ordynarne przekleństwa. Na wszystkich. Na fotografa, bo jątrzy. Na sądy, bo wyrok jest za wysoki. Na chorą Agnieszkę, bo chce za dużo. Poza tym, zdaniem niektórych parafian, dziewczyna wcale nie jest tak chora, jak mówi jej matka. Podobno ktoś widział ją na dyskotekę, a jeszcze ktoś, jak prowadziła samochód w rajdowym tempie. A na koniec dowiadujemy się, że za aferą kryją się „określone, antykościelne siły”.

Tymczasem zdaniem Bożeny Błaszczyk, przewodniczącej II Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Łodzi, która wydała wyrok w sprawie chorej Agnieszki, za wszystkim kryje się bardzo prozaiczne pytanie: czy dla Kościoła liczy się litera prawa? Wyjaśnia, że wydając wyrok nakazujący wypłatę odszkodowania, nie dociekała powiązań między księdzem, parafią a biskupem. To kuria przecież jest właścicielem parafii, która nie ubezpieczyła się w porę przed skutkami nieszczęśliwego wypadku. Zdaniem sędzi nie trzeba licytować kościoła.

– Gdybym przy wydawaniu wyroków brała pod uwagę te wszystkie wątpliwości, nie wydałabym żadnego – wyjaśnia i spokojnie czeka na rozwój wypadków.

MICHAŁ WÓJCİK

Niecałe 3 zł/godz.

To najniższe wynagrodzenie, do którego dotarliśmy.

Sprawdź, ile naprawdę zarabiają Polacy



Pierwszy odcinek Polskiej Listy Plac 17 listopada w Gazecie Praca

Polska Lista Plac w kolejne poniedziałki

gazeta
WYBORCZA



JAKUB MIELNIK

UPADEK PUCYBUTA

Był prezesem jednego z największych koncernów Ameryki i najbogatszym biznesmenem polskiego pochodzenia w USA. **DENNIS KOZŁOWSKI** kradł tak, że Grzegorz Wierczak to przy nim drobny kombinator



To kiczowate przyjęcie urodzinowe, które Kozłowski wydał na cześć żony na Sardinii, kosztowało dwa miliony dolarów. Obok: Dennis Kozłowski w samochodzie pod budynkiem sądu. Grozi mu wyrok do 30 lat więzienia

29 października tego roku sala rozpraw numer 1324 sądu stanowego na Manhattanie zamieniła się w kino. Przysięgli w skupieniu pochylili się nad nagraniem, które miało być dowodem złodziejstwa i rozpasania prezesa jednego z największych koncernów Ameryki.

Ważniejsze od tego, co zobaczyli przysięgli, jest jednak to, czego nie zobaczyli. Sędzia zadecydował bowiem o wycięciu z filmu co pikantniejszych kawałków. Przysięgli nie zobaczyli więc lodowego posągu Dawida sikającego wódką Stolicznaja do kryształowych kieliszków ani półnagich gladiatorów wnoszących tort w kształcie nagiej kobiety, z której okazałych piersi strzelały zimne ognie. Nie widzieli też wiceprezesów rozbierających się przed kamerami i odzianych w kuse tuniki modelek pływających wokół basenu. To, co zobaczyli, wystarczyło jednak, by wyrobić sobie zdanie na temat milionerów. Jako przeciętni i porządni obywatele widzieli już dosyć seriali i słyszeli dosyć plotek, by mieć jako taki pogląd w tej sprawie. Jednak 29 października ławnicy zebrani w sali rozpraw numer 1324 dostali do ręki konkretny dowód.

– Będziemy jeść, pić i balować. To są zajęcia, z których jesteśmy najbardziej znani – mówił do kamery człowiek, którego jeszcze niedawno prasa nazywała „najbardziej agresywnym biznesmenem Ameryki”. Był czas, gdy szczerą słowiańska twarz Dennisa Kozłowskiego spoglądała z okładek prestiżowych magazynów „Forbes” i „Business Week”. Uchodził za uosobienie amerykańskiego mitu, według którego nawet prosty chłopak z ubogiej polskiej dzielnicy może zająć na szczyt, jeśli tylko dużo i ciężko pracuje.

DENNIS ZAWODOWIEC

Zanim wylądował na ławie oskarżonych, Kozłowski został mistrzem świata w wydawaniu pieniędzy. Mieszkał w 13-pokojowym apartamencie przy Piątej Alei w Nowym Jorku, który kupił i wyposażył za 30 milionów dolarów. Z okien rozciągał się widok na Central Park, a ściany zdobiły obrazy Moneta i Renoira. Miał

prywatny odrzutowiec, zabytkowy jacht i rezydencje w New Hampshire, Nantucket i na Florydzie. W ciągu roku wydawał 155 tysięcy dolarów na ubrania, 100 tysięcy na kwiaty i 50 tysięcy na wino.

Nieźle jak na kogoś, kto podawał się za syna policjanta. W rzeczywistości jedyne, co łączyło jego rodzinę z policją, to praca matki, która na etacie policyjnym przeprowadzała przez jezdnię dzieci wychodzące z pobliskiej szkoły.

Pojawiał się w przejętej firmie, ustawiał na środku gabinetu wielki kosz na śmieci i wzywał szefów, którzy przetrwali pierwszą czystkę. Kazał im wrzucać wszystkie papiery, których nie zdążyli dotąd przeczytać. Przegrywał ten, który najwięcej dorzucił do kosza. Nie przepadał za absolwentami dobrych uniwersytetów. Wolał takich jak on ludzi z nizin, którzy braki w wykształceniu nadrabiali ambicją. Ogłaszał nagrody dla najlepszego i najgorszego menedżera

200 tysięcy osób na całym świecie. W ciągu ośmiu lat zawarł ponad 200 transakcji. Między 1992 a 2000 rokiem każdego dnia robocznego Kozłowski kupował lub sprzedawał jakąś firmę. Inwestował we wszystko od produkcji jednorazowych pieluch po sieci światłowodowe. U progu nowego stulecia zyski Tyco za sprawą Kozłowskiego wzrosły 40-krotnie.

Powodziło mu się coraz lepiej. Jak każdy nowobogacki miał słabość do wyższych sfer. Jeszcze

przez nowojorski high life. – Wydawali fortunę, nieźleby dobre malarstwo, może z czasem by się otrząskali, ale oni byli chciwi i wszystko chcieli osiągnąć od razu – skwitował ich debiut na Piątej Alei David Patric Columbia, wydawca „Nowojorskiego Przeglądu Towarzyskiego”.

Kozłowski wycofał się do którejś ze swoich rezydencji. Dennis zajął się tym, co potrafił najlepiej, czyli wydawaniem pieniędzy. W 2001 roku zorganizował żonie urodzinowe przyjęcie na

nerwowość wśród nowojorskich marszałków, bo wielu z nich pomagało kolekcjonerom obchodzić nowojorskie przepisy podatkowe.

Przy okazji prokuratura wykryła, że obrazy „Près Monte Carlo” Moneta i „Fleurs et Fruits” Renoira kupiono na koszt Tyco, a prezes firmy najwyraźniej nie rozróżnia majątku firmy i akcjonariuszy od własnego. Sprawą zajęła się amerykańska Komisja Giełdy i Papierów Wartościowych (SEC).

lepszych ludzi, wśród nich parę prokuratorów, którzy uzyskali wyrok skazujący matkę i syna za morderstwo, mimo że nie znaleziono ciała ofiary. Prokurator okręgowy Manhattanu Robert Morgenthau oskarżył Kozłowskiego o zawiązanie spisku mającego na celu ograbienie Tyco z pieniędzy i korumpowanie podwładnych, żeby ukryć rozmiary procederu. Dowodem na korumpowanie miał być między innymi ów film z urodzinowego przyjęcia za dwa



Fot. JOE RAEDLE/GETTYEAST NEWS

Pierwsze pieniądze zarobił, rzepoląc na gitarze w zespole przygrywającym na polonijnych weselach. Po studiach na podrzędnym Uniwersytecie Seton Hall Kozłowski chciał zostać pilotem, ostatecznie skończył jednak w biznesie.

W 1975 roku John Graziano zatrudnił go w koncernie Tyco, dziś potężnym konglomeracie produkującym systemy elektroniczne i kable. Graziano reprezentował wszystko, o czym mógł marzyć biedny Polonus z Newark. Miał dyplom prestiżowego Massachusetts Institute of Technology, obycie w wyższych sferach, odrzutowiec, śmigłowiec i trzy luksusowe apartamenty.

U Gaziana Kozłowski zaczął się piąć. Firma rozrastała się głównie dzięki wrogim przejęciom konkurencji. Kozłowski obejmował szefostwo przejętych spółek, ciął koszty, zwalniał ludzi i przykrawał nowy nabytek do potrzeb Tyco.

miesiąca. I jednym, i drugim wyprawiał przyjęcia, choć zwykle w tym drugim przypadku impreza kończyła się wręczeniem wypowiedzenia. – Dennis był jak ci faceci, którzy biegają w Indiach za słoniami. Zawsze wysyłano go, żeby posprzątał bałagan – mówił o nim wieloletni członek zarządu Tyco Robert Monks.

KOZ I JEGO MORALNOŚĆ

Kozłowski wspiął się na szczyt w czasach kultu yuppie. – Dennis używa tylko jednego biegu – do przodu z prędkością 300 mil na godzinę – mówili o nim współpracownicy. Jeśli odpoczywał, to za sterami śmigłowca albo jachtu wyścigowego lub szalejąc bez kasku na jednym ze swoich harleyów.

11 lat temu został szefem Tyco i szybko zamienił tę firmę w giganta zatrudniającego ponad

w 1985 roku kupił za milion dolarów dom w North Hampton, ekskluzywnej enklawie spadkobierców starych fortun. Tam w jednej z restauracji poznał na początku lat 90. swoją drugą żonę. Karen Mayo była kelnerką i nie zawahała się rzucić męża, polawiacza krabów, by amerykański mit o pucybutach mógł się dopełnić. Kozłowski kupił Karen dom na plaży, zatrudnił osobistego trenera i dał kartę kredytową, z którą przeczesywała co lepsze sklepy w okolicy.

Potem parze pucybutów zamarzyło się wejście na nowojorskie salony. Biznesmen bez pochodzenia o przyćmiewającej aparycji i kelnerka z ambicjami towarzyskimi nie zostali zaakceptowani



Powyżej: Jedna z rezydencji Kozłowskiego na Florydzie i obraz Claude'a Moneta zakupiony do jego prywatnej kolekcji

Dennis Kozłowski tuż po postawieniu go w stan oskarżenia. Po tej decyzji akcje Tyco gwałtownie straciły na wartości

Kozłowski wydawał fortunę, ale brakowało mu gustu. Był chciwy i wszystko chciał osiągnąć od razu

Sardynii za, bagatela, dwa miliony dolarów. Zanim kaseta nagrana nad Morzem Śródziemnym trafiła do sali sądu na Manhattanie, Kozłowski zdążył jeszcze podarować milion dolarów Saint Anselm College w New Hampshire. Na zakończenie roku akademickiego powiedział do 441 absolwentów: „Codziennie będziecie stawali przed testem sprawdzającym waszą moralność. Uważajcie, by robić rzeczy właściwe, a nie łatwe”. Wkrótce potem okazało się, że Koz, jak nazywali go przyjaciele, najwyraźniej nie słucha własnych rad.

ZMARŁY MI ANULOWAŁ

Upadek pucybuta, który stał się milionerem, zaczął się od oskarżenia o niezapłacenie miliona dolarów podatku od dzieł sztuki wartych 13 milionów dolarów. Sprawa wywołała pewną

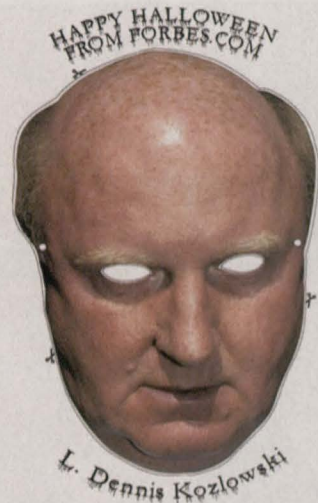
– Kozłowski traktował Tyco jak prywatny bank, biorąc setki milionów dolarów pożyczek i nie informując o tym inwestorów – ogłosił szef Komisji Stephen Cutler. SEC ocenia, że Kozłowski zagarnął bezprawnie ponad 300 milionów dolarów tytułem premii i pożyczek, które zaciągał bez wiedzy akcjonariuszy. Okłamywał też zarząd, twierdząc, że nieżyjący już dziś prezes rady nadzorczej anulował mu sto milionów dolarów pożyczki, którą wydał na apartamenty, dzieła sztuki i rezydencje. Po aresztowaniu Kozłowskiego w ciągu jednego dnia akcje Tyco spadły na dno, wyparowało prawie pięć i pół miliarda dolarów rynkowej wartości koncernu.

Prokuratura, czuła na korporacyjne przestępstwa po skandalu związanym z upadkiem Enronu, wytoczyła przeciw Kozłowskiemu najcięższe działa. Do sprawy przydzielono naj-

miliony dolarów, którego koszty pokryła firma, a gdzie połowę gości stanowili związani z Kozłowskim pracownicy koncernu.

Bez względu na to, jaki będzie wyrok w sprawie Kozłowskiego, jego dni jako mistrza świata w wydawaniu pieniędzy są już policzone. Całą swoją karierę związał z firmą Tyco i teraz nie ma dokąd pójść. Nawet jego rodzinny dom w Newark już nie istnieje. Został zburzony po zamieszkach rasowych w 1967 roku. W miejscu gdzie wychowywał się człowiek okrzyknięty najbardziej agresywnym biznesmenem Ameryki 2001 roku, jest dziś tylko porośnięta chwastami działka. Amerykański mit ma zwieńczenie w przysłowiu, które mówi: Im wyżej mierzysz, tym wyżej wisisz.

JAKUB MIELNIK



Magazyn „Forbes”, który dwa lata temu umieścił Kozłowskiego na okładce, w tym roku zrobił maskę z jego twarzy, którą można straszyć dzieci w Halloween

Fot. AP

Biskup **GENE ROBINSON** chciał rzucić wyzwanie anglikańskiej hipokryzji. Zamiast tego doprowadził do rozpadu swojego Kościoła

Tak pilnie chronionego nabożeństwa nie było w Stanach od dawna. Wokół hali hokejowej Uniwersytetu New Hampshire w Durham setka policjantów rozdzielała wojujących heteroseksualistów od tłumu zdeklarowanych gejów. Za jednym kordonem nad tłumem unosiły się tablice z napisem: „Bóg nie znosi ciot”, za drugim na koszulkach można było przeczytać, że „geje są w porządku”. Środkiem szli goście przybyli na konsekrację nowego anglikańskiego biskupa diecezji New Hampshire i 300 dziennikarzy. Ci ostatni zjechali, by na własne oczy zobaczyć początek pierwszej schizmy nowego tysiąclecia.

Sprawca całego zamieszania do ostatniej chwili nie rozstawał się z ochroną. Gdy Gene Robinson wyszedł w końcu na platformę ustawioną na lodowisku, był równie przejęty uroczystością, co przerażony o swoje życie. Trzy godziny później był już biskupem diecezji New Hampshire. Mitrę zgodnie z anglikańskim zwyczajem przyjął z rąk najbliższych: byłej żony i dwóch córek i... obecnego życiowego partnera.

TERAPIA ŻONA

Poza groźbami śmierci Robinson dostał zaproszenia na wszystkie przyszłoroczne paradę gejowskie w USA. Na wstępie odmówił przejazdu ulicami San Francisco otwartą limuzyną. – Samochód otoczyliby bezczelni chłopcy w skórach – wyjaśnił dziennikowi „The Independent”.

– Bóg kocha mnie i gejów takich, jacy jesteśmy – mawia najbardziej kontrowersyjny biskup świata. – Nie mam cienia wątpliwości, że jestem przez niego kochany ponad moje najśmielsze wyobrażenia.

Gene Robinson ma 56 lat i właśnie został pierwszym w historii hierarchą żyjącym w jawnym związku homoseksualnym. Na urząd wybrali go wierni i kler New Hampshire, a radzie biskupów Kościoła episkopalnego (tak nazywa się wspólnota anglikańska w USA) pozostało tylko zatwierdzić kłopotliwą decyzję. Kłopotliwą, bo już wtedy było jasne, że konsekracja wywoła rozłam w świecie anglikańskim.

Gene Robinson urodził się w głęboko religijnej rodzinie. Mieszkali w Kentucky, ojciec Gene’a uprawiał tytoń. Przyszły biskup przeszedł na świat sparaliżowany i ze zdeformowaną czaszką. Lekarze nie dawali mu wielkich szans na przeżycie, więc od taty, który spodziewał się córki, dostał na imię Vicky.

Vicky Gene od młodości był bardzo religijny. Swoją homoseksualizm odkrył stosunkowo późno. W szkole przeczuwał, że jest inny od rówieśników, ale w świetle ówczesnej nauki protestanckich Kościołów homoseksualiści byli obrzydliwymi ludźmi, więc Robinson nie dościszczał myśli, że mógłby być jednym z nich. W szkole nie poszedł na Princeton, choć został przyjęty. Wybrał studia w męskim college’u episkopalnym w Tennessee. Tak trafił do swojego obecnego Kościoła, a święcenia kapłańskie przyjął w roku 1973.

Rok wcześniej ożenił się, uprzedzając żonę przed ślubem, że czuje pociąg do mężczyzn. Małżeństwem chciał „wyleczyć się” z homoseksualizmu. Gdy to nie pomogło, Robinsonowie udali się na terapię małżeńską. Tam Gene przekonał się, że musi zaakceptować swoją orientację. W 1987 roku rozwiódł się z żoną. Na pożegnanie poszli do kościoła, gdzie wymienili obrączki i poprosili się nawzajem o wybaczenie.

Rok później na wakacjach na Karaibach Robinson poznał obecnego partnera. Od 1989 roku żyje z nim w stałym związku. Parnowie mieszkali dotąd w małym domu w miasteczku Weare. W marcu przeprowadzili się do rezydencji biskupiej w Concord.

Kapłanem Robinson jest od 30 lat. W tym czasie z wikarego małej parafii w New Jersey wyrósł na sekretarza wykonawczego archidiecezji Nowej Anglii. Wśród wiernych ma opinię doskonałego duszpasterza – energicznego, pomysłowego i zaangażowanego. Zbudował program dokształcania księży, ma na koncie sukcesy w pracy z młodzieżą (jest między innymi założycielem grupy wsparcia dla homoseksualnych nastolatków), angażował się w walkę z rasizmem i edukacją o AIDS, działał też jako mediator w konfliktach między klerem a wiernymi. Ta ostatnia umiejętność może mu się teraz najbardziej przydać.

BÓG JEST MI BLISKI

Przedstawiciele Kościołów narodowych, skupiających łącznie 50 z 77 milionów wszystkich anglikanów, oznajmili dobitnie, że wyświęcenie Robinsona to cios w jedność wyznaniową anglikanizmu. Nie mogą zrobić nic więcej, bo episkopalia, choć należą do światowej Wspólnoty Anglikańskiej, są całkowicie niezależni. Najostrzej reagują na konsekrację wierni w Trzecim Świecie. – Diabeł wstąpił w Kościół – powiedział arcybiskup Kenii, który zerwał już stosunki z anglikanami z USA. Liberalne Kościoły w Europie i Ameryce wiedzą, że bez tych najludniejszych wspólnot w Afryce i Azji anglikanizm będzie tylko jedną z wielu protestanckich mniejszości.

„Gene Robinson jest przykładem tego, co najgorsze w gejowskiej kulturze znudzonej, liberalnej i przesadnie bogatej Ameryki. Był najwyraźniej zdolny do relacji seksualnej w małżeństwie, dopóki nie stracił głowy dla

kochanka. Wszyscy znamy retorykę odkrywania ukrywanego przez lata »prawdziwego ja« – można przeczytać w komentarzu do konsekracji w gazecie Kościoła Anglii.

Podobnie jak dla katolików dla tradycyjnie usposobionych anglikanów homoseksualizm jest sprzeczny z Pismem Świętym. – To katastrofa – mówi o konsekracji wieloletni Dean Steward, proboszcz parafii renegatów w Concord, stolicy diecezji New Hampshire. – Kościół episkopalny zrywa z tradycyjnym chrześcijaństwem. Uczą heretyckich praktyk i doktryn.

Zwolennicy Robinsona nakazom Pisma przeciwstawiają chrześcijańskie przykazanie miłości. Na pytanie, czy nie powinien ustąpić dla zażegnania schizmy, sam Robinson odpowiada, że nie może, bo wypełnia misję daną mu przez Pana. – Bóg wydaje mi się dziś tak bliski, że modlitwa jest niemal niepotrzebna.



Gene Robinson z 21-letnią córką Ellą i swoim partnerem Markiem Andrewsem

Czuję się całkowicie otoczony jego miłością, a jego obecność jest dla mnie niemal namacalna – wyjął w jednym z wywiadów.

Dla tradycyjnych anglikanów namacalny jest raczej narastający kryzys światopoglądowy w łonie wspólnoty. „Kobiety przy ołtarzu, a chłopcy w łóżku” – tak kilka lat temu skwitował wizję liberalnego anglikanizmu pewien konserwatywny duchowny. Postępowcy zabiegają o jak najdalej idącą akomodację Kościoła do współczesnych realiów społeczno-obyczajowych. Pod ich presją część wspólnot narodowych wprowadziła już kapłaństwo kobiet, kilka wyświęciło nawet żeńskich biskupów. Kolejnym etapem akomodacji ma być dopuszczenie czynnych homoseksualistów do urzędów kościelnych i błogosławienie związków gejowskich i lesbijskich. To ostatnie robi już od kilku miesięcy diecezja episkopalna w Vancouver w Kanadzie.

O tym, jak rozmywa się anglikański światopogląd, świadczy przypadek byłego biskupa Edynburga Richarda Hollowaya. Kilka lat temu wprawił on wiernych w osłupienie, ogłaszając publicznie, że nie wierzy w zmartwychwstanie. Chwilę później parafianie o mało nie pospadałi z krzesel, gdy usłyszeli, że opór Kościoła wobec narkotyków, homoseksualizmu i przypad-

kowego seksu nie wynika z bożej moralności, lecz z kulturowego wstecznicstwa kleru.

W takich chwilach katolicy mogą się tylko cieszyć, że mają hierarchiczny Kościół i nieprzejeźdźnego papieża o ustalonych poglądach. Konsekracja Robinsona to przestroga dla zwolenników kształtowania wspólnot religijnych zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami. Żaden Kościół nie przetrwa bez pewnej dozy ortodoksji i silnego duchowego przywództwa.

BIALI CHŁOPCY SIĘ DENERWUJĄ

Wielu anglikanów twierdzi, że nie byłoby afery, gdyby Robinson zachował swoją orientację dla siebie. Homoseksualizm nie jest rzadkością wśród amerykańskich biskupów, a w Wielkiej Brytanii geje stanowią 20 procent kleru. Problem w tym, że Robinson postanowił rzucić wyzwanie anglikańskiej hipokryzji. A tego dla konserwatystów było już za wiele. Co innego tolerowanie homoseksualizmu, a co innego otwarte promowanie go na kościelnych stanowiskach.

Batalia dopiero się zaczyna. Po stronie konserwatywnych amerykańskich anglikanów opowiedział się nawet kardynał Joseph Ratzinger, prefekt watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary. Mogą oni także liczyć na wsparcie kilku potężnych milionerów, między innymi niejakiego Howarda Ahmanson, któryłoży na fundację promującą kamienowanie gejów i ideę państwa teokratycznego opartego na prawie biblijnym.

Robinson raczej nie wygra z resztą Kościoła anglikańskiego, ale prawie na pewno zdoła go podzielić. Schizmę przepowiedano już 14 lat temu, przy okazji wyświęcenia Barbary Harris, pierwszej kobiety biskupa. Tym razem prawdopodobieństwo podziału jest o wiele większe. – To walka o władzę. Biali chłopcy widzą, że ich Kościół się zmienia i wcale im się to nie podoba – powiedziała obecna na konsekracji Robinsona biskupa Harris.

W USA przeciwnicy Robinsona rozpoczęli już starania o wydzielenie odrębnego Kościoła. Prawnicy doradzają poszczególnym parafiom, jak w razie rozłamu zabezpieczyć mienie na poczet nowej organizacji religijnej. W czterech stanach diecezje zamroziły fundusze episkopalnej „centrali”, która zaaprobowowała wyświęcenie Robinsona. W samym New Hampshire, pod nosem Robinsona, powstaje już „równoległa” diecezja.

Co czeka samego schizmatyka? Jeśli nie zginie z rąk religijnego fanatyka (większość stacji telewizyjnych liczyła na widowiskowy zamach podczas konsekracji), w najgorszym razie zostanie przywódcą kilku odszczepieńczych parafii stanu New Hampshire i utworzy z nich najbardziej „postępowy” Kościół na świecie. I będzie dalej powtarzał, że Bóg go do tego powołał.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

APOSTOŁ GEJÓW



MAX SUSKI

Po 26 latach pracy za granicą Andrzej Niemczyk wrócił przed rokiem do kraju, aby objąć żeńską kadrę narodową w siatkówce. Był wyposażony nie tylko w biegłą znajomość tureckiego i niemieckiego, lecz także w doświadczenie poparte talentem do radzenia sobie z kobietami. Na efekty nie trzeba było długo czekać. We wrześniu polskie siatkarki zdobyły pierwszy w historii tytuł mistrzyń Europy, a teraz walczą na mistrzostwach świata w Japonii.

POLSCY SPORTOWCY NA PODIUM

Była połowa lat 70., złoty okres polskiego sportu. Szewińska, Wszola, Ślusarski, orły Górskiego, siatkarze Wagnera – rodzime gwiazdy zdobywały medal za medalem. W 1975 roku kobiecą reprezentację siatkówki przejął młody, 31-letni Andrzej Niemczyk, absolwent warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego, były zawodnik Anilany Łódź i Stali Mielec. Pełen zapału zapowiedział dziewczynom, że zdobędzie z nimi medal. Jeśli nie – rezygnuje z prowadzenia kadry.

W 1977 roku drużyna pojechała na mistrzostwa Europy do fińskiego Tampere. Aż do meczu półfinałowego wszystko wskazywało, że Niemczyk dołączy do elity polskich trenerów z medalami na koncie. Na wygraną z zespołami NRD czy ZSRR nikt specjalnie nie liczył, ale przegrana o brąz z teoretycznie słabszymi Węgierkami rozczarowała. Słowo się rzekło, Niemczyk porzucił polskie siatkarki i wyjechał z Polski. Nie było go w kraju ponad ćwierć wieku; w tym czasie trenował kolejne pokolenia Niemek i Turczynek. Z niemiecką reprezentacją dojechał do szóstego miejsca podczas olimpiady w Los Angeles. Nad Bosforem trenował między innymi Eczacıbası Stambuł, drużynę, z którą dwa razy wywalczył drugie miejsce w Pucharze Europy. Sukcesy sprawiły, że był w Turcji bardzo popularny – gdy Nafeta Piła, w której grała jego córka Małgorzata Niemczyk-Wolska, spotykała się w pucharach z jakimś zespołem tureckim, dziennikarze

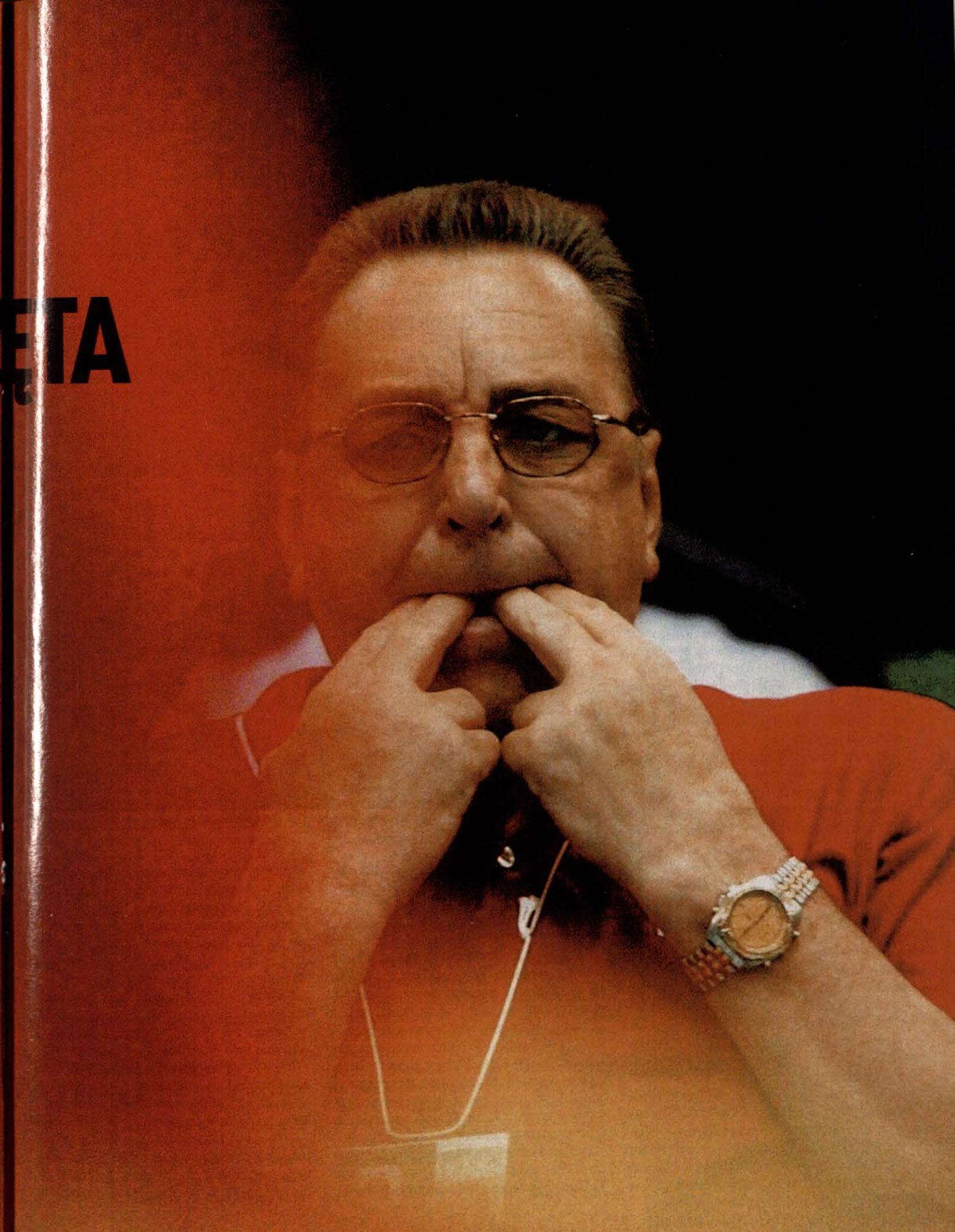
LUBI DZIEWCZĘTA

Za sprawą
ANDRZEJA NIEMCZYKA
polska siatkówka wyszła
z cienia. Mecze naszych
kobiet wreszcie
transmituje telewizja,
a ich nazwiska
są prawie tak znane jak
niegdyś Lubańskiego
czy Deyny



Fot. KUBA ATYS/AG

AL BANA PRZEGUZO SPORTOWY



z Turcji pytali, czy zawodniczka jest spokrewniona „z tym słynnym trenerem”.

Podczas mistrzostw Europy doskonałe rozeznanie Niemczyka w siatkówce niemieckiej i tureckiej posłużyło niczym piąta kolumna – właśnie na zespół z tych krajów trafiły polskie siatkarki w półfinale i finale. I wygrały – wiadomo, z takim wywiadem...

– Pojechałem kiedyś z Andrzejem na zawody za granicę – opowiada Dariusz Kapitan, członek zarządu sekcji siatkówki poznańskiego Dantera i człowiek, który namawiał Niemczyka na powrót do Polski. – Tam zobaczyłem, jakim szacunkiem darzą go ludzie ze światowej siatkówki; przyjaźni się z nim nawet prezydent europejskiej federacji. Rosyjskie zawodniczki, które wcześniej miały z nim jakiś kontakt, rzuciły mu się na szyję. To było niesamowite – polska drużyna zajęła wtedy dość odległe miejsce, ale Niemczyk był wyraźnie w centrum zainteresowania. Robił bardzo dobry PR polskiej siatkówce. Pomyślałem, że warto by to wykorzystać.

ZNANY CZŁOWIEK ZNIKĄD

Gdy Andrzej Niemczyk przyjechał do Polski, reprezentacja przechodziła wyraźny kryzys. Mieliśmy wtedy zdolne zawodniczki występujące także w dobrych zagranicznych klubach, ale fatalnie grającą kadrę. We wrześniu ubiegłego roku na mistrzostwach świata w Niemczech Polska poniosła sromotną klęskę. – Byliśmy tam z Andrzejem – opowiada Dariusz Kapitan. – Nie mogliśmy zrozumieć, skąd się bierze zła gra reprezentacji. Dziewczyny grają w najlepszych ligach i są tam chwalone, a reprezentacja z nikim sobie nie może poradzić. Coś musiało być nie tak w podejściu trenerskim.

Fakt, że Niemczyk przychodził praktycznie znikąd, okazał się jego atutem. – Nie brał udziału w żadnych personalnych przepychankach, był spoza tego skłóconego i podzielonego środowiska. Miał już znane w siatkówce nazwisko, a jednocześnie był niezależny finansowo, poza układami, no i miał luz, bo wcale nie musiał tej funkcji przyjmować – mówi Kapitan.

Gdy został trenerem reprezentacji, w środowisku zabalutowało. Część uważa go za wybitnego fachowca. Druga część twierdzi, że jest mitomanem i gawędziarzem bez żadnych poważnych sukcesów. – To bzdura – uważa Kapitan. – Wystarczy spojrzeć na jego stosunki z ludźmi z federacji czy z zawodniczkami zagranicznymi. Założę się, że żadna z nich nie zna nazwiska innego polskiego trenera.

A czy obecność w kadrze córki trenera nie zagraża atmosferze w zespole? – On sobie z tym świetnie radzi – uważa Kapitan. – Choć Małgosia jest rzeczywiście niekwestionowaną gwiazdą, Andrzej potrafi ją bardzo krytycznie ocenić. Kiedy trzeba, sadza ją na

Trener Niemczyk
w Ankarze po meczu
Polski z Turcją,
wrzesień 2003 r.

Jedną pogłaszcze
po głowie, drugą
zgani, bo akurat tak
trzeba. A z kobietami
naprawdę ciężko
się pracuje



„Dziewczyny są w niego autentycznie wpatrzone”. Polska – Niemcy, Rzeszów, maj 2003 r.

ławce albo nawet rezygnuje z wprowadzenia jej do podstawowej szóstki. Inne dziewczyny to widzą i doceniają.

GENERAŁEM NIE BĘDĘ

Sekretem Niemczyka jest dobra znajomość damskiej psychiki. W wywiadach chwali się, że rozszyfrował kobiecą duszę. Choć na pierwszy rzut oka może się wydawać, że jest inaczej – ma za sobą trzy zakończone rozwodami małżeństwa. – To o niczym nie świadczy – broni byłego męża Barbara Hermel-Niemczyk. – Rozwody zdarzają się z różnych przyczyn. A on naprawdę wie, jak postępować z dziewczynami. A jak się tego nauczył? Zawsze dużo czytał książek psychologicznych.

Barbara Hermel poznała Andrzeja Niemczyka w 1961 roku. Połączyła ich siatkówka, pani Barbara grała nawet w reprezentacji Polski.

Wcześniej oboje występowali w łódzkich klubach. – Andrzej jeszcze przez dwa lata grał w Mielcu – wspomina Barbara Hermel. – To była przymusowa odszkodnia, bo gra w tym klubie chroniła przed poborem. Andrzej powiedział, że nie pójdzie do wojska, bo generałem to on nigdy nie będzie. No i musiał wyjechać.

Barbara Hermel pytana o największe wady byłego męża nie bardzo wie, co odpowiedzieć. – Zawsze był uparty – zdradza w końcu. – Trudno było mu cokolwiek wybić z głowy.

Rozstali się po 16 latach, ale wciąż utrzymują przyjacielskie kontakty. To z ich związku pochodzi Małgorzata Niemczyk-Wolska, która gra teraz w podstawowej drużynie.

– Niedawno obserwowałam Andrzeja, jak pracuje z dziewczynami na obozie szkoleniowym – opowiada pani Barbara. – Musiał sobie poradzić z 12 różnymi charakterami

udało mu się. Potrafi te dziewczyny jakoś „zmontować” w całość. Jedną pogłaszcze po głowie, drugą zgani, bo akurat tak trzeba. A z kobietami naprawdę ciężko się pracuje.

– Facet, który miał trzy żony, ma cztery córki i prawie całe życie trenował z kobietami, musi mieć dużo doświadczenia i wyczucia kobiecości – ocenia Dariusz Kapitan. – Ma charakter, dziewczyny są w niego autentycznie wpatrzone. Nie tylko Kasia Skowrońska, która ma dopiero 19 lat i której się trudno dziwić, że jest wpatrzona, ale tak samo Magda Śliwa czy Dorota Świeniewicz, które z niejednego pieca chleb jadły i miały różnych trenerów.

Pracę z drużyną komplikuje duża różnica wieku – nawet 16 lat – między zawodniczkami, ale Niemczyk radzi sobie i z tym. – On nie boi się dziewczyn – tłumaczy sekret trenera Dariusz Kapitan. – Wszystko jedno, o kogo chodzi, czy o doświadczoną gwiazdę, czy debiutantkę. Może mieć równe pretensje do doświadczonej Magdy Śliwy i do 18-letniej Ani Podolec. Doceniają, że jest sprawiedliwy w ocenach. Umie podjąć trudną decyzję: do Japonii nie zabrał Dominiki Leśniewicz, mistrzyni Europy, i na pozycji libero wystawił inną siatkarkę.

TRUDNIEJ NIŻ Z CHINKAMI

Niemczyk jest szczery i uparty. Mówi wprost, co go boli, także dosłownie. Niektórych może szokować łatwość, z jaką opowiada o swojej ciężkiej chorobie – cierpi na nowotwór układu limfatycznego.

– On w ogóle nie kępuje się tej choroby – potwierdza Barbara Hermel-Niemczyk.

– Nie ukrywa jej i potrafi sobie z nią poradzić. Rzeczą traktuje po luzacku, mawia: „Mam w sobie przyjaciela i muszę o niego dbać”. Nie czeka beczynn timer na śmierć, siatkówka pozwala mu zapomnieć o chorobie.

A czy stresy podczas meczu mu nie szkoda? – On się prawie nie denerwuje na meczu – rozwiewa wątpliwości była żona.

Rzeczywiście, Niemczyk często zachowuje się niekonwencjonalnie, co intryguje siatkarki. – Wystarczy popatrzeć, co się dzieje, gdy trenerzy proszą o czas – odpowiada Kapitan. – Widziałem trenerów, którzy „na czasie” wypowiadali pięć zdań, w tym może jedno cenzuralne. A Niemczyk często nic nie mówi, odchodzi i zostawia masażystę, który daje dziewczynom po plasterze cytryny albo kawałku banana. Chorobę faktycznie traktuje z nonszalancją, choć jest naprawdę poważna. Pamiętam, że kiedy przechodził atak i przyplątało się jeszcze zapalenie węzłów chłonnych, wszyscy mieliśmy strach w oczach. Pokonać raka jest znacznie trudniej, niż wygrać mecz z Chinkami.

KOT NA PUNKCIE PSA

Może przez niepewność co do własnego losu, Niemczyk prowadzi życie hedonisty. – Andrzej lubi wszystkie uciechy doczesne – opowiada Kapitan. – Jest sportowcem, ale nie jest ascetą życia, lecz raczej jego smakoszem. Nie udaje, że nie pije czy że nie zabawia się z kobietami. Mówi wprost: „Ależ tak, oczywiście, wypijam butelkę whisky po wygranym meczu”.

Pomeczowe stresy wycisza w domu, często oglądając do późna telewizję. – Potrafi czasem całą noc przesiedzieć przed włączonym telewizorem – opowiada Daniel Wolski, zięć Niemczyka. – Ma swój świat, czasem zachowuje się, jakby go nie było. A z drugiej strony nie lubi być sam.

Niemczyk nie szuka już stałego związku. – Z kobietą pod jednym dachem? Pogotowie seksualne pod ręką to niezła sprawa, ale i kłopot na głowie – przyznawał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

Andrzej Niemczyk kocha psy, w jego życiu zawsze kręcił się jakiś czworonóg. – Uwielbia naszego nowofunlanda Havarę – opowiada zięć. – Śpią razem, Havarę liże go rano po włosach. A Andrzej przywozi mu z Berlina kielbasę.

Trener naszych siatek jest bardzo porządnym teściem. – W domu jest totalnie neutralny i bezkonfliktowy – opowiada zięć i dodaje: – Ale w kuchni zostawia po sobie fantastyczny bałagan. Dużo tam siedzi, bo uwielbia gotować zupy, na dodatek w ilościach hurtowych. Przypadkiem mu tak wychodzi, bo on lubi chińskie smaki, miesza jakieś prasowane wodorosty, różne dziwne kapusty i potem musi dodawać pomidorów, czasem nawet pięć opakowań. I tej zupy robi się osiem litrów. Zjadać pomaga pies.

MAX SUSKI

Uspokajająca moc natury

zawiera
wyłącznie
roślinne
składniki



Hova®
Uspokajająca moc natury

30 Tabletek

Hova zawiera standaryzowany, suchy wyciąg z korzenia kozłka lekarskiego (200,2 mg) oraz suchy wyciąg z szyszek chmielu zwyczajnego (45,5 mg).

Jesteś spięta?

Zdenerwowanie, niepokój,
rozterki, kłopoty ze snem
odbierają Ci radość życia?

Hova w porę likwiduje:

- niepokój
- stany napięcia i pobudzenia
- wyczerpanie nerwowe

Hova – bądź spokojna!

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

BIOFARM® www.biofarm.pl

ŚWIECI

ŚWIECI



Fot. PIOTR WOJCIK

Leszek Kołakowski FILOZOF ZA MILION

Leszek Kołakowski jest już nie tylko najwybitniejszym, lecz także pewnie najbogatszym polskim filozofem. Otrzymał wartą milion dolarów nagrodę Biblioteki Kongresu USA ufundowaną przez Johna Klugego, amerykańskiego milionera i filantropa. Nagroda, wręczona po raz pierwszy, ma być w przyszłości przyznawana za wybitne osiągnięcia w dziedzinach, które pomija Komitet Noblowski – trafi do filozofów, historyków czy religioznawców. Kołakowski został wybrany spośród dwóch tysięcy kandydatów przez jury złożone z 14 profesorów humanistyki z najlepszych amerykańskich i angielskich uniwersytetów.

– Jego głos był fundamentalny dla losu Polski i ważny dla całej Europy. Kołakowski przez całe swoje twórcze życie stawiał ważne, pełne intelektualnej głębi pytania – uzasadniał wybór laureata James Billington, dyrektor Biblioteki. Dla czytelników Kołakowskiego nie mniej cenne od tego, o czym pisze, jest to, jak pisze. Ma poczucie humoru, lekkie pióro i bez kompleksów podchodzi do ważnych problemów filozoficznych. Jest najfajniejszym polskim filozofem.



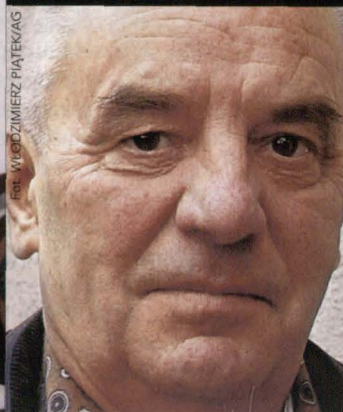
Fot. MAREK ZAWADKA/REPORTER

Jarosław Sellin GŁÓWNE WYDANIE SMS

Nareszcie ktoś w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji zareagował na nową modę, jaka zapanała w Telewizji Polskiej. Polega ona na naciąganiu widzów „Wiadomości” na wysyłanie SMS-ów pod pretekstem badania opinii społecznej. Metodę znaną z głupawych plebiscytów audiotele i teleturniejów już dwa razy wykorzystano w głównym dzienniku Jedynki – przy okazji pytań o program ministra Hausera i dyskusji o aborcji. W pierwszym głosowaniu na ekranie nie pojawiła się nawet informacja o kosztach połączenia, z reguły wyższych niż za normalnego SMS-a.

Jarosław Sellin wniósł sprawę na posiedzenie KRRiTV, a Rada wezwała TVP do zaniechania w przyszłości podobnych sondży. Także naszym zdaniem za pomocą esemesowego głosowania można najwyżej wyrzucić z domu Wielkiego Brata Frytkę albo Gulczasa, ale nie dyskutować o aborcji i po 10 minutach podawać tylko pozornie wiarygodne, bezwartościowe wyniki do publicznej wiadomości. Swoją drogą ciekawe, czy TVP zaryzykowałaby esemesowe głosowanie na temat odwołania prezesa Roberta Kwiatkowskiego. Nawet za 20 złotych plus VAT.

SPADA



Fot. WŁODZIMIERZ PIĄTEK/AG

Jan Stopyra SŁOWNIK MU TROCHĘ DYNDA

Wielka tekturowa butelka z napisem „wódka” i żółta kartka sędziego to prezenty, jakie Młodzież Wszechpolska podarowała przewodniczącemu Rady Miasta Szczecina. Jan Stopyra (SLD) podczas sesji rady miejskiej pod koniec października miał najwyraźniej kłopoty z opanowaniem swego temperamentu i bez skrępowania posługiwał się dosyć swobodnym językiem. Młodzież Wszechpolską zbulwersowały zwroty: „to się w pale nie mieści”, „mnie to dynda”, „nie denerwuj się, później pojedziemy na wódkę”.

Beztroska Stopyry tym bardziej zaskakuje, że jest on starym politycznym wygą – w latach 1972–1984 był prezydentem Szczecina – więc powinien wiedzieć, co i kiedy wypada robić lub mówić. Tymczasem na sugestie, że mógłby przeprosić szczecinian za swoje zachowanie, poradził jednemu z działaczy MW, by nauczył się kindersztuby. Powiedział też: „Słowa te znajdują się w »Słowniku poprawnej polszczyzny« i tak długo, jak tam będą, ja jako Polak mam prawo ich używać”.

Przypominamy zatem, że w słowniku, na który powołuje się pan przewodniczący, są również słowa „miły”, „grzeczny”, „elegancki” i różne takie.

SPADA



Fot. ANDRZEJ WAWOK/REPORTER

Czesław Śleziak ŚRUTA ODPADA

Minister środowiska niedługo chyba zgłodzi nam zwierzęta hodowlane. Wskutek oczywistego – zdaniem ministra rolnictwa – błędu w przepisach śruta powstająca przy produkcji oleju z ziaren soi i słonecznika trafiła w resorcie Czesława Śleziaka na listę odpadów, których import jest znacznie utrudniony. Efekt jest taki, że w ciągu tygodnia cena śruty wzrosła o 20–30 procent. Producenci pasz ustawiają się w kolejki, a my prawdopodobnie wkrótce możemy się spodziewać wzrostu cen drobiu i wieprzowiny. Ministerstwo Środowiska broni się, że przepisy obowiązują od początku 2002 roku. Zapewnia też, że projekt z marca 2002 roku nowelizacji tak zwanej zielonej listy odpadów, których przywóz z zagranicy nie wymaga specjalnych zezwoleń, jest „na etapie uzgodnień wewnątrzresortowych”.

Panie Ministrze! Rozumiemy, że trzeba nas chronić przed zagranicznymi śmieciami, ale jak to się stało, że ministerstwo tak długo nie wciągnęło na „zieloną listę” podstawowego składnika paszy dla zwierząt? Gdyby to były śmiecie, nikt nie płaciłby za tonę półtora tysiąca złotych.

Filigrany

Filigrany

Zadzwoń i zamów!

Jagna Federowicz

Tel./faks

(0-22) 58 42 590

Tel. kom. 0 607 567 770

jagna.federowicz@edipresse.pl

Przegląd dofinansowano ze środków Akademii Rozwoju Filantropii w Polsce w ramach programu „Dialog Kultur”.



KANU CLUB

HOTEL
DOMY BUNGALOW
Nowy Zyzdrój

imprezy biznesowe
incentive
pobyty weekendowe

Twoje miejsce na Mazurach

www.kanclub.pl
tel. /0-89/ 742 00 14

KUBA
JESTEŚMY MUZYKĄ



Warszawa
Gdańsk
Kraków
Katowice
Szczecin

Muranów
DKF Zak
Alchemia
Światowid
Kontrasty

20-26 listopada
20-22 listopada
24-26 listopada
28-30 listopada
28-30 listopada

www.manana.pl

T słowo / obraz terytoria

wydawnictwem miesiąca w Traffic Club

od 1 do 30 listopada 148 tytułów z rabatem 15%

w każdą środę premiera nowości

26 listopada o godzinie 20.00 rozmowa Jacka Żakowskiego z Krzysztofem Obłojem i Januszem Palikotem, autorami książki *Myśli o nowoczesnym biznesie*

Warszawa, ul. Bracka 25 [róg Chmielnej]



Maria Janion Wampir. *Biografia symboliczna* z kuponem rabatowym 20% taniej

kupon rabatowy



www.terytoria.com.pl

Alergia na hity

Od zbyt przebojowych piosenek... „śwędzą” nas mózgi, twierdzi profesor James Kellaris z Cincinnati. Musimy się wtedy „drapać”, powtarzając w pamięci jakiś fragment, przeważnie refren. Dlatego niektóre hity całymi dniami kołają nam w głowach. Zjawisko wykorzystywane jest też w reklamach. Krótkie, chwytliwe „dżingle” łatwo o sobie – a więc i o produkcie – przypominają. Jak pozbyć się „śwędzenia mózgu”? Kellaris wskazuje przypadek Mozarta. Kiedy kompozytor pracował, piętro niżej jego dzieci uczyły się grać. Czasem przerywały nagle melodię, a ta zaczynała go prześladować. Musiał zbiec na dół i dokończyć utwór. Niektórzy pozbywają się niechcianych dźwięków w podobny sposób, odtwarzając w myślach całą piosenkę.

Zły urok?

Przygody Harry’ego Pottera mogą wywoływać dolegliwości u czytelników, stwierdził doktor Howard Bennett z Uniwersytetu Waszyngtona. W „New England Journal of Medicine” opisał problemy swoich małych pacjentów. Kilku z nich odczuwało



Fot. PICTURE PARTNER/BEA

tępy ból głowy utrzymujący się przez dwa-trzy dni. Pojawiał się po wielogodzinnej lekturze najnowszej części przygód Harry’ego Pottera – „Zakonu Feniksa”. Lekarz zalecił dzieciom odpoczynek od czytania.

[z bliska]



SOWA PŁOMYKÓWKA najchętniej mieszka w pobliżu ludzi – w opuszczonych domach czy ruinach wież kościelnych. Sfotografował ją Nick Oliver – laureat konkursu Wildlife Photographer of the Year

U tych, które nie posłuchały, ból minął dopiero, gdy skończyły książkę. Zdaniem Bennetta problem leży w jej objętości – „Zakon Feniksa”, piąty tom serii, jest prawie trzykrotnie grubszy od pierwszego – angielskie wydanie liczy ponad 700 stron. Biorąc pod uwagę, że autorka ma w planach dwie kolejne części, Bennett spodziewa się „epidemii”.

Rzucić palenie z... dzieckiem

Wizyta z dzieckiem u pediatry może pomóc rzucić palenie. Palaczom, których dzie-

ci leczą choroby płuc w szpitalu dziecięcym w Bostonie, proponowano tradycyjną terapię antynikotynową. Aż 20 procent rodziców, którzy ją podjęli, rzuciło palenie. W zwykłych warunkach ta sama kuracja skutkuje zaledwie u dwóch-trzech procent leczonych. Na lepsze wyniki wpłynęła wzmożona okolicznościami troska o zdrowie dzieci zagrożonych biernym paleniem – wyjaśniają bostońscy specjaliści. Ich zdaniem ten sam mechanizm mógłby zadziałać także podczas zwykłej wizyty u pediatry (bez względu na rodzaj schorze-

nia dziecka), gdyby ten zalecił rodzicom terapię antynikotynową.

Polacy na komecie

26 lutego 2004 r. ma rozpocząć się misja kosmiczna Rosetta. Pierwotnie start planowano na styczeń



Fot. ESA

2003, ale z powodu kłopotów z rakietą nośną Ariane nic z tego nie wyszło. Misja – w wielkim skrócie – ma polegać na wylądowaniu na jądrze komety i wbiciu na głębokość kilkudziesięciu centymetrów penetratora naszpikowanego czujnikami. Następnie wszelkie zdobyte informacje mają być przesyłane na Ziemię. Integralną część ważącego sto kilogramów ładownika, czyli sam penetrator, a także urządzenie do jego wbijania w kometarny grunt, skonstruowali polscy naukowcy z Centrum Badań Kosmicznych PAN. Początkowo pla-

Dzieci mają wielką wyobraźnię. Niestety, zbyt szybko stają się rodzicami.

JANUSZ KORCZAK

nowano, że celem Rosetty będzie kometa Wirtanena. Jednak z powodu opóźnień w starcie zmieniono go na znacznie większą kometa Churyumov-Gerasimenko.

Genetycznie otyli

Badacze z londyńskiego Imperial College zidentyfikowali gen otyłości. GAD2 ma



podwójną postać. Jedna występuje u większości ludzi i zachęca do aktywności, chroniąc ich przed przybieraniem na wadze. Druga przeciwnie – podrażnia łaknienie. Skutek jest wiadomy. Brytyjczycy oceniają, że aż 10 procent otyłych „zawdzięcza” swoją przypadłość genowi GAD2. Wczesne wykrywanie jego różnych postaci mogłoby zaobiegować problemom zdrowotnym związanym z otyłością – chorobom serca czy cukrzycy.

Dane uzbierane

W zeszłym roku na całym świecie zgromadzono tyle informacji, że można by zaopatrzyć nimi... pół miliona bibliotek Kongresu USA, obliczyli wykładowcy i studenci Uniwersytetu Kalifornijskiego. To aż pięć miliardów gigabajtów danych. Statystycznie jeden mieszkaniec Ziemi zmagazynował więc jakieś 800 megabajtów, czyli zawartość dziesięciometrowego stosu książek! Oznacza to wzrost o 30 procent w stosunku do roku 1999, kiedy poprzednio prowadzono takie obliczenia. Zgodnie z oczekiwaniami największy skok (aż o 114 procent) dotyczy ilości danych przechowywanych na dyskach komputerów. Za to niespodzianką jest wzrost zaufania do nośników papierowych – wydrukowano aż o 43 procent informacji więcej niż cztery lata temu.

NIECH ŻYJE OPTYMIZM

Polacy są skłonni bardzo optymistycznie oceniać swój stan zdrowia. Wygląda jednak na to, że nie zawsze mają po temu podstawy.

61,5% czuje się dobrze i dlatego uważa, że są zdrowi

9,6% przekonanie o swoim zdrowiu opiera na wynikach badań

4,7% twierdzi, że są zdrowi, bo dobrze wyglądają

21,4% narzeka na stan zdrowia

A jednocześnie

10,7% Polaków nigdy nie wykonało badań kontrolnych

12,4% z nas bada się regularnie

Badania wykonał ARC Rynek i Opinia pod koniec 2002 roku na reprezentatywnej próbie 1090 osób w wieku 15-65 lat.



Fot. GETTY IMAGES/FFM

Ugniatanie oka

Ortokeratologia to nowa metoda korygowania wad wzroku. O tym, jak nieprzyjemnie być krótkowidzem, przekonuje się coraz więcej osób. 20-latek pytający stojącą obok staruszkę o numer nadjeżdżającego autobusu to częsty przypadek. Ponieważ stale wpatrujemy się w ekrany monitorów i telewizory, nasze oczy nie pracują normalnie. Ewolucja przygotowała nas do życia na otwartej przestrzeni i obserwowania tego, co znajduje się daleko, a nie ciągłego wpatrywania się w przedmioty będące tuż przed nami. Efektem „niewłaściwego” używania wzroku jest wydłużenie gałki ocznej. Wpadające do niej światło nie ogniskuje się na siatkówce, tylko kawałeczek przed nią. Dlatego obraz odleglejszych przedmiotów staje się nieostry.

Okulary lub soczewki kontaktowe zmieniają bieg promieni światła, tak aby trafiały dokładnie w siatkówkę. Działają to całkiem nieźle, tyle tylko, że jest dość męczące – okulary zsuwają się z nosa, a w kontaktach źle się pracuje przy komputerze.

Stosowana od niedawna metoda zwana keratologią likwiduje te niedogodności. Jej działanie polega na tym, że podczas snu specjalne soczewki zmieniają kształt tej części oka, przez którą wpada światło. To tak, jak-

by na gałkę oczną założyć foremkę modelującą rogówkę.

Atrakcyjność keratologii polega na tym, że „ugniatanie” oka odbywa się w nocy. Wieczorem umieszcza się na oku soczewkę, którą rano należy zdjąć. W ciągu dnia rogówka zachowuje nadany kształt, dzięki czemu świat znowu widać wyraźnie.

Właściwe wymodelowanie rogówki nie jest proste. Dlatego pacjent najpierw poddawany jest dokładnym badaniom oczu – sporządzana jest komputerowa mapa rogówki, na podstawie której program dopasowuje kształt soczewki do indywidualnych potrzeb.

Sama soczewka zrobiona jest ze specjalnego polimeru, który umożliwia dopływ tlenu do oka, a jednocześnie jest na tyle sztywny, by móc zmienić kształt rogówki. Ważne jest też, by pacjent nie czuł żadnego dyskomfortu – przecież musi dobrze spać.

Dzięki keratologii można korygować krótkowzroczność do -4,5 dioptrii i astygmatyzm do -1,5 dioptrii. Silniejsze wady korygowane są częściowo. Efekt nie jest trwały – gdy przestanie się stosować soczewki, rogówka wraca do poprzedniego kształtu.

Koszt terapii dla jednego oka to tysiąc złotych. Więcej szczegółów można znaleźć w Internecie pod adresem www.eyelaser.pl. (ps)

[Zagadka]

RÓWNANIA DO ZGADYWANIA
Czegoś jest ileś w czymś, na przykład 3600 S w 1 G = 3600 s w godzinie. Rozwiń poniższe skróty:

1/ 23 PCh w LK
2/ 168 G w T
3/ 9 P w US
4/ 366 D w RP
5/ 460 P w S

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEGO NUMERU:

W UCHU ZNAJDUJĄ SIĘ:
BĘBENEK, MŁOTECZEK,
KOWADEŁKO, STRZEMIĄCZKO
– PRAWIDŁOWA JEST ODPOWIEŹ NUMER 3.

Doktor Radosław Pietura z zespołem w czasie zabiegu embolizacji. Na zdjęciu po prawej: Macica pacjentki oglądana w rezonansie magnetycznym. Ciemna okrągła plama to widoczny mięśniak



NA RATUNEK KOBIECOSC

W Polsce można wprowadzać nowe metody leczenia trudnych schorzeń. Trzeba jednak do tego mieć: upór w przełamywaniu niechęci innych lekarzy, dużo samozaparcia i bogatych pacjentów, bo nowatorskich metod nikt dziś nie zrefunduje

TEKST OLGA WOŹNIAK

ZDJĘCIA PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER

Mięśniaki macicy – brzmi okropnie, prawda? I tak samo boli. Tradycyjnym sposobem pozbywania się tej dolegliwości jest operacja. Często oznacza to usunięcie macicy wraz z przydatkami. A nie musi tak być. Specjaliści z Lublina proponują kobietom cierpiącym na to schorzenie nowocześniejszy, mniej inwazyjny i skuteczny sposób zwalczania mięśniaków. Embolizację.

Podróż rurką

Co to jest embolizacja? Mówi się też o niej: leczenie wewnątrznaczyniowe. Polega na nakłuciu jednej z naszych tętnic i przezskórnym wprowadzeniu do niej cewnika, czyli giętkiej plastikowej rurki o średnicy około jednego mi-

limetra. Za pomocą takiego cewnika pomykającego po naszych tętnicach i żyłach lekarze potrafią wykonać szereg ważnych zabiegów: podać przez niego odpowiednie leki i odseparować oraz zabezpieczyć tętniki czy naczyniaki w mózgu, zatamować krwawienia z guzów nowotworowych czy właśnie odizolować

i „zagłodzić” mięśniaki macicy. Takimi zabiegami, które nie wymagają chirurgicznego skalpela, zajmują się specjaliści zwani radiologami zabiegowymi. Za pomocą cienkiej rurki wprowadzonej do naczynia krwionośnego przez skórę potrafią zrobić także dużo innych pożytecznych rzeczy. Umieją poszerzać zwężone naczynia tętnicze, udrażniać zatkane tętnice i żyły, rozszerzać zwężenia prze-

łyku czy jelita grubego, przeprowadzają też biopsje kości i płuc.

Radiologia zabiegowa to w Polsce nowa dyscyplina. Od przyszłego roku lekarze będą mogli – decyzją Ministerstwa Zdrowia – oficjalnie się w niej specjalizować. Do tej pory bowiem zabiegi stanowiły rodzaj dodatkowego zajęcia radiologa, którego praca polegała głównie na oglądaniu i obrazowaniu naszych organów wewnątrznych za pomocą takich urządzeń jak aparat rentgenowski, tomograf komputerowy, USG, rezonans magnetyczny.

Jakiś czas temu radiolodzy doszli do wniosku, że patrząc na nasze wnętrza, mogliby w sposób mało inwazyjny także coś w nich poprawić. Tak narodziły się na przykład bardzo dziś popularne zabiegi kardiologiczne – koronarografia czy koronaroplastyka. Radiolodzy szybko dochowali się kolejnego „potomstwa”. Jednym z najmłodszych dzieci specjalistów od zaglądania nam do środka jest dziś emboli-

zacja mięśniaków macicy. I jak to bywa z małymi dziećmi – mnóstwo z nią kłopotu.

Zagłodzić guz

Pierwszy raz taki sposób leczenia zastosował na początku lat 90. francuski lekarz Jacques Ravin. W Polsce w wykonywaniu tego zabiegu specjalizuje się Zakład Radiologii Zabiegowej lubelskiej Akademii Medycznej. Jego szefową jest profesor Małgorzata Szczerbo-Trojanowska.

Choć od niedawna zabieg nie jest refundowany przez Narodowy Fundusz Zdrowia i jego koszt to aż cztery tysiące złotych, chętnych nie brakuje. – Trudno się dziwić – mówi pracujący w zakładzie radiologii w Lublinie doktor Radosław Pietura. – Tradycyjną metodą leczenia mięśniaków jest operacja. Kobiety myślą o niej niechętnie, bo sprowadza się ona często do usunięcia całej macicy wraz z przydatkami. Wycięcie samego mięśniaka bywa nieskuteczne – guzy mają tendencję do odrastania.

Tymczasem embolizacja trwa średnio 45 minut. Przeprowadza się ją w znieczuleniu miejscowym. Na skórze zostaje niewielki ślad po wprowadzeniu cewnika. Embolizacja oszczędza macicę i jest skuteczna aż w 98 procentach.

Mięśniaki są obcymi twórcami w naszym organizmie, a muszą jakoś utrzymywać się przy życiu. Dostawę składników odżywczych i tlenu zapewniają sobie przez „podłączenie się” do krwioobiegu „żywicieli”. – Embolizacja polega na wprowadzeniu cewnika do naczynia krwionośnego zaopatrującego guz i zaciopowaniu go alkoholem poliwinylowym – substancją niegroźną dla zdrowia pacjentki – wyjaśnia doktor Pietura. Po trzech miesiącach od embolizacji „zagłodzone” mięśniaki kurczą się o połowę. Po roku zostaje z nich jedynie 20 procent. Tej metody lekarze z Lublina uczyli się w londyńskim St. Thomas Hospital. – Do embolizacji potrzebna jest pracownia rentgenowska

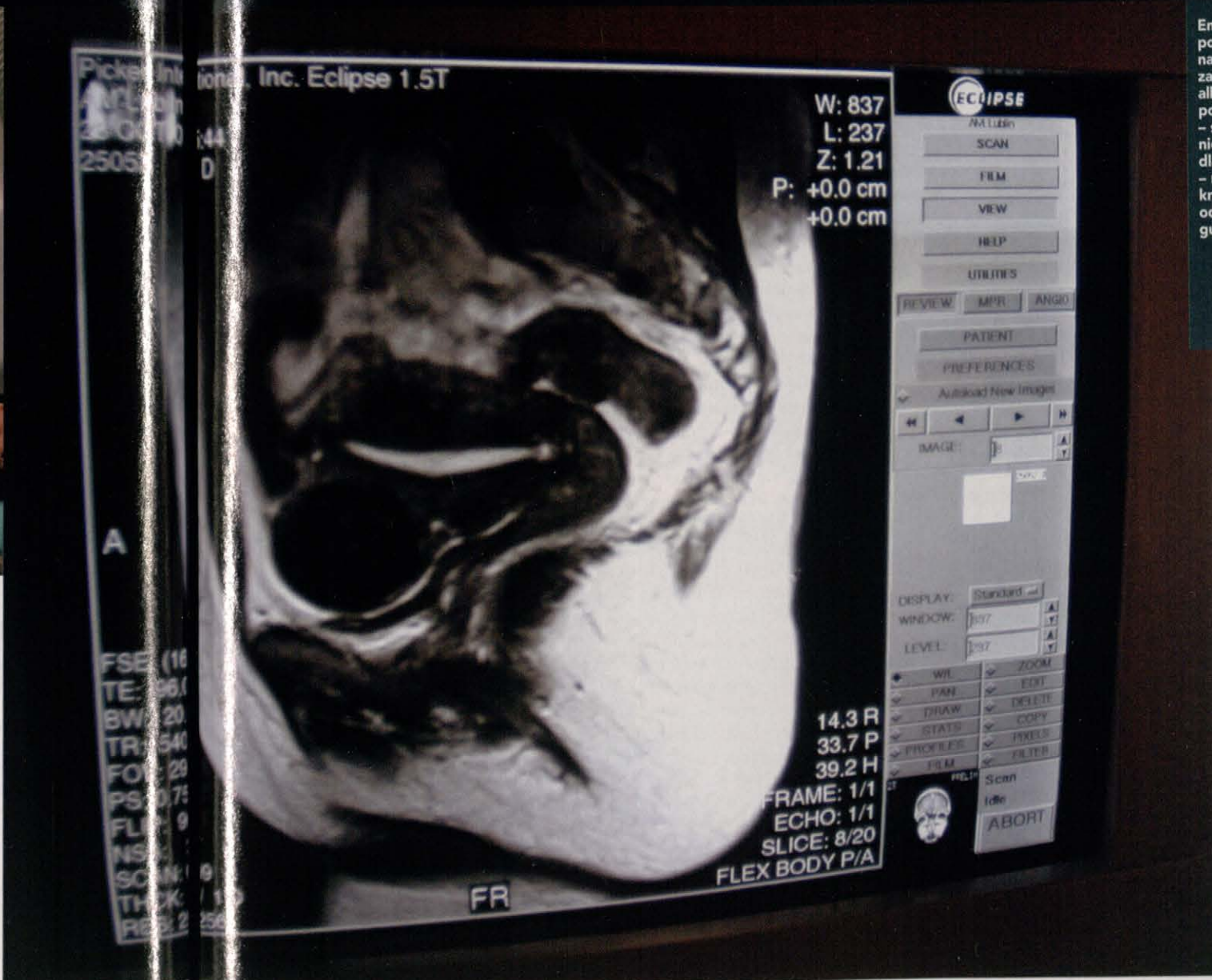
spełniająca wymogi sali operacyjnej – mówi profesor Małgorzata Szczerbo-Trojanowska. – Musi być wyposażona w cyfrowy aparat rentgenowski o bardzo wysokiej rozdzielczości.

Na zabieg trzeba zapisać się na miesiąc–dwa wcześniej. Wymagane są podstawowe badania ginekologiczne. Trzeba także wycelować, by zdążyć po miesiączce, ale przed upływem 14. dnia cyklu. W szpitalu robią nam jeszcze badania krwi i obejrzą nas za pomocą rezonansu magnetycznego (nie boli!).

Kosztowne zabiegi

Cudowne, prawda? Lekarze zapewniają, że po zabiegu „uduszenia mięśniaka” można mieć dzieci – a przecież bezpłodność to jeden z „efektów ubocznych” tych niezdolnych guzów macicy. A jednak, wbrew pozorom, sprawa leczenia mięśniaków nową metodą nie przedstawia się wcale tak różowo. – Po pierwsze, brak pieniędzy – wylicza doktor Pietura. Do niedawna kasy

Embolizacja polega na zaciopowaniu za pomocą alkoholu poliwinylowego – substancji niegroźnej dla organizmu – naczynia krwionośnego odżywiającego guz



Cewnik wprowadza się do tętnicy i po naczyniach krwionośnych dociera do wybranego miejsca

chorych refundowały zabieg. Narodowy Fundusz Zdrowia wstrzymał refundację. – Dodajmy, że wciąż płaci za usuwanie macicy z powodu mięśniaków. A nawet gdy dawano pieniądze na nasze zabiegi, nie mówiło się o tym „embolizacja”, ale „operacja w wadach macicy” – mówi doktor Pietura. Ani w rejestrach kas, ani zastępującego je Narodowego Funduszu Zdrowia nie ma pozycji „embolizacja mięśniaków macicy”. Dlaczego?

– To kolejny problem – denerwuje się doktor Pietura. – Embolizacja mięśniaków jest nową metodą. W Polsce wykonujemy ją od dwóch lat. Fundusz Zdrowia nie chce wprowadzać na swe listy nowych procedur, bo one pociągają za sobą kolejne i kolejne. To oznacza pieniądze do wydania. A tych nie ma.

A jeżeli to rak?

Na tym jednak nie kończą się bolączki lubelskich radiologów. Największy ich problem to nieufność innych lekarzy.

Na czym polegają lęki? Pytam docenta Włodzimierza Sawickiego z Kliniki Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej w Warszawie. – Poleciliby pan pacjentce embolizację mięśniaków?

– Stanowczo nie – słyszę. – Gdy u pacjentki stwierdza się guz w macicy, trzeba go przede wszystkim dobrze obejrzyć. Radiolog robi to za pomocą USG czy rezonansu magnetycznego. Nigdy jednak w stu procentach nie umie powiedzieć, czy ów guz to niezłśliwy mięśniak, czy niezwykle złśliwy nowotwór – mięsak, który w badaniu może niekiedy wykazywać podobne cechy. Tego możemy się jedynie dowiedzieć, oglądając pod mikroskopem fragment guza usuniętego podczas operacji – w tak zwanym badaniu histopatologicznym.

– Ale często kobieta traci przez to macicę. Sta-je się bezpłodna. Czy dziwi pana to, że pacjentki wolą nieinwazyjny zabieg embolizacji?

– To, co wola, nie zawsze pokrywa się ze wskazaniami medycznymi – ucina docent Sawicki. – Poza tym operacja mięśniaków u kobiet w wieku rozrodczym nie polega na wycięciu macicy, tylko wyluszczeniu guzów, co nierzadko pozwala przywrócić płodność. Tylko takie postępowanie jest prawidłowe i bezpieczne zarówno dla kobiety, jak i lekarza. Natomiast embolizacja i pozostawienie w macicy nowotworu, który ktoś pomylił na ekranie z mięśniakiem, to zbyt duże ryzyko.

– Czy zdarzyło się kiedyś pani lub pani współpracownikowi pomylić nowotwór z mięśniakiem?

– pytam profesor Szczerbo-Trojanowską. – Nigdy – odpowiada. A w jej pracowni przeprowadzono ponad 200 zabiegów embolizacji. – Ale to najpoważniejszy zarzut, jaki stawiają nam ginekolodzy czy chirurdzy. A jednak w badaniu rezonansem mogą mieć 90-procentową pewność, co widzą. Nowotwór i mięśniak dają całkiem inny obraz. By go prawidłowo rozpoznać, trzeba jednak wysoko wykwalifikowanego lekarza.

– Embolizacja może też dawać trudne powikłania – mówi docent Sawicki. – Sepsę, zatorowość, infekcje okołozabiegowe. We Francji zanotowano kilka zgonów po tym zabiegu.

– Ale takie same powikłania mogą wystąpić także po tradycyjnej operacji – oponuję i pytam radiologów o możliwe komplikacje. – U 50 procent pacjentek pojawia się niewielkie krwawienie. Pierwsza miesiączka jest zwykle przyspieszona o 2–14 dni. U dwóch procent pacjentek mogą wystąpić przejściowe zaburzenia miesiączkowania – wymienia doktor Pietura. – Przez pierwszy miesiąc chora może odczuwać dolegliwości bólowe, mieć gorączkę. U mniej niż pół procent pacjentek zdarza się zakażenie prowadzące do wytworzenia ropnia w obrębie miednicy. Wtedy konieczna jest klasyczna operacja usunięcia macicy.

– A te zgony? – niepokoję się. – Ryzyko śmierci podobnie jak w przypadku każdego innego inwazyjnego zabiegu istnieje, choć do tej chwili znane są tylko trzy zgony na blisko 60 tysięcy wykonanych zabiegów embolizacji na świecie – otrzymuję odpowiedź.

Nie zabieramy

Opinia docenta Sawickiego nie jest jednak odosobniona. Wielu ginekologów wręcz ostrzega pacjentki przed tą metodą.

– Być może wynika to z braku informacji wśród lekarzy – przypuszcza profesor Szczerbo-Trojanowska. – W Lublinie współpracujemy z klinikami ginekologii. Lekarze zawsze dają tu alternatywę pacjentce. – A może ginekolodzy boją się, że stracą pacjentki? – przypuszcza bardziej krewki doktor Pietura.

– Przecież ich im nie zabieramy – oponuje doktor Szczerbo-Trojanowska. – Radiolodzy nie mają swoich sal operacyjnych, oddziałów, na których pacjentka musi być obserwowana po zabiegu. Te kobiety trafiają od nas na ginekologię.

Mówi się, że kiedy tak naprawdę nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Mam nadzieję, że tym razem kwestia „być czy nie być kobietą” – jaka wiąże się z operacją usunięcia macicy z powodu mięśniaków – nie jest tylko rozgrywką o kasę z Funduszu Zdrowia. Chcę wierzyć, że chodzi tu o zwykłą nieufność do nowego.

„Mięśniaki macicy” – brzmi okropnie, prawda? I okropnie jest się z tego leczyć. W Polsce.

OLGA WOŹNIAK

MIĘŚNIAKI

to okrągłe twory zbudowane z mięśni gładkich. Ponad 90 procent tych guzów wychodzi z trzonu macicy. Mogą rosnać do jej wnętrza, mogą tylko się jej „trzymać” i rozwijać do jamy brzusznej. To nie są złośliwe zmiany, ale nieleczone powodują bolesne dolegliwości. Mogą też ulec zwyrodnieniu, zakażeniu czy złośliwieniu. U młodszych kobiet bywają powodem niepłodności. Przyczyny ich powstawania nie są do końca zbadane. Problem ten dotyczy blisko 35 procent kobiet po 35. roku życia i 40 procent pań, u których późno nastąpiła menopauza. Specjaliści o przyczynianie się do ich powstawania podejrzewają zaburzenia prawidłowej funkcji i przemian niektórych substancji wydzielanych w układzie nerwowym. Wiadomo też, że guzki częściej pojawiają się u kobiet, które nigdy nie rodziły. Raczej nie występują przed okresem dojrzewania. Po ostatniej miesiączce (menopauzie) nie tworzą się nowe, a już istniejące ulegają nieraz zmniejszeniu. Ma na to wpływ poziom hormonów – a zwłaszcza estrogenów – wytwarzanych przez jajniki w czasie dojrzalności płciowej. Kobiety, które mają wyższy poziom tych hormonów, są bardziej narażone na rozwój mięśniaków.

15–20 procent kobiet, u których je wykryto, nigdy nie odczuwało żadnych dolegliwości z nimi związanych. Większość jednak ma wszelkie dane, żeby podejrzewać, że „coś jest nie tak”. W czasie miesiączki – zwykle długiej i obfitej – bardzo boli brzuch, często w czasie cyklu występują plamienia. Może to doprowadzić do anemii. Pojawiają się bóle w dole brzucha. Czasem panie skarżą się na uczucie posiadania w nim „ciała obcego”. Mięśniaki mogą bowiem uciskać narządy wewnętrzne. Zdarza się, że doprowadza to na przykład do zaburzeń czynności nerek czy niedrożności jelit.

TURYSTYKA

Na stokach chaty górskie, grzane wino około 2 euro

Od polskiej granicy do centrum wioski 770 kilometrów

30 kilometrów zjazdów, 50 kilometrów spacerów wspinaczka na lodową górę

Tygodniowy pobyt dla 2 osób (noclegi i karnety na narty) 499 euro

TURYSTYKA



Nowa Turystyka w soboty w Gazecie Wyborczej

ZIMOWY KONKURS
Do wygrania: atrakcyjne wyjazdy super narty i snowboard, setki innych nagród
BERGSON

ŻYCIE JEST TAM

Pogłoski krążyły od miesięcy. Gdzieś, na niedostępnych dla ogółu serwerach, powstaje niezwykle wirtualny świat. Wreszcie można do niego wejść

Do sieciowej rzeczywistości dopuszczono grupę wybrańców, którzy mieli stać się królikami doświadczalnymi. Było to całkiem pokaźne stado – 27 tysięcy osób. Jednak to zaledwie mała grupka w porównaniu z możliwościami sieciowego świata. Kilka tygodni temu zakończył się etap testów i do zabawy dopuszczani są zwykli użytkownicy. Na wejście trzeba czekać ponad tydzień, a mimo to mnóstwo ludzi cierpliwie stoi w kolejce.

Całemu przedsięwzięciu nadano nazwę There, czyli „tam”. Niby proste słówko, jednak ma w sobie magię. Kiedy z kimś rozmawiamy, powiedzenie: „Byłem tam”, nie niesie żadnej szczególnej informacji. Zupełnie co innego, gdy napiszemy: „Byłem Tam”. A właśnie słowo pisane jest tym, co sprawia, że warto zajrzeć do There.

Twój własny awatar

Pomysł There pochodzi w prostej linii od internetowych czatów i komunikatorów. Od dawna wiadomo, że ludzi najbardziej bawi nie samo siedzenie przed ekranem, tylko rozmowa z kimś żywym, kto siedzi gdzieś na drugim końcu świata. W zasadzie rozmowa to niezbyt precyzyjne określenie – przecież nie widać drugiego człowieka, nie da się odgadnąć wyrazu jego twarzy ani zobaczyć gestów. A jak tu z kimś pożartować, nie wiedząc, czy się chociaż uśmiecha? Bywa, że rozmowa zamiera, a my nie wiemy, czy rozmówca nadal siedzi przed ekranem, czy może ma nas dość i już gdzieś poszedł.

O tym wszystkim dobrze wiedzieli twórcy There. Zbudowali więc świat, w którym nie tylko widzimy rozmówcę, lecz także możemy z nim usiąść w knajpie czy iść na zakupy. Ścisłej rzecz biorąc, widzimy nie samego rozmówcę, lecz jego wirtualne przedstawienie – tak zwane

Impreza trwa – pani na drugim planie wdrapała się na szafę grającą...



go awatar. Tego określenia użył Neal Stephenson w swojej książce „Zamieć”. Wydana na początku lat 90. cyberpunkowa powieść dzieje się równolegle w dwóch światach – rzeczywistym i wirtualnym, zwanym Metaverse’em. Autorzy There muszą ją chyba znać na pamięć – ich dzieło czerpie z książkowych pomysłów całymi garściami.

Właśnie awatary są najatrakcyjniejszą częścią zabawy. Wchodząc po raz pierwszy do wirtualnego świata, określamy płeć i rasę, pod którą będziemy występować. Potem możemy zmieniać nasz wygląd – modelować twarz, muskulaturę, zmieniać kolor włosów czy budowę ciała. Można by się zatem spodziewać, że po There będą się kręcić sami muskularni przystojniacy i wdzięczne panienki o wymiarach 90 na 60 na 90. Tymczasem raz po raz spotyka się grubawe i podtatusiałe awatary oraz awatarki w typie pań sklepowych.

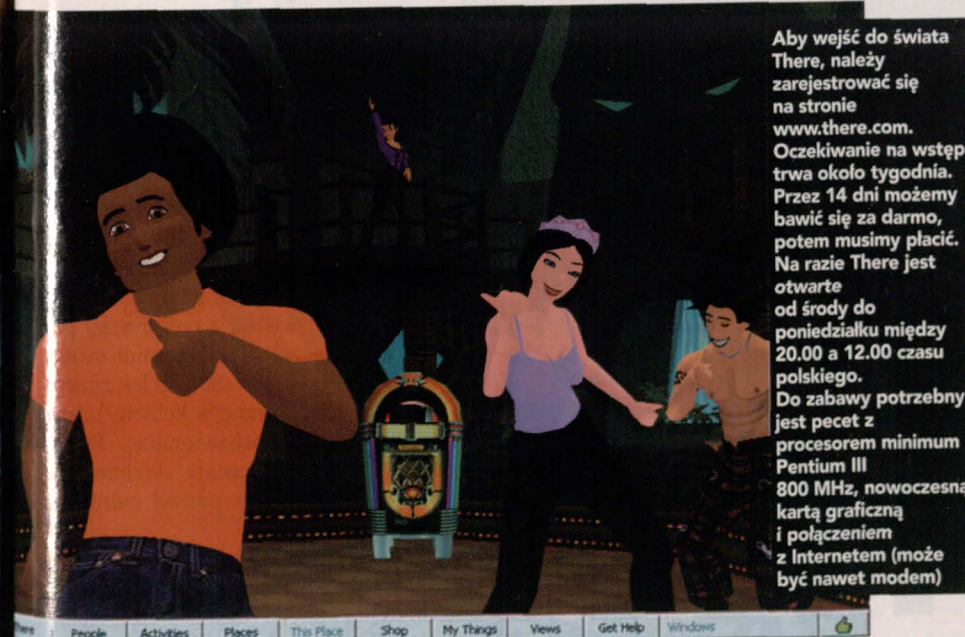
– To dosyć zaskakujące – dziwi się Michał Parzuchowski, doktorant Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej zajmujący się psychologią Internetu. – W Sieci ludzie zazwyczaj starają się prezentować jak najbardziej korzystnie, ukrywając wszelkie niedoskonałości.

Po co ten elektroniczny tłum wchodzi do świata There? Właśnie na tym polega fenomen – nie ma określonego celu. Ludzie przychodzą tu po to samo, po co wychodzi się do pubu, na imprezę czy zakupy – aby spotkać znajomych, poznać nowych ludzi, po prostu się rozerwać. W There, inaczej niż w zwykłej grze, nie ma określonych zadań czy misji do wypełnienia – po prostu pełna swoboda. I to właśnie bawi ludzi najbardziej – wciąż napotyka się grupki zawzięte dyskutujące na przeróżne tematy. Aby dołączyć do rozmowy, wystarczy podejść i wstukać na klawiaturze to, co mamy do powiedzenia. Tekst pokazuje się nad głową naszego awatara w komiksowo-

wym dymku, a wszyscy w pobliżu będą go mogli przeczytać.

Czym się to różni od zwykłego komunikatora w stylu Gadu-Gadu czy ICQ? Najważniejsze jest tu to, że normalnie patrzymy na rozmówcę. Co prawda przypomina on postać z filmu animowanego, ale programiści zadbali, by poruszał się i zachowywał możliwie normalnie. Awatary mają nawet własną mimikę – podczas rozmowy mogą się uśmiechać, sceptycznie brzywić lub trzepotać rzęsami. Wrażenie jest naprawdę niezwykle – gdy coś palniemy, od razu widać zakłopotanie rozmówcy.

Komputer sam wykrywa niektóre fragmenty rozmowy i odpowiednio dostosowuje zachowanie awatara – gdy w rozmowie zaprzeczamy, pojawia się kręcenie głową. Bardziej zaawansowane reakcje użytkownik wywołuje, naciskając odpowiedni przycisk z menu.



Świat There pełen jest tajemniczych miejsc – po lewej ruiny zaginionej cywilizacji

Poza tym, rozmawiając, nie jesteśmy skazani tylko na czytanie kolejnych linijek tekstu – w świecie There istnieją puby i kawiarnie, w których można wygodnie usiąść ze znajomymi. Można się wtedy rozglądać, obserwując inne grupki, lub podziwiać krajobrazy. A jest się czemu przyglądać!

Wirtualne widoki

There powstało przez ponad pięć lat. Znaczną część tego czasu zajęło stworzenie wirtualnego świata. Sprawa jest trudniejsza, niż by się mogło wydawać – przecież awatary nie mogą wędrować po białej, pustej przestrzeni. Powstał więc wirtualny glob wielkością zbliżony

do Ziemi, na którym rozlokowano pięć wysp. Każda z nich różni się rozmiarami i scenerią. Najmniejsza wygląda niczym świat rodem z powieści grozy – z ziemi sterczą szkielety gigantycznych stworzeń, a na niebie świecą tysiące gwiazd. Pomiedzy ogromnymi żebrami stoi sobie spokojnie kilka stolików, przy których siedzą zajęte rozmową awatary. W tle gra taneczna muzyka. Całość robi niesamowite wrażenie.

Grafika w There przypomina dobrą, trójwymiarową grę sprzed trzech-czterech lat. To cena, jaką trzeba zapłacić za to, że cała zabawa odbywa się przez Internet – więcej danych do przesłania sprawiłoby, że animacje straciłyby płynność. Jednak to, co widać, zupełnie wystarczy, by zapomnieć, że siedzimy przed komputerem.

Po wyspach można się poruszać, korzystając z dostępnych w There środków transpor-

czy. Placili oni za wstęp do świata, jednak na tym zarobek jego twórców się kończył. Autorzy There mają jednak zupełnie niezwykle pomysł. Otóż gracz może wymieniać prawdziwe dolary na therebucksy, czyli „tamdolce”. Za tę walutę można zarówno kupować przedmioty (latające deski czy pistolety na farbę), jak i zmieniać własnego awatara, kupując mu na przykład nową fryzurę czy ubranie. Pomysł, choć wydaje się szalony, sprawdza się. Tylko w okresie testowym ludzie wymienili na therebucksy ponad 300 tysięcy prawdziwych dolarów.

– W ten sposób gracze mogą pokazać swoją indywidualność – wyjaśnia Michał Parzuchowski. – Możliwość zmiany swojego wyglądu mobilizuje do eksperymentowania, a przy tym wydawania pieniędzy.

W wirtualny świat weszły prawdziwe firmy: Levi’s sprzedaje tam swoje spodnie, a Nike – buty. Za równowartość kilku zwykłych dolarów można kupić sportowe buty AirMax2003, które nie tylko świetnie wyglądają na awatarze, lecz także pozwalają mu szybciej biegać. W kolejce stoją już następne firmy, które chcą testować i sprzedawać swoje produkty w There.

Zarabiać mogą też sami gracze – niektórzy zatrudniają się, oprowadzając wycieczki, inni pracują, doradzając nowym użytkownikom, a jeszcze inni projektują i sprzedają na aukcjach ubrania czy pojazdy.

Przyszłość zabawy

Świat There oszałamia swoją różnorodnością. Wszystkie jego elementy służą jednak jednemu celowi – zarobkowi. Aby go osiągnąć, firma musi przyciągnąć jak najwięcej użytkowników i skłonić ich do wydawania wirtualnych pieniędzy. Szczególnie pożądane są kobiety – badania wykazały, że to one najdłużej przebywają w wirtualnym świecie, najchętniej wydają pieniądze i najmocniej angażują się w organizowanie sieciowego życia. Poza tym to właśnie one przyciągają mężczyzn.

Dzięki dobrze przemyślanej organizacji całego przedsięwzięcia może się udać. Jeżeli tak się stanie i świat There będzie się rozwijał, wyznaczy to nowy sposób na rozrywkę przyszłości. Z czasem może się okazać, że znacznie ciekawsze od zwykłych imprez jest wędrowanie z przyjaciółmi po świecie There, robienie wirtualnych zakupów i rozbijanie się latającymi deskami.

– Wirtualne społeczności przyciągają ludzi, którzy mają zupełnie normalne życie w rzeczywistym świecie – mówi Michał Parzuchowski. – Jednak osoby, które na co dzień są zamknięte, w takiej sytuacji mogą łatwiej nawiązywać kontakty.

A więc, odważni i nieśmiali, panie i panowie, do zobaczenia! Tam.

PIOTR STANISŁAWSKI

Dlaczego to zawsze oni, a nie one, nie potrafią znaleźć dwóch takich samych skarpetek? Dlaczego faceci nie są w stanie odgadnąć, że partnerce właśnie zbiera się na płacz?

Mój mąż interesuje się samochodami. Wie o nich wszystko. Skwapliwie zbiera gazety motoryzacyjne, nie przegapi żadnego programu. Potrafi opowiadać o autach, zawsze zna najdrobniejsze szczegóły i nie dba zupełnie o to, czy właśnie zanudza na śmierć audytorium. Ironiczne uśmiechy bierze za pełne sympatii. Ma kłopot z interpretacją wyrazu twarzy. Właściwie to w ogóle go nie dostrzega.

Wielu znanych mi mężczyzn (zwłaszcza samotnych) potrafi ubrać się na szczególne okazje niczym stróż w Boże Ciało. Nawet im zazdroszczę – nigdy nie czują się skrępowani swym wyglądem, bo na ogół nie zdają sobie sprawy z opinii otoczenia.

Dlaczego tak często zdarza się to mężczyznom, a tylko sporadycznie kobietom? Dlaczego faceci nie zauważają, że ich głupie żarty już dawno przestały śmieszyć? Dlaczego mają lepszą wyobraźnię przestrzenną i klną na kobiety kierowców, a gdy stają twarzą w twarz z uczuciami, wykazują się skrajnym brakiem empatii? Dlaczego to wśród mężczyzn więcej jest samotników, dziwaków i zapalonych kolekcjonerów? Zwarowanych naukowców nieprzystosowanych do życia?

Nauka zna odpowiedź. – Naturalną cechą męskiego umysłu jest łagodny autyzm – uważa doktor Simon Baron-Cohen z wydziału psychologii eksperymentalnej uniwersytetu w Cambridge. Na szczęście (może dzięki temu uniknie oskarżeń o sfrustrowany feminizm) sam też jest facetem. I na poparcie swojej tezy ma przekonujące dane.

Testosteron robi mózg

Klasyczna postać autyzmu to ciężkie schorzenie neurologiczne. W ponad 90 procentach dotyka chłopców. Jest to związane z hormonalnym i genetycznym kształtowaniem się płci mózgu podczas życia płodowego – uważa wielu naukowców.

Simon Baron-Cohen w swej wydanej w USA książce „The Essential Diffe-



MĘSKI UMYSŁ

AUTYZM w postaci uznawanej za chorobową objawia się brakiem umiejętności utrzymywania relacji z otoczeniem i całkowitym wycofywaniem się do świata przeżyć wewnętrznych. Chorzy mają ograniczone zainteresowania, nie potrafią przystosować się do norm społecznych, żyją we własnym, zamkniętym świecie. Przyczyny autyzmu nie są w pełni poznane.

rence” określa autyzm jako stan zaburzenia równowagi między dwoma rodzajami inteligencji: jedną nazywa empatyzacją (służy ona rozumieniu stanów psychicznych innych ludzi), druga to systematyzacja (jest potrzebna do określania uwarunkowań fizycznych i relacji przestrzennych przedmiotów). Większość z nas posiada oba rodzaje inteligencji. Jednak – co wie każdy, kto niedawno bawił się w narodowy test IQ – zwykle kobiety mają więcej zdolności empatycznych, a mężczyźni bardziej skłonni są do systematyzacji.

Dlaczego? Około ósmego tygodnia życia u płodu męskiego powstają jądra i zaczynają uwalniać

testosteron. Ten hormon „przełącza” żeński mózg na opcję „męczyzna”. Jak wygląda w praktyce, badacze do końca nie są pewni. U chłopców obserwuje się na przykład pogrubienie kory mózgowej prawej półkuli, w mózgu dziewczyn bardziej rozbudowane jest tak zwane ciało modzelowate odpowiedzialne między innymi za zdolności werbalne. Twór ten jest bardzo mały u dzieci z autyzmem.

Rozwój męskiego umysłu nie trwa jednak wiecznie. Praktycznie powinien być zakończony po osiągnięciu dojrzałości płciowej. Czasem jednak zdarza się, że raz puszczony w ruch mechanizm nie może się zatrzymać, zmiany są za szybkie i za głębokie. Mózg autystyka w niekontrolowany sposób robi się coraz bardziej męski.

Jak być kobietą

Wynikają z tego dwa wnioski – po pierwsze, każdy facet jest w pewnym stopniu autystyczny (te ciągle poszukiwania kluczy, skłonność do kolekcjonerstwa, brak wrażliwości...). Po drugie, jeśli Simon Baron-Cohen ma rację, autyzm nie jest zwykłą chorobą, to raczej specyficzny styl myślenia: „skrajnie męski” sposób postrzegania rzeczywistości. W związku z tym inaczej powinniśmy leczyć dotknięte nim osoby. Nadzieja nie w leku (bo jaki lek zmieni mentalnie mężczyznę w kobietę?), lecz raczej w terapii behawioralnej. Trzeba podjąć próbę nauczania skrajnie męskiego umysłu, by patrzył odrobinę po kobiecemu.

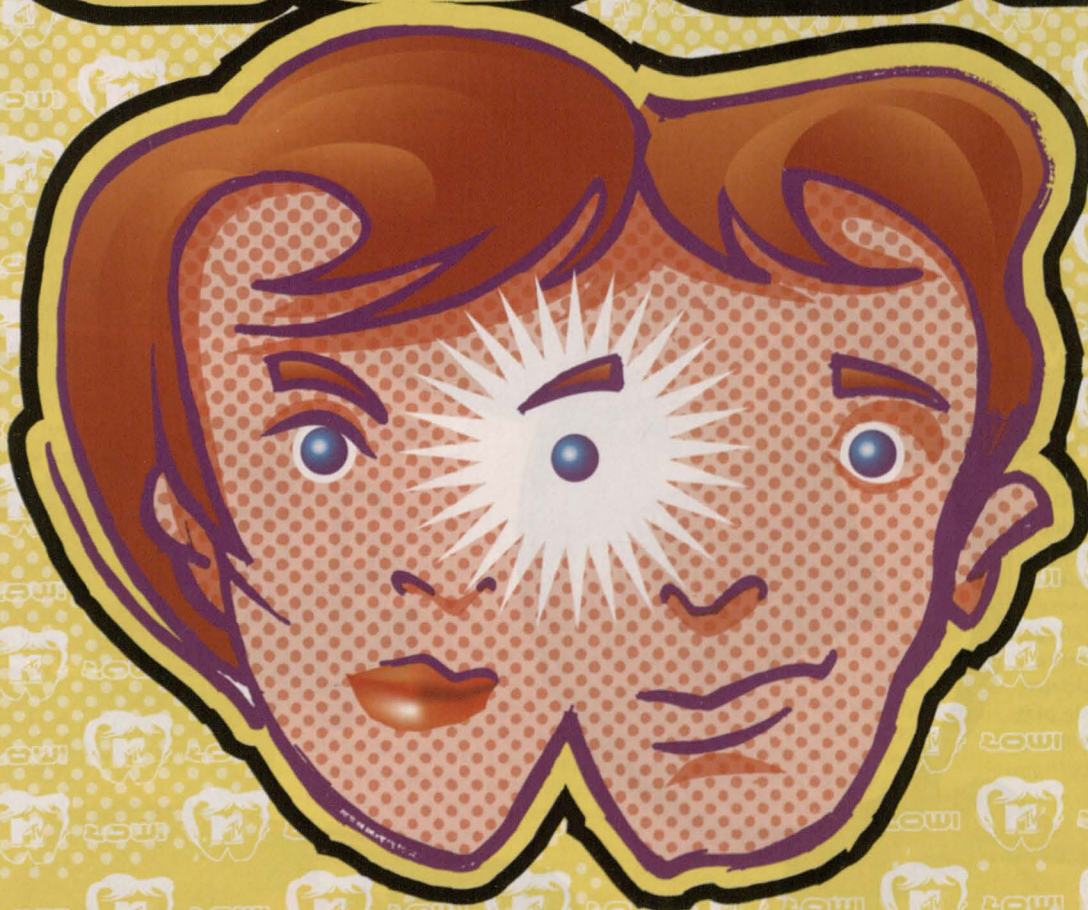
Osoby o niewielkich tendencjach autystycznych zwykle wiele osiągają w życiu, choć na co dzień uważa się je za nieszkodliwych dziwaków. Wynika to z tego, że mają zwykle wyższe od przeciętnej IQ i doskonałą pamięć. Wydaje się, że w tej kategorii mieści się wiele wybitnych postaci – choćby Bill Gates. Także Einstein miał cechy autystyczne. Nie potrafił mówić przed ukończeniem trzech lat, nie zwracał uwagi na swój wygląd. – Ci genialni nieprzystosowani powinni uzupełnić braki spowodowane słabymi umiejętnościami społecznymi – radzi Baron-Cohen. – Wyćwiczyć, najlepiej jak się da, to, co umieją, żeby ktoś chciał ich zatrudnić mimo ich dziwactwa.

Pytanie tylko, czy świadomość, jak działa męski umysł, sprawi, że poranne poszukiwanie męzowskich skarpetek do pary będzie mniej irytujące? Cóż, mam nadzieję... W zamian za to on naprawi mi samochód.

OLGA WOŹNIAK



ŁOWI



Zadecyduj Kto jest MTV!

zagłosuj na swojego ulubionego kandydata na prezentera

oglądaj MTV Łowi w piątki i niedziele o 18⁰⁰

GLAMOUR

RADIO
eska

MAŁE MIASTO
Multikino
JAZZ KLUB

RESERVED

INTERIA.PL

www.mtv.pl / mtvłowi



[odjazd]

Jak samolot

Oto najszybszy seryjny samochód na świecie, wymarzony na niemieckie autostrady, gdzie nie ma ograniczeń prędkości! BUGATTI VEYRON ma prędkością 406 kilometrów na godzinę. Ma 16-cylindrowy silnik o rekordowej mocy 1001 koni. Wyposażony jest w automatycznie wysuwany spoiler, który przy wyższych prędkościach dociąga samochód, żeby ten nie poderwał się do lotu. Około 4 600 000 złotych
www.bugatti-cars.de

[zabawa]

Tolerancyjny cyborg

Joystick CYBORG EVO nie dzieli amatorów gier komputerowych na prawo- i leworęcznych. Dzięki pokrętlom korekcyjnym można go dopasować do każdej dłoni. Dodatkowo drążek pokryty jest gumą, żeby utrudnić poślizg zajętej strzelaniną ręki.

179 złotych
www.saitek.pl



[od rzeczy]

Na językach

Odświeżające oddech listki WINTERFRESH firmy Wrigley's od kilku tygodni są na językach amatorów w gum do żucia. Są cennie jak bibułka i ostre jak chili. Trochę szczypliwe w język, ale za to nie wymagają ruszania szczękami.

4 złote/24 listki



[techno]

Z koniem

Aparat cyfrowy FERRARI DIGITAL MODEL 2003, jak przystało na rasowe ferrari, jest czerwony i ma charakterystycznego tańczącego konia. Olympus wyprodukował tylko 10 tysięcy takich modeli z okazji sukcesu teamu Ferrari w tegorocznej Formule 1.

Aparaty pojawią się w sklepach przed Bożym Narodzeniem.

Cena jest na razie pilnie strzeżoną tajemnicą.
www.olympus.co.jp

[pomysł]

Lustreczko do gadania

Telefon XELIBRI 6

łatwo pomylić z puderniczką, bo do złudzenia przypomina ulubiony kosmetyk wielu kobiet. Komórka Siemens z kolekcji jesień/zima 2003 ma aż dwa lusterka, które pozwolą właścicielce przeglądać się przy każdej rozmowie.

Około 1200 złotych
www.xelibri.com



[popmoda]

**Komórkowa biżuteria**

Gdzie rodzą się dziś masowe mody? W środowisku brytyjskich dandysów? Francuskich projektantów? Bohemy nowojorskiej? Otóż nie – te mody, które z masowością mają coś wspólnego, rodzą się najczęściej wśród uczniów japońskich podstawówek. Migająca kolorowymi diodami biżuteria dla telefonów komórkowych upowszechniła się właśnie tam, a dopiero teraz trafia powoli do Ameryki i Europy. Uczniom przydawała się z różnych względów – stanowi świetny towar do wymieniać się i kolekcjonowania, wygląda kolorowo, a co najważniejsze – pozwala odbierać telefony i SMS-y w czasie lekcji. Komórkę, przedmiot dość standardowy, pozwala udekorować po swojemu, jak przybraną lampką hinduską taksówkę albo wschodnioeuropejskiego TIR-a. Oto kolejna popmoda z Dalekiego Wschodu po tamagotchi i mandze.

Totemy na sznurku

Są wisiorki z królikiem Bugsem, z jaszczurką, biedronką, miśkiem, jelonkiem i kotkiem. Albo z małym buddą, albo Bruce'em Lee. Im bardziej kiczowate, tym lepsze. Naj-

modniejsze są rzecz jasna te markowe, opatrzone nazwami japońskich firm, choćby Hello Kitty czy Pucca. Zasada działania jest prosta. Gdy przesyłamy lub dostajemy informację, nasz telefon wysyła lub odbiera falę elektromagnetyczną. Tę można wykorzystać, by zapalić (bez dodatkowej baterii) wmontowaną w wisiorek diodę. Zazwyczaj błyska ona już na dwie sekundy, zanim zacznie dzwonić telefon, a potem jeszcze chwilę po zakończeniu rozmowy. Za granicą takie wisiorki można kupić już za 2 dolary, w Polsce – za 10 złotych.

Na wisiorkach, zwanych czasem chin chin (w Polsce z rzadka mówi się o nich „totemy”), świat się nie kończy. Są jeszcze świecące długopisy, które – gdy znajdują się w odległości od jednego do dwóch metrów od naszej komórki – zasygnalizują nam dzwonięcie. I wreszcie flash stickery, czyli naklejki z diodą, wersja najtańsza – gadżet, który przykleja się do komórki. Ten ma jedną wadę – przyklejając go, brudzimy klejem obudowę telefonu. A wisiorek wystarczy przymocować do antenki. Nie ma antenki? Też

nie ma problemu – wkładamy koniec sznurka pod klapkę baterii.

Moda i wypaczenia

Od błyskających diodami gadżetów powstało nowe określenie – „komórkowa biżuteria”. Niektórzy potraktowali je nawet zbyt dosłownie. Amerykanie sprzedają u siebie droższą wersję chin chin – eleganckie łańcuszki z diodami. A brytyjska firma Walsh Brothers proponuje (po 15 funtów) wisiorki do komórki z dziewięciokaratowego złota.

Firmie Bongo, która sprowadza te zwykle dalekowschodnie wisiorki do Polski (www.bongo.pl), w ciągu kilku miesięcy istnienia sprzedaż wzrosła kilka razy. Można więc zakładać, że u nas szaleństwo dopiero się zaczyna. Nie ma jeszcze wisiorków z orzełkiem, z żubrem ani w barwach Legii Warszawa, ale zobaczcie – nie trzeba będzie długo czekać. Fabryki w Chinach czekają na nowe zamówienia.

BARTEK CHACIŃSKI

patrzac i czytając

Wielka wystawa w Wiedniu
roziewa wątpliwości.
Francis Bacon to geniusz

Offbrzum

MARCEL ANDINO VELEZ

Gdyby Francis Bacon się nie urodził, należałoby go wymyślić. Specjaliści od marketingu i reklamy sporządziliby listę cech, które taki wykreowany artysta-symbol XX wieku ma posiadać. Specjaliści od castingów zorganizowaliby casting i wybrali odpowiedniego kandydata. Fachowcy od kreowania wizerunku publicznego nauczyliby go wybrańca, jak ma się zachowywać i co mówić. Ktoś inny zająłby się produkcją dzieł, które miałyby w zaplanowany sposób oddziaływać na publiczność. Sukces byłby gwarantowany. I, Jezus Maria, ile szmalu!!!

Ale spokojnie. Prawdziwy Francis Bacon nie chciał się urodzić, namalować swoje genialne obrazy i umrzeć, zanim władzę nad światem przejęli ci, którzy dla zysku podjęli się wykreowania sztucznego Francis Bacona.

ne ochłapy ludzkie nie stają się ani na jotę bardziej banalne. Cynizm tych, którzy na widok obrazów Bacona próbują wzruszać ramionami, pozostaje cynizmem. Przez te 12 lat ani w sztuce, ani w życiu nie wydarzyło się nic, co oddaliłoby nas od malarstwa Bacona. Wprost przeciwnie – wydarzył się 11 września, a w sztuce – mnóstwo hucpy. W dobie globalizacji Bacon jest więc tak samo aktualny jak w czasach zimnej wojny. Dlatego trudno kwestionować sloganową opinię, że Bacon był, poza Picassem, największym malarzem XX wieku.

Sam Bacon na te słowa odpowiadał: „Plotkarskie gówno”. Był człowiekiem przewrotnym i często fałszywym skromniszem. Ale intuicję miał dobrą. Wiedział, że ci, którzy stawiają pomnik Francisowi Baconowi, wznoszą go w dużej mierze z czegoś, co kiepsko pachnie. Z plotkarskiego gówna właśnie.

Cóż, sam jest sobie winien. Zostawił światu wielkie malarstwo i setki stron głęboko przejmujących, mądrych komentarzy. Ale oprócz tego zmalował sobie biografię tak skandaliczną i kontrowersyjną, że aż trąci ona poradnikiem „Jak zostać wielkim artystą w weekend”.

Jak więc nim zostać?

Na początek najlepiej być samoukiem. Francis Bacon nie skończył żadnej szkoły.

Dobrze być utracuszem i pijakiem. Angielski malarz hulał, chlął i szastał groszem bez opamiętania. Do tego uwielbiał ruletkę, w którą przegrał górę forsy (za to, co wygrał, urządził orgię).

By zostać artystą przeklętym, warto mieć pociąg do świata ludzi upadłych. Artykuły, biografie i filmy o Baconie pełne są wzmianek o tym, jak to nurzał się w ludzkim bagnie. Z jaką łatwością porzucał szlachetny akcent i mówił językiem dołów społecznych. Jak uciekał z salonów zachodniego Londynu do spelun Soho i rynsztoków East Endu. Porządny artysta przeklęty powinien też wadzić się z Bogiem – niewierzący Bacon upodobał sobie malowanie krzyżujących papieża i zniekształconych ukrzyżowań.

Ale to wszystko jeszcze nic. W karierze popaprańca nie tak nie pomaga jak homoseksualizm. No, w zasadzie dziś już nie. Odkąd homoseksualiści zaczęli domagać się prawa do ślubów, świat ze zdumienia przeciera oczy. Okazuje się, że ci odmieńcy chcą żyć jak normalni ludzie! Bardziej niż obrażanie moralności interesuje ich możliwość wspólnego opodatkowania. Ale Bacon zmarł w 1992 roku – zaledwie trzy lata po tym, kiedy Dania jako pierwszy kraj na świecie zezwoliła na legalizację związków homoseksualnych.

Kariera Bacona, zapoczątkowana w 1944 roku, przez dziesięciolecie była karierą budzącą grozę sodomity. Jakby tego było mało, Ba-

con swoich kochanków rekrutował z klas najniższych. Jego wieloletni partner George Dyer był pospolitym złodziejaszkiem, a następca Dyer John Edwards nawet nie umiał pisać. Swoją drogą nieźle się trzeba natrudzić, by znaleźć przystojnego analfabetę, który w dodatku jest gejem. Bacon to miał nosa do dziwadła!

Za dekorację tego plotkarskiego tortu niech posłużą sadomasochistyczne ciągoty Francis Bacona. W łóżku malarz chciał cierpieć i być poniżanym, poza łóżkiem wołał sam zadawać cierpienie i poniżać. Udało mu się to do tego stopnia, że zaszczytu przez Bacona George Dyer zmarł z przedawkowania narkotyków.

Podejrzliwość, z jaką podchodzimy do takich sensacji, to dowód, że romantyczny ideał artysty-szałeńca sięgnął bruku. Dziś z biografią Bacona można zostać gwiazdą telewizyjnego show.

OBSESJA ŻYCIA

Na szczęście poza życiorysem skandalisty Francis Bacon pozostawił potomności coś jeszcze. Wielkie malarstwo, które nie zasługuje, by patrzeć na nie tylko w kontekście burzliwego życia malarza. Ten błąd, zwany psychologizowaniem, w stosunku do spuścizny Bacona popełniają nawet ci, którzy zwykle nie żerują na sensacjach. Historycy sztuki, znawcy malarstwa, krytycy – gdy mowa o Baconie, wszyscy lubią wspomnieć o diabolicznej naturze artysty. Tymczasem pełnych mocy obrazów Bacona nie da się zaszufladkować po prostu jako „głosów z piekła”, po którym za życia wędrował artysta. To byłoby zbyt łatwe.

Dlatego dobrze, że zdarzyła się taka wystawa jak ta w wiedeńskim muzeum. To hołd złożony malarstwu, a nie legendzie Bacona. Obok 40 obrazów angielskiego malarza wisi 40 arcydzieł mistrzów – między innymi Velázquez, Rembrandt, Tycjana, Degasa i Picassa. Autorka wystawy Barbara Steffen ułożyła z nich fascynującą opowieść o związkach pomiędzy Baconem a tymi gigantami malarstwa. Porównanie płócien mistrza grozy z dziełami klasyków pomaga zrozumieć, że to, co Bacon robił z farbą na płótnie, to wielkie zmagania i dialog z przedziwną i wyjątkową formą ludzkiej kreatywności, jaką jest malarstwo.

Przywykliśmy do tego, że kilkaset malowideł na płótnie, deskach i tynku namalowanych w ciągu minionych stuleci nazywa się arcydziełami. Miliony ludzi spędzają swój wolny czas, podróżując od jednego muzeum do drugiego, by zaliczyć arcydzieła. Łatwo zapomnieć, po co się to robi. Czemu te cholerne arcydzieła są tym, czym są. Przecież nie są arcydziełami dlatego, że malowali je odmieńcy.

Portret papieża Innocentego X (1650) pędzla Velázqueza, obraz, który Bacon uważał za największe dzieło malarstwa. Obok: Studium z 1953 roku. Bacon wielokrotnie podejmował dialog z tym przejmującym portretem

Wystarczy pojechać do słynnego Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, gdzie właśnie trwa wystawa „Francis Bacon i tradycja sztuki”, by się przekonać, że istotnie, Francis Bacon wielkim malarzem był. Efektorska biografia artysty przekłętą przegrywa na wiedeńskiej wystawie z dziełem, które zostawił nam Bacon. I bardzo dobrze.

PLOTKARSKIE GÓWNO

Niemal 12 lat po śmierci Bacona groza na jego płótnach nie jest ani trochę mniej groźna. Formy i kolory nie uspokajają się. Zdeformowa-





Tryptyk TRZY STUDIA DO UKRZYŻOWANIA (1962) – prawa część tryptyku jest nawiązaniem do krucyfiksu XIII-wiecznego włoskiego mistrza malarstwa Cimabuego. – To glista, która zsuwa się z krzyża. Próbowałem jakoś oddać to uczucie, które natchnęło mnie, kiedy patrzyłem na tę postać – mówił Bacon

Jesteśmy mięsem. Wszyscy mieszkańcy tej planety są zrobieni z mięsa, a do tego większość jest mięsożerna

Bacon, który poza wywoływaniem skandali i malowaniem obrazów zajmował się także rozmyślaniem, poświęcał mnóstwo czasu na analizowanie malarstwa i dziedzictwa ludzkości. – Czy można zbadać różnicę między farbą, która wyraża coś bezpośrednio, a farbą, która wyraża coś przez ilustrację? – popytywał Bacon. To proste pytanie o to, czy farba na obrazie może coś przekazywać samodzielnie, czy musi przybrać kształt, na przykład krzyczącego papieża, by coś nam zakomunikować. Bacon ani na chwilę nie porzucił wiary, że malarstwo ma coś przekazywać. Nie opowiadał historii, ale przekazywał emocje. Będąc wro-

giem opowiadania historii, Bacon równocześnie nie był wrogiem abstrakcji. Na jego obrazach miało nie być żadnych wydarzeń, miały być tylko uczucia. Wydarzenia odciągałyby naszą uwagę od rzeczy najważniejszych, ponadczasowych.

– Sztuka to przede wszystkim obsesja życia, a ponieważ jesteśmy ludźmi, największą obsesją mamy na swoim własnym punkcie – mówił Bacon. W abstrakcji nie widział żadnego zmagania ze wspólną wszystkim ludziom obsesją życia. – Wierzę, że sztuka to rodzaj komunikacji. Według mnie w sztuce abstrakcyjnej nie ma komunikacji. (...) Nie ma w niej

nigdy napięcia – powtarzał. To napięcie, komunikację i obsesję życia znajdował u Rembrandta, van Gogha, a szczególnie u Velázqueza. Portret papieża Innocentego X pędzła tego hiszpańskiego mistrza baroku Bacon uważał za najdoskonalszy obraz w dziejach. – Niezwykle jest to, że Velázquez potrafił zbliżyć się tak bardzo do tego, co nazywamy ilustracją, i jednocześnie oddać największe i najgłębsze uczucia, jakich może doświadczyć człowiek – mówił Bacon. Próbował naśladować Velázqueza w oddawaniu ludzkiej obsesji życia. Jego wersja portretu Innocentego X, w której ten namiestnik Boga na ziemi, czło-

wiek o władzy niemal bezgranicznej, krzyczy z przerażenia, stała się ikoną XX wieku.

PIĘKNO SKLEPU MIĘSNEGO

Pytany o to, czym jest dla niego ciało, Bacon odpowiadał: – Wyobrażam sobie ludzi wiszących w sklepie mięsny dla hien. One chodziłyby sobie w futrach, a ludzi wieszano by za nogi i krojono na bigos czy kebaba. (...) Wszyscy mieszkańcy tej planety są zrobieni z mięsa, a do tego większość jest mięsożerna. A kiedy się pieprzysz, to po prostu kawałek mięsa penetruje inny kawałek mięsa.

Kiedy indziej mówił: – Istnieją doskonałe fotografie zwierząt tuż przed zabiciem; czuje się na nich zapach śmierci. Wydaje się, że zwierzęta zdają sobie sprawę z tego, co się stanie, próbują ucieczki za wszelką ceną. Myślę, że moje obrazy bliskie są tym sprawom, które w moim odczuciu nie są odległe od ukrzyżowania.

Trudno się dziwić, że Bacona oburzały komentarze, iż jego malarstwo nadmiernie epatuje okrucieństwem. Że nie ma w nim nic poza przemocą. – Zawsze starałem się oddawać rzeczywistość tak bezpośrednio i surowo, jak tylko mogłem, ale ludzie uważają, że to przerażające. (...) Ludzie często obrażają się na fakty

– bronił się Bacon. Fakty są takie, że w każdym kościele chrześcijańskim centralne miejsce zajmuje wizerunek młodego człowieka, którego inni ludzie przybili żywcem do krzyża. Fakty są takie, że każdy, kto uważa obrazy Bacona za zbyt brutalne, swoje zarzuty formułuje zapewne po suto śniadaniu, które prawdopodobnie składało się także ze smacznego mięsa. Bacon nie nawołuje ani do miłosierdzia, ani do vegetarianizmu. Chce nam tylko przypomnieć, kim jesteśmy.

Nie jest psychologizowaniem przypomnienie, że urodzony w 1909 roku w Irlandii Francis Bacon przeżył dwie wojny światowe, krwawą



GŁOWA MĘŻCZYZNY (1960) – malarstwo zawsze opowiadało o próbach zapisania obrazu człowieka – mówił Bacon. Ale malowanie to nie naśladowanie. – Kiedy maluję, chcę namalować obraz własnej wyobraźni, a on stale się zmienia

walkę Irlandczyków o niepodległość, wynalezienie i zrzućenie bomby atomowej i wiele innych wojen. Widział też – w zdemoralizowanym Berlinie końca lat 20. – jak nędza pcha ludzi do upodlenia i jak zamienia ich w towar. Sam był tam przez kilka miesięcy utrzymankiem.

Ale myli się każdy, kto w baconowskich szczątkach ludzkich – w ukrzyżowaniu, w wymiotach, defekacjach, kopulacjach, w ludzkim mięsie – zbyt usilnie dopatruje się moralizatorstwa. Bacon bezustannie powtarzał, że jest nie tylko niemoralny, lecz wprost antymoralny. To oczywiście przewrotność artysty. Płótna Bacona w istocie są moralitetem. Ale przede wszystkim są malarstwem.

Bacona fascynowała możliwość zapisywania widzialnego obrazu środkami innymi niż wierne odmalowywanie. – Czym jest wygląd? – zastanawiał się bez ustanku. – W jednej sekundzie możesz przymknąć oczy albo poruszyć nieznacznie głowę i kiedy znów popatrzysz, wygląd będzie inny.

Więc te zniekształcone twarze, te rozmazane kontury ludzkie to nie tylko lament egzystencjalisty. Nie tylko pochylenie się nad marnością kondycji ludzkiej. To także próba uchwycenia tego, co nieuchwytnie – przypadkowości formy, obrazu w czasie.

Bacon zawsze podkreślał rolę fotografii w swoim malarstwie. Z jednej strony rolę zabójczą, bo fotografia uśmierca malarstwo ilustracyjne. To fotografia sprawia, że malarz musi zabierać się do malowania tego, co widzialne, w inny sposób, niż to robiono przez stulecia. Jak w tej sytuacji oddać podobieństwo malowanej twarzy do twarzy modela – także takie sprawy nurtowały Bacona.

Z drugiej strony fotografia pozwala malarzowi zobaczyć ruch rozpisany na kolejne klatki fotograficznej kliszy. Bacon stale odwoływał się do słynnych cykli zdjęć Eadwearda Muybridge'a, XIX-wiecznego angielskiego fotografa, który chciał udokumentować ruch. Na zdjęciach Muybridge'a nadzy atleci wykonują ćwiczenia, nadzy zapaśnicy walczą ze sobą. Klatka po klatce. Wiele z nagich męskich ciał o płynnych konturach, które znamy z obrazów Bacona, to echa fascynacji tymi eksperymentalnymi seriami. Malując spętane męskie sylwetki kochanków, Bacon chciał nie tylko przedstawić okrucieństwo i bezsens kopulacji, lecz także pokazać ruch.

Nie dajmy się więc zwieść opinii, że Bacona pociągało jedynie piekło i że tylko o piekło potrafił mówić.

PATRZEĆ W OBYDWIE STRONY

Bacon miał świadomość, że jego legenda utrudni zrozumienie jego sztuki. Ze zapamię-



FOR LESSING PHOTOGRAPH PICTURES

FIGURA PRZED LUSTREM (1974) – Bacon, zainspirowany seriami zdjęć XIX-wiecznego fotografa Muybridge'a, próbował namalować ruch, zmienność formy w czasie

tany zostanie tylko jako malarz cierpienia i śmierci. Pogodził się z tym, bo był – jak sam o sobie mówił – oświeconym optymistą. – Jeśli kochasz życie, to śmierć pojawia się na zasadzie przeciwieństwa. Jest jak cień i także bywa ekscytująca. (...) Każdy poranek, kiedy budzę się żywy, jest dla mnie niespodzianką. Można być optymistą pozbawionym nadziei. (...) Nie zmienia to wcale mojej świadomości ulotności chwili pomiędzy narodzinami i śmiercią – mówił Bacon. Po czym dodawał: – Kiedy przechodzę przez jezdnię, patrzę w obydwie strony. To moja żądza życia!

Jeśli spojrzenie w obie strony jezdni może być manifestacją woli życia, to spoglądanie na obrazy Francisca Bacona też nią jest. Bliskie spotkanie z bólem i przerażeniem pozwala potem mocniej cieszyć się z tak absurdalnych rzeczy jak miłość, jak smakowite śniadanie i słoneczny poranek.

MARCEL ANDINO VELEZ

WYSTAWA „BACON I TRADYCJA SZTUKI”
W KUNSTHISTORISCHES MUSEUM W WIEDNIU
CZYNNA JEST DO 8 STYCZNIA 2004 R.

Wypowiedzi Francisca Bacona pochodzą z książki Davida Sylvestra „Rozmowy z Franciskiem Baconem. Brutalność faktu” w przekładzie Marka Wasilewskiego, Zysk i S-ka, Poznań 1997, oraz z ostatniego wywiadu, którego udzielił artysta francuskiemu fotografowi Francisowi Giacobettiemu w 1992 roku: „I painted to be loved”, opublikowanemu w „The Independent” w czerwcu 2003 roku.



Panie Redaktorze!

Przeczytałem Państwa pełen sprzeczności artykuł „Tygrys z powyłamywanymi zębami”, oglądałem walkę Dariusza Michalczewskiego z Gonzalezem, a że w młodości próbowałem swoich sił w tym sporcie, potrafię trafnie ocenić wynik prawie każdego pojedynku. Słucha Pan klakierów mistrza. To jasne, że oni chcieliby, aby mistrz zachował swój pas na wieki. Przegrał Michalczewski, przegrała taktyka, przegrała wiara w – jak Pan to określił – piorunujący cios i wiara, że w 36 minutach ten cios musi wyjść. Mistrz poluje na nokaut, a pięści Gonzaleza robią swoje. Dziesiątki niezbyt mocnych, niezbyt szybkich, wręcz sygnalizowanych ciosów dochodzi do celu. Próba odwrócenia wyniku w dwóch ostatnich rundach to chaos i szarpanina ze słabnącym przeciwnikiem, nie miała wpływu na wynik. Na szczęście w tej atmosferze „spisku” głos „zrobionego na szaro” byłego mistrza zabrzmiał bardzo rozsądnie.

JERZY HAFARCZYK

No wreszcie!

Jakaś różnica zdań, polemika, trochę życia! Po raz pierwszy nie zasnąłem, czytając „A właściwie to...”. Dziwię się optymizmowi pana Najsztuba w kwestii tego, do czego nadaje się pani Kwaśniewska. Przecież prezydentowa to takie miłe nic. Honor pisma ratuje pan Smoczyński – godny podziwu głos rozsądku. No i jeszcze przeciwstawia się samemu naczelnemu! Brawo! Więc może by tak więcej polemiki w „Przekroju”? Może czasami warto dopuścić do głosu kogoś, kto ma odmienne zdanie niż autor tekstu? A może wolicie pławić się we własnych jedynie-słusznych-poglądach? Bo jeżeli ma być tak gładko, to lepiej dajcie te strony panu Raczkowskiemu – ten to dopiero potrafi komentować rzeczywistość! Stanisław z Łodzi na naczelnego!

ANDRZEJ Z ŁÓŻY



Tak trzymać!

Chciałem pogratulować panu Najsztubowi naprawdę udanego wywiadu. To dobrze, że zamiast

roztrząsać po raz n-ty nieświeżą już sprawę Rywina czy analizować podłą kondycję SLD, porozmawiał z człowiekiem, któremu udało się pokonać ciężką chorobę. Za rzadko mówi się w Polsce o tym, że młodzi i „zdrowi” ludzie też mogą mieć raka. Za to zbyt często mówi się, że wyleczyć raka można dietą czy przykładaniem rąk. Na szczęście pan Durczok nie szukał pomocy u znachora i dlatego może teraz o tym opowiadać. Nie cierpię wywiadów, w których pytania są dłuższe od odpowiedzi i w sumie wcale nie są pytaniami, tylko oświadczeniami. Dlatego cieszę się, że pan Najsztub tym razem starał się słuchać swego rozmówcy, a nie przedstawiać koniecznie swoje własne poglądy. Z pozdrowieniami, wasz czytelnik

JÓZEF DECKI

PS A artykuł o płamach na Słońcu powinien być większy! Chętnie dowiedziałbym się, skąd w ogóle biorą się takie plamy i czy inne gwiazdy też są „piegowate”.

Sprostowanie

W artykule prasowym „Jak u Paetza za piecem” w wydaniu nr 41/3042 tygodnika „Przekrój” opublikowana została nieprawdziwa informacja, iż „dwa miesiące temu biskup senior udzielił ślubu córce Stefana Jurgi, byłego rektora Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu”. W rzeczywistości ślub córki Pana

Profesora Stefana Jurgi odbył się przed miesiącem i pobłogosławił go znany dominikanin Ojciec Jan Góra. Za rozpowszechnienie nieprawdziwej informacji redakcja tygodnika „Przekrój” przeprasza zarówno Pana Profesora Stefana Jurgę, jak i córkę Profesora oraz jej małżonka.

Nie znam rosyjskiego!

Dlaczego piszecie o rzeczach, których nie można (jeszcze?) u nas dostać. Dostałam korby, gdy przeczytałam o ruskiej Masłowskiej! „Jej teksty przepełnia chaos dziecięcych aktów płciowych. To obraz szalejących dzieciaków, które wyrwały się z klatek”. Boże, chcę to przeczytać, ale nie znam rosyjskiego. Czy będzie tłumaczenie? Pomóżcie, droga redakcjo! Jak czytałam „Wojnę polsko-ruską...”, miałam wrażenie, że autorka nie pisze o sobie, ale o mnie. To takie dziwne uczucie, kiedy się czyta własne słowa. „Opowiadania Iriny przepełnia seks, przekleństwa, brutalność i oczywiście wódka” – to przecież nasz świat. Szarych bloków, zapluty chodników, psich kup i flaszek po prostych winach. Ja chcę to przeczytać!

AŚKA S. Z RADOMIA

CZAT

Z BARTKIEM CHACIŃSKIM
W PORTALU WIRTUALNA
POLSKA WE WTOREK
18 LISTOPADA O GODZ. 14.00



tydzień

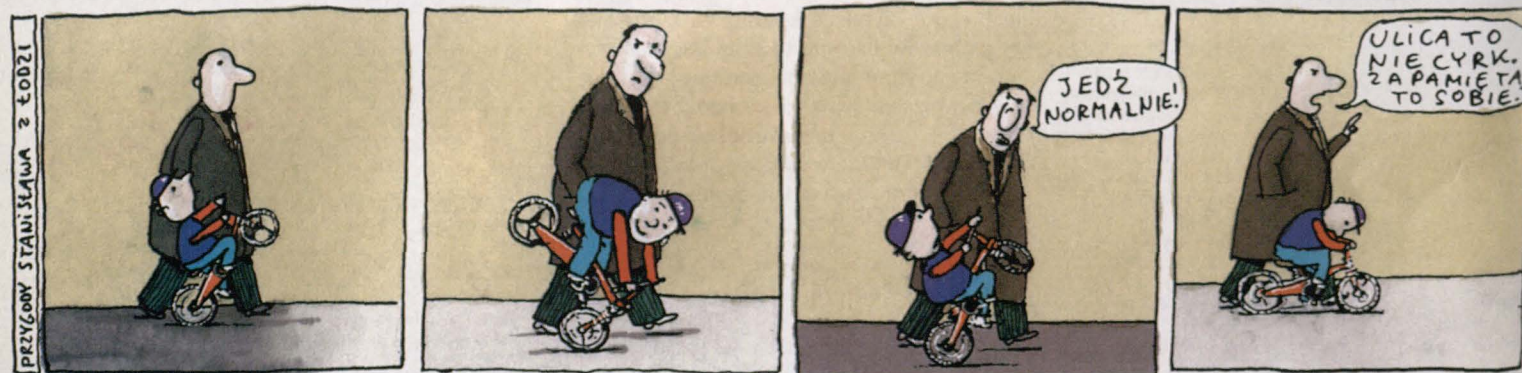
John McLaughlin

ZACHÓD SPOTKAŁ WSCHÓD

Niektórzy myśleli, że zblikowałem – wspomina John McLaughlin początki grupy Shakti. Rzeczywiście, to było dziwne: gitarzysta jazzowy numer jeden na świecie nagle porzucił uwielbiane Mahavishnu Orchestra, by grać z hinduskimi improvizatorami muzykę, dla której w latach 70. nikt jeszcze nie wymyślił etykiety. Shakti (w języku hindi znaczy to tyle co „energia” albo „siła”) było jednym z pierwszych projektów tworzonych przez muzyków ze Wschodu i Zachodu na równych prawach.

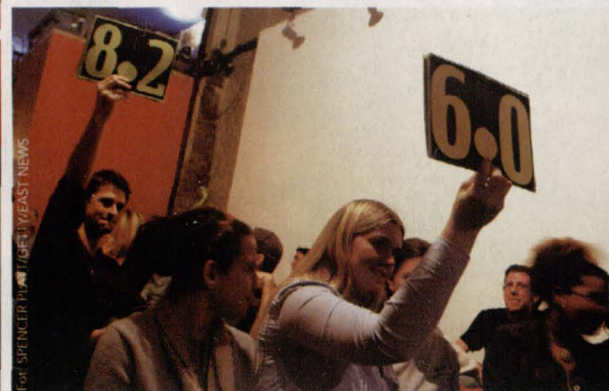
Po latach dwaj członkowie projektu, McLaughlin i tablista Zakir Hussain, spotkali się pod szyldem Remember Shakti – na specjalnym koncercie na 50-lecie niepodległości Indii (1997 rok). Zaczęli nagrywać i występować z nowymi muzykami i właśnie jako Remember Shakti zawędrują na jeden wieczór do Polski. Muzyka tego projektu jest nieco delikatniejsza, mniej agresywna brzmieniowo niż w oryginalnym Shakti, ale to wciąż ten sam duch Zachodu spotykającego Wschód. (BACH)

JOHN MCLAUGHLIN,
REMEMBER SHAKTI
17 listopada,
Warszawa, teatr Roma



© MAREK MACZKOŃSKI

Slam wywraca poezję do góry nogami jak demokracja politykę, a programy „zostań gwiazdą” – scenę piosenki. Połączył poezję ze sportem, wywołując szaleństwo na Zachodzie. Teraz przyjeżdża do Polski



Slam, masz trzy minuty, przyjdź pokrzyknąć na poetów” – głosi ulotka. Nie chodzi o zbiorową terapię krzykiem czy akt agresji wobec artystów. Nic z tych rzeczy. Do Polski zbliża się wielka fala, która ogarnęła już Europę Zachodnią. Niemcy, Francuzi i Anglicy oszaleli na punkcie slamów, czyli turniejów poetyckich. Slam to połączenie performance'u, poezji i... sportu. Samo słowo w sporcie (brydż, baseball, tenis) oznacza mocne uderzenie, które powala przeciwnika. Od 1986 roku opisuje również nowy sposób istnienia literatury.

Klaszcz, tup, gwizdź

Na slam przychodzi tyłu ludzi, ile na koncert rockowy. – W Berlinie byłem na slame w klubie, który się mieścił w dawnej hali fabrycznej. Zabrakło miejsc, było z 700 osób – mówi Renata Kopyto z Domu Norymberskiego, który współorganizuje pierwszy slam w Krakowie. – Najbardziej zaskoczyło mnie to, że ludzie tak żywiołowo reagowali na literaturę. Klaskali, tupali albo gwizdali, gdy ktoś czytał z kartki.

W wielu miastach europejskich imprezy slamowe odbywają się w klubach kilka razy w miesiącu. Kiedyś w Londynie w klubie Poetry Place obejrzał slam Bohdan Piasecki, student warszawskiej anglistyki. I w marcu tego roku zorganizował pierwszy slam w Warszawie. Przyszło około 200 osób. Potem zaprosił parę slamerów ze Stanów. Tłum był tak wielki, że nie wszyscy mogli wejść: – Moja siostra tłumaczyła przy wejściu, że przyszła na imprezę literacką, więc tam na pewno nie ma tłumy...

Znamy dotąd taki obrazek: Wieczór poetycki. Na scenie poeta szepcze do mikrofonu. Publiczność pije piwo i gada między sobą, na widowni głównie inni poeci albo znajomi królika. A teraz wyobraźmy sobie: Tysiąc osób na widowni. Na scenie poeta rapuje, rymuje, podśpiewuje albo robi coś innego, byle nawiązać kontakt z publicznością, która słucha, żywo komentuje, a potem ocenia. Tak wygląda slam. – To sposób na wyjście z getta literackiego – mówi Piasecki. – Świetlicki ma takie same szanse jak nieznany hiphopowiec.

Nie ma poezji bez przyjemności

W połowie lat 80. Marc Kelly Smith, robotnik budowlany i performer, zastanawiał się, jak ożywić występy literackie. Znalazł

w Chicago spelunkowaty jazz club: czarne ściany pokrywało graffiti, a z sufitu kapala dziwna substancja pochodząca prawdopodobnie z toalet piętro wyżej. A jednak imprezy Smitha stały się modne. Aż pewnego dnia właściciel klubu jazzowego The Green Mill, do którego chadzał niegdyś Al Capone, zaprosił Smitha i jego poetów do siebie. Co sobotę odbywały się odczyty, które z czasem przekształciły się w konkurs. Występy oceniała publiczność, a zwycięzca dostawał nagrodę pieniężną.

To już był początek slamu – ruchu, który wyrósł z buntu przeciwko poezji zamkniętej na uniwersytetach, elitarniej i hermetycznej. Wraz ze slamem poezja wróciła do barów i klubów – między ludzi. „Nie ma poezji bez przyjemności” – czytamy na stronie polskie-

MOCNE UDERZENIE POEZJI

go slamu (www.free.art.pl/slam) w Internecie. Slam zaś jest przede wszystkim zabawą.

Slam grozy o północy

W Ameryce slam przyjął formę zawodów sportowych, w których startują reprezentanci miast. Organizuje się też osobne slamy haiku, smetowe, erotyczne i slamy grozy o północy. W 1990 roku odbyły się pierwsze mistrzostwa narodowe. – To jakaś ludowa zabawa – powiedział mój znajomy podczas oglądania filmu „Slamnation”. – My w Europie mamy tradycję poezji śpiewanej, recytacji, zawody same dla nas.

Jednak w Europie również istniała tradycja literackich kawiarni, poezji połączonej z performance'em. Choćby u dadaistów. Slam w latach 90. rozprzestrzenił się w Europie i w każdym kraju nabrał nieco innego charakteru. Każdy slam ustanawia swoje reguły – istnieje jednak kilka stałych zasad: poeci mogą wykonywać tylko swoje utwory, dostają mikrofon na trzy minuty, nie wolno używać rekwizytów, publiczność lub jej część występuje jako jury. Imprezę prowadzi mistrz ceremonii (MC – jak w hip-hopie). Publiczność zaś może przerywać i komentować na gorąco. Głosuje za pomocą kartek.

– Najłatwiej wywołać śmiech, ale chodzi przede wszystkim o to, żeby zachwycić słowem, i to wcale nie jest takie łatwe – mówi Bohdan Piasecki. – Moje wiersze bywają śmieszne, ale to nie jest kabaret – dodaje Jaś Kapela, zwycięzca czterech slamów warszawskich. Teraz wystąpi w Krakowie. Równocześnie, jak co miesiąc, odbędzie się slam warszawski w galerii Off.

Strażak i księgowy

Pojawia się coraz więcej zawodowych slamerów. Boris Preckvitz,

który przyjedzie do Krakowa, występował, organizował slamy i zajmuje się tym zjawiskiem naukowo. – Koresponduję ze slamerem zwanym Poetri, który jest producentem muzycznym. Niedawno wystawił na Broadwayu przedstawienie oparte na slame „Deff Poetry Jam”, które nie schodzi z afisza. Slamer Shinon z kolei jest pierwszym zawodowym poetą sponsorowanym przez Nike. Ale slamerami są też najzwyczajniejsi ludzie, od księgowego po strażaka – mówi Piasecki.

Na pierwszym polskim slame wystąpili obok siebie hiphopowiec Wojtek Cichoń, pisarz fantasta Konrad Lewandowski, który przedstawiał swoje haiku, i Jaś Kapela, poeta, który już wcześniej wygrywał turnieje jednego wiersza. Ze sceny można usłyszeć zarówno wiersze miłosne, jak i zaangażowany rap.

– Slam to miejsce, gdzie mogą się spotkać ludzie z różnych środowisk. Tutaj nikt nie patrzy krzywo na moje szerokie spodnie – mówi



Jaś Kapela „Manifest”

Jestem pusty jak wydumuszka. Czuję się z tym całkiem niezłe. Chyba już nie wstanę z łóżka. Tak mi dobrze, mówiąc zwieglę.

Jestem płaski jak podłoga. Chyba nie ma w tym nic złego. Taka jest już moja droga. Tak wybrato moje ego.

Jestem płytki jak katuza, w środku lata, na lbizie. Moje szczęście się w niej nurza, koziołkuje i bawi się.

Ta potęga mnie rozpiera. Jaś Kapela – poniewiera.

Od lewej: Publiczność głosuje na slame w Nowym Jorku

Slamer Wammo na mistrzostwach narodowych w Teksasie

Najsłynniejszy nowojorski klub slamowy Nuyorican Café

SLAMY W POLSCE:
14–16 listopada,
Kraków, Bunkier Sztuki,
Café-Teatr Alchemia;
15 listopada,
Warszawa, galeria Off

Zaprasza
W

Albert de Paname

Woryklu Lounge Music
prosto z paryskiego Maxima
Albert De Paname!

Rezerwacja biletów pod numerem tel. 22/646 34 80
oraz w klubie. Bilety dostępne w biletowaniach Empiku
Więcej informacji znajduje się na stronach:
www.w3one.pl i newmusicart.pl

PRZE KRO! ELLE AKTIVIST

iBrief Santa onet.pl Radio PIN

Relacji z imprez szukaj w telewizji **tvn**

22.10.2003 START 21.00
JEZIORO LABĘDZIE

* Lounge'owe Mikolajki * 6.12.2003
EMMANUELL SANTAROMANA

JUSTYNA SOBOLEWSKA

„Good Bye, Lenin!”

opowiada o nostalgii za NRD.

A dokładnie – o nostalgii za brakiem wolności.

I z wielu powodów – tak oczywistych, że wstyd pisać – powinniśmy ten film obejrzyć w Polsce z najwyższą uwagą

„GOOD BYE, LENIN!”,
REŻ. WOLFGANG BECKER,
NIEMCY 2002, SPINKA,
PREMIERA 14 LISTOPADA



Alex (Daniel Brühl) buduje DDR z większym poświęceniem niż dawni pionierzy

DZIADKU, DROGI DZIADKU, MY CHCEMY CIĄGLE SPAĆ...

Za komuny byłem zdumiewająco naiwny, sądząc, że ci, którzy wierzą w te wszystkie ideologiczne pierdoły, jakie nam wciskano, pójdą do piekła, a oni trafili do Stowarzyszenia Ordynacka. Jeśli nawet zachwiało to moją wiarą w sprawiedliwość niebios, za jedno jestem wdzięczny dobremu Bogu: że oszczędził mi bycia enerdowcem. Nie oszczędził tego natomiast Aleksowi (Daniel Brühl), który musiał całe dzieciństwo popływać w pionierskim wdzianku, wzorować się na pierwszym niemieckim kosmonaucie oraz kochać piaskowego dziadka Ericha Honeckera. I mamę aktywistkę partyjną.

Tymczasem przyszedł rok 1989 i wschodnioniemiecki bunkier – z pozoru stojący na twardych fundamentach – okazał się domkiem z kart. Alex przygląda się rozpadowi komunistycznej ojczyzny bez większych emocji. Jedynie, co go naprawdę trapi – jak przyjmie to matka (Katrin Sass), która poświęciła całe życie, by fasada DDR-u lśniła jak maska trabanta w święto rewolucji. Matka przygląda się przemianom z nieufnością, a ponieważ ma chore serce, nadmiar wzruszeń może być niebezpieczny. Co wkrótce staje się faktem: widząc Aleksa w tłumie bitych de-

monstrantów, traci przytomność i zapa-
da w wielomiesięczną śpiączkę.

Tymczasem historia akurat się z niej budzi – komunistyczne państwo wędnie z dnia na dzień. Kiedy więc matka odzyskuje przytomność, nie ma już ani Lenina, ani enerdowskiego przemysłu odzieżowego, ani nawet jej ulubionych ogórków konserwowych ze Spreewaldu. Tymczasem lekarz ostrzega: serce matki jest w tak złym stanie, że każda emocja, wzruszenie czy stres mogą ją zabić.

Alex nie ma wątpliwości – trzeba ukryć, że NRD już nie istnieje. Plan jest szalony, ale desperacja Aleksa wielka – udaje mu się wciągnąć do gry siostrę, jej narzeczonego, własną narzeczoną oraz znajomych matki. Ci ostatni dają się zresztą namówić nad wyraz łatwo – dzięki mistyfikacji o szlachetnym podłożu Alex daje im sposobność cofnięcia się w czasy, kiedy czuli się dużo lepiej.

Fortel Aleksa ma niezwykle zabawne konsekwencje. Za śpiewanie w strojach pionierów piosenek o komunistycznym rajach dawni pionierzy – dziś uczestnicy wolnego rynku – żądają niemałych pieniędzy. By leżącej w łóżku matce dać dostęp do informacji, Aleks mistyfikuje na wideo wiadomości reżimowej telewizji – aż do pokojowego

przekazania władzy przez Honeckera. W „jego” DDR to Wëssis niszczy mur, bo chcą mieszkać w kraju dobrym i sprytnym, jakim są Niemcy wschodni.

Kiedy się to wszystko ogląda, wiecie śmieje się w głos, a momentami jest nawet potężnie wzruszony. Jednak niezależnie od tego, jak wdzięcznie i lekko zrobiony jest „Good Bye, Lenin!” i jak wielką wagę przykładają reżyser, by zapewnić widza, że wyłącznie synowska miłość do matki jest powodem, dla którego mistyfikuje on rzeczywistość, pozostają pytania, które komedie nie są. Czy Alex dobrze postąpił, pozwalając matce egzystować w iluzji? Czy właściwie odczytał jej potrzeby? I co jest ważniejsze: prawda czy święty spokój?

Do tych uniwersalnych pytań dołączam jeszcze jedno – subiektywnie polskie. Dało się je słyszeć po seansie prasowym „Good Bye, Lenin!”: „Dlaczego u nas nie powstanie film o nostalgii za komunizmem?”. Nie powstanie – odpowiadam – bo sentyment Polaków za komuną przybrał zgoła inny wyraz niż w Niemczech: u nas Piaskowy Dziadek i ogórki konserwowe rządzą nie wspomnieniami, lecz naprawdę – takie kino to my mamy w realu...

ANDRZEJ SARAMONOWICZ



Fot. MATERIAŁY ORGANIZATORÓW

POSŁUCHAJ KUBY!

Od 20 do 30 listopada w największych miastach Polski (Warszawa, Gdańsk, Kraków, Katowice, Szczecin) można będzie zobaczyć jedyny w swoim rodzaju zestaw kilkunastu kubańskich filmów muzycznych zebranych pod hasłem: „Kuba. Jesteśmy muzyką”. Będą to krótko- i pełnometrażowe dokumenty o fenomenie muzyki kubańskiej, o najwybitniejszych artystach z wyspy (Omarze Portuondo, Benym Morze, Ricie Montaner i innych) oraz zapisy koncertów (między innymi Van Van i Irakere). Gościem imprezy będzie reżyser Rogelio París, autor filmu „Jesteśmy muzyką” („Nosotros, la música” z 1964 roku), od którego wziął tytuł cały przegląd. Piękny dokument París opowiada o wszechobecności muzyki w życiu Kubańczyków, w restauracjach, na ulicy, podczas pracy, w podróży, a nawet na partyjnych wiecach. Imprezę organizują stowarzyszenie Nowe Horyzonty i agencja promocji Mañana, szczegóły dotyczące programu znajdziecie na www.manana.pl.

(MASA)

Dla naszych czytelników mamy zaproszenia na dokument „Jesteśmy muzyką” i kilka innych filmów. Żeby je zdobyć, wystarczy zadzwonić 19 listopada w godzinach 10.00–10.30 pod numer (0-22) 584 25 86 i odpowiedzieć na pytanie: Kto jest reżyserem głośnego filmu o muzykach z Kuby „Buena Vista Social Club”?

WARSZAWA

Jak miasto udaje labirynt, aktorzy granie, a „Warszawa” film



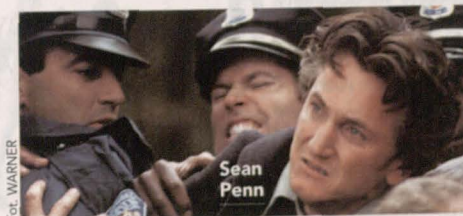
Dominika Ostalowska

Fot. GUTK FILM

REŻ. DARIUSZ GAJEWSKI,
Polska 2003, Gutek Film,
premiera 14 listopada

RZĘKA TAJEMNIC

O wstępowaniu dwa razy do tej samej rzeki



Fot. WARNER

REŻ. CLINT EASTWOOD,
USA 2003, Warner,
premiera 14 listopada

OBCY – 8. PASAŻER NOSTROMO

Będziecie bać się kilka minut dłużej



Fot. SYRENA

REŻ. RIDLEY SCOTT,
USA 1979, Syrena,
premiera 14 listopada

Nieszczenie tego filmu polega, jak wiadomo, na tym, że dostał on mnóstwo nagród na ostatnim festiwalu w Gdyni – ze Złotymi Lwami włącznie – co nie spotkało się z aprobatą „środowiska”. Trudno będzie „Warszawie” pozbyć się tego balastu, ale spróbujemy spojrzeć na nią okiem nieuprzedzonym.

Ciekawy jest pomysł wyjściowy – jeden dzień z życia stolicy, po której blakają się przybysze z prowincji. Chłopiec sierota (Łukasz Garlicki) szuka pracy, ojciec (Sławomir Orzechowski) córki, rozszczęta kochanka (Dominika Ostalowska) dworca. Warszawa jawi się jako miasto zimne, niemal abstrakcyjne. Miasto-labirynt bez wyjścia. Kilka ujęć kamery Wojciecha Szepela dobrze tę osobliwość oddaje. Niestety, ramy pomysłu wypełniają – co tu dużo gadać – pierdoły. Wątki są banalne i nie prowadzą do kulminacji, bo trudno za takową uznać wypadek pożyczony z „Amores Perros”. Co gorsza, z drugiego planu wylaniają się postacie żałośnie stereotypowe, jak Niemiec „ty gruba świniol” albo nachalnie symboliczne – powstaniec-emeryt, który zapomniał, gdzie mieszka.

Dominika Ostalowska rolę kobiety wnerwionej gra z nerwem właśnie, dobrze wypada także Sławomir Orzechowski. Ale już młodzi aktorzy udają, zamiast być. Słowo „udawanie” pasuje zresztą do całego filmu, w którym zabrakło reżysera potrafiącego koncept przemieniać w prawdę.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

Kawał przyzwoitego kina psychologiczno-sensacyjnego. Trzej bawiący się na ulicy chłopcy – Jimmy, Sean i Dave – są uczestnikami traumatycznego zdarzenia: jeden z nich, Dave, zostaje porwany przez zboczeńców, którzy znęcają się nad nim wiele dni. Ta tragedia niszczy ich przyjaźń. Ponownie spotykają się po ćwierćwieczu w równie dramatycznych okolicznościach: córka Jimmy'ego (Sean Penn) zostaje zamordowana, Sean (Kevin Bacon) ma prowadzić śledztwo, a Dave (Tim Robbins) jest głównym podejrzanym. Żeby dojść do prawdy, trzeba będzie ponownie zanurzyć się w rzece tajemnic z przeszłości.

Warto ten mroczny film zobaczyć przede wszystkim ze względu na świetne role Seana Penna i Tima Robbinsa.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

Pierwsza część „Obcego” (1979 r.) Ridleya Scotta to w zasadzie typowy film klasy B. Jednak sposób, w jaki go zrobiono, obsada, scenografia i efekty sprawiły, że trafił do klasyki kina. Po raz pierwszy potwory z kosmosu nie wyglądały jak niedźwiedzie z Krupówek, a ich twórcę H.R. Giger naśladowano przez kolejne 25 lat.

„Obcy: wersja reżyserska” to trochę mylący tytuł – o ile na przykład do „Czasu Apokalipsy” dodano sporo długich, ważnych fragmentów, o tyle „Obcy...” wydłużył się tylko o kilka minut. Co więcej, brakujące sceny można już było zobaczyć na DVD, gdzie reżyser tłumaczył, że wyrzucił je, by nie zwalniały tempa kulminacyjnej sekwencji. Dotyczą one losów postaci granych przez Toma Skerritta i Harry D. Stanton (które w oryginalnej wersji po prostu zniknęły). To, co naprawdę ważne, to poprawiony cyfrowo obraz i ścieżka dźwiękowa – film we współczesnych kinach nie wygląda jak zabytek z minionej epoki. PIOTR STANISŁAWSKI

NATALIA – REAKTYWACJA



Nasza czołowa wokalistka pop **chce przemiany**, ale wciąż tkwi w szponach łowców ZAiKS-ów



NATALIA KUKULSKA „NATALIA KUKULSKA”, Universal

Dlaczego „łowcy ZAiKS-ów”? Bo w polskim show-biznesie żyje się nie z nagrań ani koncertów, ale z autorstwa piosenek, za których rozpowszechnianie pieniądze rozdziela ZAiKS, faktyczny monopolista na rynku. Dlaczego u Natalii? Dlatego, że jej nowa płyta (17 utworów) daje zarobić w sumie 11 kompozytorom i czterem autorom tekstów. Jeśli więc myślicie o rewolucji brzmienia – nie ma mowy. Każdy autor ciągnie w stronę stylu, który lubi, a płyta traci spójność. Najlepiej, gdy komponuje Piotr Siejka, a teksty pisze sama Natalia (której coraz lepiej idzie też pisanie muzyki). Poza tym bywa rockowo, soulowo, wreszcie hiphopowo, o czym prasa huczy zupełnie bez sensu, bo to wisienka na torcie, a sam tort lepiony na zasadzie bajaderki – dalej z tych samych składników. Tylko początek i koniec płyty dopisali producenci ze stajni hiphopowego Wielkiego Joła. Czemu nie mogli zrobić całości? Koledzy Natalii by się obrazili? Z tymi można zawsze wyjść na piwo. Muzykalna rodzina? Z tymi – wiadomo, najlepiej na zdjęciu. Etatowy tekściarz? Niech się obraża. Kiedy ktoś przemawia do mnie frazami typu: „Są między nami dotknięcia, w których spełnia się pierwszy sens bicia naszych serc”, to ja z kolei czuję się dotknięty. Są pozytywne. Natalia wydała jedną z najlepiej wyprodukowanych polskich płyt pop. Co więcej, to w ogóle najciekawsza płyta dorosłej Kukulskiej. Lecz tylko ona zrobiła ruch, żeby coś zmienić. A jak starałem się wyżej dowiedzieć – żeby zacząć rewolucję, nie wystarczy ściąć włosy. Parę głów też musi polecieć.

BARTEK CHACIŃSKI

DO KLUBU, ALE NIE TAŃCZ



BASEMENT JAXX „KISH KASH”, XL

Oto Basement Jaxx nieprzewidywalni jak cztery lata temu, gdy genialnym debiutem „Remedy” wywrócili do góry nogami klubowy świat. Wierni surowemu brzmieniu z pogranicza gatunków – od house’u, przez soul, funk, blues, na muzyce Wschodu czy jazgotliwym electro kończąc. Jak zawsze przebojowi i przesiąknięci multikulturową aurą rodzinnego Brixton. Ale – uwaga! – choć wciąż klubowo zorientowani, grają coraz mniej tanecznie. Wprawiają też w osłupienie dobozem zaproszonych gości. Legenda nowej fali Siouxsie Sioux, tegoroczny laureat Mercury Music Prize raper Dizzee Rascal, funkująca Me’shell Ndegeocello czy JC Chasez z boysbandu ‘N Sync – gdyby nie Basement Jaxx, te skrajnie różne postacie spotkałyby się chyba dopiero w niebie.

BARTEK WINCZEWSKI



Fot. RAFAŁ MASŁOW/WARNER

DO HEYA NIEPODOBNE

Nosowska: „Wieczność to tunel kończący się dupą”

Nosowska połączyła wreszcie **rockowe zacięcie** zespołu z elektronicznymi fascynacjami z solowych płyt

Kto 10 lat temu wychowywał się na „Fire” i „Ho!”, dziś, słuchając „Music, music”, nie pozna najpopularniejszego zespołu rockowego połowy lat 90. Tamten dawny Hey wypłynął u nas jako pierwszy importer stylistyki grunge – na najnowszym albumie tego nowego nie pozostało z niej w końcu ani śladu. Już nie wydziera, nie atakuje wściekłyymi riffami, muzyka snuje się raczej leniwie.

To prawda, Hey oddalał się od niej powoli, na ostatnich płytach włączając elementy to psychodelii, to reggae – „Music, music” jest jednak czymś więcej niż definitywnym pożegnaniem z nie-modnym już stylem. Po pierwsze – świadectwem trzymania ręki na pulsie gitarowej muzyki XXI wieku, a więc wpływów neogarażowego grania à la The Strokes, The Hives czy White Stripes. Po drugie – najprawdopodobniej zawróceniem Kasi Nosowskiej z równoległej ścieżki śpiewania piosenek do elektronicznych podkładów. Po trzech solowych płytach przestała tak wyraźnie oddzielać elektronikę i rocka. Tak

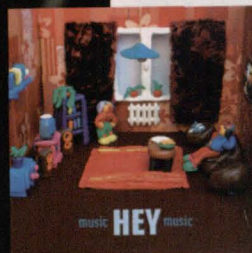
HEY „MUSIC, MUSIC”, Warner Music Polska

zwane nowe brzmienia nareszcie w bogacają Heyowego rocka!

Pojawiają się tu dwie piosenki kompletnie wytłumające się z dotychczasowego repertuaru Heya. „Mehehe” (wszystkie tytuły piosenek na płycie są na M) to ewidentnie muzyka klubowa, zaś senna „MorfeNa” mogłaby się znaleźć na ścieżce dźwiękowej do jakiegoś fińskiego filmu z przełomu lat 60. i 70.

„Music, music” wydaje się zarazem najbardziej pesymistyczną płytą nagrałą przez Nosowską. W tekstach z Panem Bogiem ma na bakier – „wieczność to tunel kończący się dupą” („Moogie”). Nie ma żadnej „mojej i twojej nadziei” – w „Miss Ouri” Nosowska woli śpiewać „życie wieńczy grób”. Na jedną w miarę pozytywną piosenkę miłosną „MorfeNa” przypada co najmniej pięć o wygaśnięciu miłości i braku wiary. Na szczęście forma nadaje tym tekstom nieco dystansu, zwłaszcza gdy adaptuje do swej liryki wyrażenia z dziedziny marketingu. W jej piosenkach zatem „czas wyrysował na skroniach tajne kody kreskowe” („Miss Ouri”), zaś „miłość to ściemniona oferta” („Manto”). „Music, music” to oferta mroczna, ciemna, ale na pewno nie „ściemniona”.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



ROZKOSZNY PALACZ



Kiedy popatrzyście na tego człowieka, możecie śmiało powiedzieć swojemu dziecku: „Synu, tak wygląda facet, który pali dużo jointów. Jak go słuchasz, zejdziesz na złą drogę i też tak będziesz wyglądał”. Bo producent muzyczny **GEORGE EVELYN** nie ukrywa swojej słabości do marihuany.

Nazwa jego projektu Nightmares On Wax oznacza tyle co Ujarane Koszmary, a najlepszy album z 1995 roku zatytułowany był „Smoker’s Delight”, czyli „Rozkosz palacza”. Na to jednak syn może śmiało odpowiedzieć: „Tato, George Evelyn od ponad 10 lat robi karierę. Tworzy muzykę odprężającą, osadzoną w czarnej tradycji. Nagrywa płyty, których i syn, i ojciec z przyjemnością wysłuchają”. I będzie miał rację – Evelyn to zasłużona postać nowej muzyki elektronicznej. I choć w Nightmares On Wax grywa niekoniecznie do tańca, przyszedł do Warszawy jako DJ EASE, by zagrać na urodzinowej imprezie tanecznego cyklu Import! – 15 listopada w klubie Piekarnia.

(BACH)

WRACA LODOŁAMACZ



Fot. BMG



THE STROKES „ROOM ON FIRE”, RCA/BMG

Dwa lata temu debiutancka płyta The Strokes „Is This It?” była lodolamaczem, który uwolnił całą falę neogarażowych kapel od Stanów (The White Stripes) po Anglię (The Libertines), Szwecję (The Hives) i Danię (The Raveonettes). Drugi album nowojorkczyków to znowu paroakordowe podkłady gitarowe będące tłem dla zdartego głosu Juliana Casablancasa wyśpiewującego dość konwencjonalne teksty. Ale choć pozornie „Room On Fire” brzmi jak kalka debiutu, wyrobione ucho odnajdzie nowe smaczki – jak wpływy reggae i ska w rytmice, no i przede wszystkim stylizowany na dawne nagrania Blondie akompaniament w singlowym „12:51”. Okręt flagowy nowej fali muzycznego regresu ma się dobrze.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



Fot. BE&W

JAZZOTRONIKA

Gdyby dziś żył Miles Davis, pewnie grałby coś takiego jak norweski trębacz **NILS PETTER MOLVAER**: jazz połączony z rytmem nowej elektroniki. To wybór wielu jazzmanów w tych czasach, ale nielicznym udaje się tak dobrze jak Norwegowi. 15 listopada Molvaer z zespołem gra w katowickim Górnośląskim Centrum Kultury. (bc)

HERMANN HESSE

KARTKI ZE WSPOMNIEN



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

PIW Państwowy Instytut Wydawniczy

Dział Handlowy

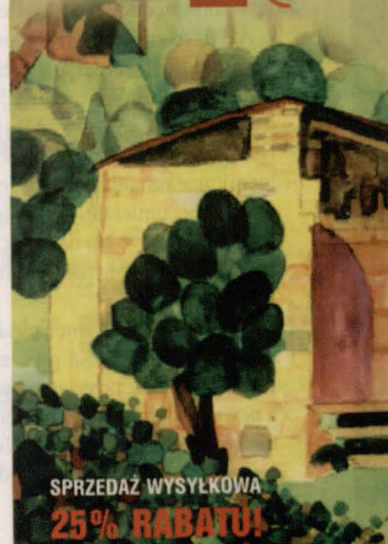
Al. Prymasa Tysiąclecia 83
01-242 Warszawa
tel. 632 67 01,
632 46 11 w. 226

Klub Dobrej Książki

Ul. Foksal 17
00-372 Warszawa
tel. 632 46 11 w. 291,
632 67 01
www.piw.pl
e-mail: piw@piw.pl

Autobiograficzne opowieści z różnych okresów życia Hermanna Hessego. Pierwsze pełne wydanie w języku polskim.

Patronat medialny: PRZE KROJ WERLIN.PL



SPRZEDAŻ WYSŁUKOWA 25% RABATU!

Koncerty

Hexstatix – 14.11 Katowice, Jazz Club Hipnoza • Def Leppard – 15.11 Katowice, Spodek, 16.11 Warszawa,

Torwar • Bob Sinclair – 15.11 Warszawa, Utopia • Huun-Huur-Tu (etno) – 15.11 Warszawa, Teatr Nowy, 16.11 Kraków, Centrum

Manggha, 18.11 Poznań, Teatr Muzyczny, 19.11 Lublin, Centrum Kultury • Frank Black and the Catholics – 16.11 Warszawa, Proxima

GRA NA DWA RADIA

Słynna feministka i genialny malarz. Dwie zajmujące historie, których jednak **Vargas Llosa** nie potrafił spleść ze sobą



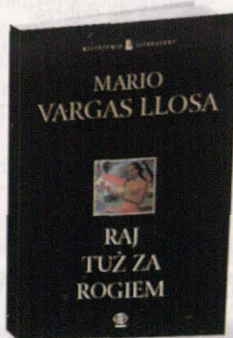
Wielki Mario Vargas Llosa próbuje sił w reportażu historycznym

Nasza ocena książki Vargasa Llosy zależy od tego, jaką przyłożymy do niej miarę. Jako powieść wypada średnio, jako reportaż historyczny – bardzo udanie. Niestety, wielki Peruwiańczyk jest raczej powieściopisarzem.

Pomysł na fabułę zwiastuje smakowite przeżycia. Oto Flora Tristán, przez feministki uznawana za jedną z matek chrześcijaństwa, wielką bojowniczką o prawa uciskanych – kobiet, a także robotników. Pół Peruwianka, pół Francuzka. Za młodu wydana za brutalnego despotę, gwałcona, pogardzana, prześladowana, wbrew własnej woli została matką trojga dzieci. Własna słabość i powszechna nędza ludzkiej kondycji popychają ją ku utopijnym ideom bliskim komunizmowi, po trosze anarchizmowi.

Ale to tylko jedna strona powieściowej tkanki. Drugą jest wnuk Flory, genialny malarz Paul Gauguin. On także poszukuje utopii. Przez całe lata wydaje mu się, że jest nią świat prymitywnych ludów Oceanii, pod koniec życia nabiera przekonania, że może jednak Japonia. Obydwoje umierają, nie osiągając swych utopii, swych rajów. Na dodatek próżno szukalibyśmy u któregoś z nich istotnej przemiany duchowej.

I tak jak dwie równoległe linie, jednocześnie prowadzone – rozdział po rozdziale – opowieści o babci i wnuku przeciąć się nie mogą. Nie tylko z powodu doczesnej niemożności (Flora umarła, nim narodził się Gauguin). Nie mogą, ponieważ niewiele w rzeczywistości te dwie historie łączą.



MARIO VARGAS LLOSA
„RAJ TUŻ ZA ROGIEM”,
PRZEL. DANUTA RYCERZ,
Rebis, Poznań 2003

Owszem, obydwie szukają raju. Owszem, dla obydwójga kluczowym pojęciem jest seks: dla Flory Tristán jest on narzędziem zniewolenia kobiet, dla Gauguina – esencją istnienia, przeniesieniem estetyki na grunt życia. Ale na tym związek się kończy. Posplatane losy bohaterów „Rozmowy w »Katedrze«” czy „Święta Kozła” przypominają precyzją kompozycji Bacha. Tu raczej powiedzielibyśmy, że grają naraz dwa radia.

Jeśli jednak przyjąć formułę reportażu historycznego, „Raj...” jest świetną historią XIX-wiecznych utopii z dwojgiem bohaterów. Wiedzy autorowi nie można odmówić. Czyta się sprawnie (zwłaszcza rozdziały o Gauguinie, choć do „Wiwisekcji” Patricka White’a trochę brakuje). Wzbudza szacunek. Ale nie zachwyca. Wielki Vargas Llosa jest chyba gdzieś za rogiem.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

BRIDGET UMARŁA? NIECH ŻYJE OLIVIA!



W Wielkiej Brytanii ogłoszono koniec Bridget Jones. Nadchodzi Olivia Jules, nowa bohaterka **HELEN FIELDING**. – Teraz chciałabym napisać powieść szpiegowską – obieściła autorka.

I rzeczywiście, przed świętami prawdopodobnie ukaże się książka „Olivia Jules and the Overactive Imagination”. – Olivia w niczym nie przypomina Bridget, jest dobrze zorganizowana i kompetentna we wszystkim. Nawet w uwodzeniu. Książka nie ma nic wspólnego z „Dziennikiem...”. Jedyne, co je łączy, to ostry dowcip, poczucie humoru charakterystyczne dla Fielding – mówił jeden ze szczęśliwców, którzy czytali pierwsze rozdziały. Superszpieg Olivia przypomina kobiecie wydanie Jamesa Bondy, może nieco bardziej komiczne. Podobnie jak agent 007 działa jak magnes na pleć przeciwną. W Wielkiej Brytanii trwają spekulacje dotyczące nowej powieści, podczas gdy sama Fielding, która jest w szóstym miesiącu ciąży, zaszła się w Los Angeles. Przyjaciele pisarki jednak zgodnie twierdzą, że wiadomości o śmierci Bridget są grubo przesadzone. Wcześniej czy później panna Jones powróci. (JS)

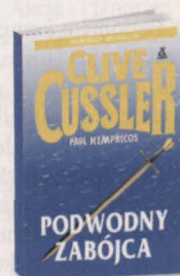
ATAK KRWIOŻERCZYCH ŁOSOSI

Ten odjechany zbiór nonsensów czyta się, jakby to mogła być prawda

Znowu stary, dobry Cussler. Jak zwykle bez niespodzianek, z tym samym, po stokroć sprawdzonym schematem fabularnym, po którym można by go poznać na końcu świata. Rzecz zawsze zaczyna się w jakiejś starożytności albo innym średniowieczu, potem szybko przeskakuje w okolice połowy wieku XX, by wreszcie przejść do właściwego czasu, czyli dzisiejszości. Oczywiście te dawne wydarzenia okazują się zmyślnie powiązane z ich obecnymi konsekwencjami. W finale, jak w każdym odcinku „McGyvera”, na sekundę przed wybuchem, zatopieniem, rozerwaniem, zatruciem (a wszystko na skalę globalną) dzielny pracownik Agencji Badań Morskich i Podwodnych NUMA wroga unicestwia, zapalnik rozbija i ludzkość od zagłady ratuje.

W najnowszym Cusslerze wrogiem ludzkości numer 1 jest... plemię złowrogich Eskimosów oraz ich szalony przywódca, który posiadał sztukę genetycznego przerabiania ryb morskich na krwiożercze potwory. W to wszystko wpłatał się jeszcze ekstremaści od obrony praw zwierząt i pewien starożytnego rodu tajemniczy Bask, który, o dziwo, nie jest ekstremistą i chce pokoju z Hiszpanami. Poza thrillerowym schematem i prymitywną stylizacją książki Cusslera mają jednak dziwną siłę rażenia. Czyta się je z poczuciem, że to kompletnie odjechany zbiór nonsensów, ale znowu z drugiej strony...

TADEUSZ NYCZEK



CLIVE CUSSLER
„PODWODNY ZABÓJCA”,
PRZEL. MACIEJ PINTARA,
Amber,
Warszawa 2003



OGNIU, KROCZ ZA MNĄ

Ten, kto poznał już „Kwiatniową czarownicę” (wydaną przed rokiem), wie, że **MAJGULL AXELSSON**, bestsellera szwedzka pisarka, nie opowiada bajek z happy endem. Choć potrafi bardzo sugestywnie oddać zewnętrzne, zmysłowe piękno świata, to służy jej ono przede wszystkim do uwypuklenia brzydoty wewnętrznej. Czyli ludzkiej. Tak się dzieje i w wypadku „Daleko od Niflheimu”, znakomitej książki, którą Szwedka dziewięć lat temu zadebiutowała.

Ani się obejrzycie, wylądujecie w piekle, czytając tę rewelacyjną powieść

Niflheim oznacza mityczną krainę ciszy, mrozu i mgieł otoczoną przez ściany splecione z żywych węży. To skandynawski odpowiednik piekła. Owo piekło nie funkcjonuje tu jako straszak dla grzeszników, lecz jest wszędzie. I w chłodnym, szwedzkim miasteczku, gdzie dorasta Cecylia, bohaterka powieści, i w krajach tropikalnych, dokąd próbuje uciec od koszmarnych wspomnień. W „Daleko od Niflheimu” jednocześnie śledzimy teraźniejszość (agonię matki Cecylii, pogrzeb, spotkania po latach), sceny z dojrzewania w Nässjö i relację ze niszczonej przez erupcję wulkanu Filipin. Wewnętrzne napięcie Cecylii udziela się czytelnikowi i już nie opada. Axelsson nie epatuje jednak złem, tylko stara się uczciwie, oddając bohaterom całą sprawiedliwość, pokazać przyczyny wejścia na drogę wiodącą prosto do Niflheimu. I jest w tym bardzo przekonująca – w niektórych przypadkach innej drogi, niestety, nie ma.

MARTA MIZURO



MAJGULL AXELSSON
„DALEKO OD NIFLHEIMU”,
PRZEL. HALINA THYLWE,
W.A.B.,
Warszawa 2003

RMF FM

Konkurs fotograficzny Canon



Zmniejsz dystans między wyobraźnią a obrazem

KONKURS DLA AMATORÓW

BLIŻEJ MARZEN

KONKURS DLA PROFESJONALISTÓW

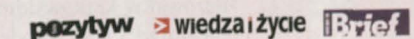
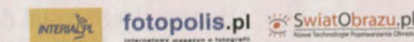
CODZIENNOŚĆ PRZEKRACZANIE GRANIC

Dla wszystkich miłośników fotografii Canon przygotował nowy, ogólnopolski konkurs fotograficzny. W konkursie mogą brać udział zarówno amatorzy, jak i zawodowcy. Nagrodami są wysokiej jakości aparaty cyfrowe oraz fotorealistyczne drukarki Canon.

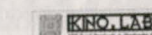
Konkurs trwa od września do końca listopada 2003 r.

Więcej informacji o konkursie szukaj na stronie www.konkurs.canon.pl

Patroni medialni:



Sponsorzy:



you can
Canon



Poziomem komplikacji intryga przypomina instrukcję obsługi baterijki R6

Fot. ROMAN JOCHER/AG

● FREESTYLE NA TEMAT PARTY LIFE'U

Teatr alternatywny kojarzy się z powagą, a nie z jajkami. Tymczasem alternatywna gdyńska Grupa Muflasz zrobiła spektakl, którego głównymi bohaterami są cukierki M&M's i tic-taki

Nigdy nie byłem bardziej zaskoczony niż wtedy, gdy zobaczyłem na festiwalu w Edynburgu tamtejszy studencki mainstream teatralny. Szekspir grany przez girsłaski trenujące szermierkę dwuręcznymi mieczami; skecze Monty Pythona przełożone na japoński; genitalne origami prezentowane przez nagich młodzieńców z antypodów... Zaskoczenie wzięło się z druzgocących różnic w ukształtowaniu podłoża kulturowego w Polsce i na Wyspach. Po prostu jajcarstwo było zawsze u nas oddzielone od poważnego teatru. Bo wiecie, tu Biuro Podróży z Poznania, tam „Potemowcy” z Zielonej Góry.

Pelzająca rewolucja

Polski teatr alternatywny od lat kojarzony był wyłącznie ze spektaklami poważnymi, biorącymi się za bary z Historią, Bogiem, Losem i Rzeczywistością. Która Skrzeszy. Minęło parę lat i dziś już bym się wrednym Anglosasom zaskoczyć nie dał. U nas też dokonuje się skromna, pelzająca rewolucja: teatr niezależny nie ma służyć wyłącznie do zbawiania świata, ale również do zabawiania widzów. Satyra jest przecież siostrą metafory.

Bodaj Rafał Kmita jako pierwszy przekroczył przed paru laty granicę: z tekściarza i reżysera kabaretowego został dramaturgiem i reżyserem teatralnym. Korzystając z obu tradycji, zagospodarował w krakowskim Teatrze STU lekceważoną dotąd część młodej publiczności – tę, dla której Beckett, Sarah Kane i Nikołaj Kolada kojarzą się co najwyżej z nazwami leków antydepresyjnych.

M&M kontra tic-tac

Członkowie Grupy Muflasz (Abelard Giza, Szymon Jachimiek i Wojtek Tremiszewski) idą w spektaklu „Atlantikon” podobną drogą. Robią na scenie coś, co jest jeszcze za biedne na teatr (zero myślenia o przestrzeni i świetle), ale już za długie jak na kabaret (sketch trwa niecałą godzinę).

Poziomem komplikacji intryga „Atlantikonu” przypomina instrukcję obsługi baterijki R6. Oto czekoladowy cukierek M&M wpada przypadkiem do pudełka z dwoma ostatnimi tic-tacami. I od razu dochodzi do konfliktu cywilizacji. Obły M&M ma gadkę jak blockers, freestyle'uje na temat party life'u, raperskie gesty towarzysząc przemyśleniom godnym członka rzeczywistego pokolenia Frugo. Słuchają tego z przerażeniem tic-tacowi harcerze, trochę mistycy, trochę gimnastycy wychowani w kulcie świeżości i szczupłej linii. Wiadomo – każdy to tylko dwie kalorie. Dalszy ciąg jest łatwy do przewidzenia: brązowy luzak i dwaj biali sztywniacy podejmą wspólnie udaną próbę uniknięcia kontaktu z ludzkim przewodem pokarmowym.

Żadnych Bardzo Ważnych Spraw!

Chłopaki przepadliby z kretesem na każdym teatralnym festiwalu debiutów, na kabaretowej krakowskiej PACE nie dostaliby się do konkursu. Jednak ani im, ani publiczności podobne defekty najwyraźniej nie przeszkadzają.

Czuć, że traktują teatr wyłącznie jako surrealistyczną grę, w którą bawią się po spożyciu trzech płynów energetyzujących z rzędu. Nie załatwiają żadnych Bardzo Ważnych Spraw, bo wychowali się przecież na podobnych „lekturach pokoleniowych” – telewizyjnych reklamach, filmie „Toy Story” i kreskówkach z Cartoon Network. Zadowolona ich parodystyczna kopia świata, natychmiastowe porozumienie językowe. Skoro mówisz jak my, nie możesz być obcy. I są w tym minimalizmie prawdziwi od niejednego afektowanego dwudziestolatka, który na debiut teatralny wybiera Dostojewskiego. Świat po spektaklu Grupy Muflasz nie staje się lepszy, reklamy mądrzejsze. Ale wiadomo przynajmniej, co dzieciakom z pokolenia Frugo „rozpuszcza się w ustach, a nie w dłoni”.

ŁUKASZ DREWNIAK



Chcesz zobaczyć i posłuchać jednego z najwybitniejszych dramaturgów i scenarzystów naszych czasów **TOMA STOPPARD**, autora między innymi „Rosencrantz i Guildenstern nie żyją”, „Imperium słońca”, „Enigmy”, „Zakochanego Szekspira”? Przyjdź 17 listopada o godz. 19.00 do warszawskiego Teatru Rozmaitości. Będzie czytana jego najnowsza sztuka „Artysta, który spadł ze schodów”. Po czytanej próbie spotkanie z autorem. Wstęp wolny.

BOMBA W WIEŻY CIŚNIEŃ

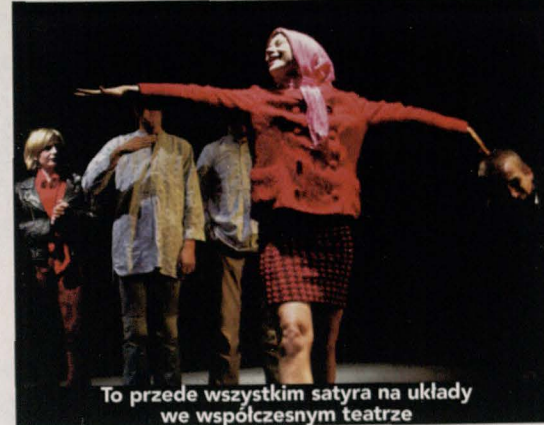
O wysadzeniu widzów, telefonie do Giedroycia i kochance sponsora

Siedzimy głowa przy głowie wokół niedużej scenki w XIX-wiecznej wieży ciśnień Na Grobli. Obok mnie rozpycha się i histerycznie śmieje ciemnowłosa dziewczyna w kusej spódniczce. Gasną światła. Nagle dzwoni komórka. – Kopaliński! Pronto! – odzywa się towarzysz mojej sąsiadki. – Nie teraz, jestem w teatrze!... Musiałem zapłacić... Wiem, że skandal, mówiłem bałwanowi...

Na widza (przy okazji na mnie) pada ostre światło latarki. – Proszę natychmiast wyłączyć telefon, spektakl się zaczął!

Niesmak na widowni. Ale za chwilę okazuje się, że tak wygląda początek najnowszej premiery Ad Spectatores. Akcja sztuki zbudowana jest na intrydze, którą uknuł Naczelnik Wydziału Kultury (kapitałny Bogusław Grzeszczak), posługując się biznesmenem i sponsorem teatru Apolinarym Kopalińskim (równie świetny Michał Opaliński). Otóż przy jego pomocy zaprosił na premierę ludzi, którzy

„MOJE DRAMA”,
TEKST I REŻYSERIA
MACIEJ MASZTAŁSKI,
GRUPA ARTYSTYCZNA
AD SPECTATORES
Z WROCŁAWIA



To przede wszystkim satyra na układy we współczesnym teatrze

Fot. ŁUKASZ GIZA/AG

najwięcej wnieśli do kultury. Wcześniej potajemnie kazał zaminować widownię. Na miejsce tych, co zginą w zamachu, Naczelnik ma już swoich – „nowych i zdolniejszych”...

„Moje drama” to satyra na układy towarzyskie i zawodowe we współczesnym teatrze. Pękamy ze śmiechu, widząc, jak ignorant Kopaliński (wciąż mu mało scen erotycznych) podczas awantury z artystami każe aktorowi dzwonić do Giedroycia, na co słyszy: – Panie prezesie, ale on nie żyje! W tle mizdrzy się i pokazuje majtki jedna z panienek prezesa – Matylda. Oglądamy kłótnie i rozporkowe afery marionetkowych postaci

wrocławskiej szkoły teatralnej. „Spectatorsi” grają od trzech lat i każdy ich spektakl jest niespodzianką. Nigdy nie wiadomo, jaką rolę w nim dostanie... widz. Widzowie płyną u nich statkiem przez Odrę-Acheron jako dusze wędrujące na Sąd Ostateczny („Rzecz o życiu”), pchają starego jeepa w sztuce Bojczewa „Pułkownik Ptak”, zaś w „Trupim synodzie” grają kardynałów przybyłych na konklawe, by wybrać nowego papieża. „Spectatorsi” wyprowadzają widza ze szklanej klatki i przypominają, że to on jest tu najważniejszy.

IZA MICHAŁEWICZ

KANDYDAT NIEMIEC DO
OSKARA 2004
NAJLEPSZY FILM
NIEANGLOJĘZYCZNY

NAGRODA
DLA NAJLEPSZEGO
FILMU EUROPEJSKIEGO
BERLIN 2003

GOOD BYE LENIN!

W KINACH OD 14 LISTOPADA

"Kapitałny pomysł miał Wolfgang Becker, reżyser oczekiwanej przez Niemców komedii "Good Bye, Lenin!" - zbadać, na czym polega nostalgia za komunizmem".
Tadeusz Sobolewski, Gazeta Wyborcza

"Ciepły, wciągający komediodramat".
Eddie Cockrell, Variety

Przyjdź 17 listopada o godz. 19.00 do warszawskiego Teatru Rozmaitości. Będzie czytana jego najnowsza sztuka „Artysta, który spadł ze schodów”. Po czytanej próbie spotkanie z autorem. Wstęp wolny.

**PAULINE I PAULETTE**

Komediodramat o trzech siostrach z małego belgijskiego miasteczka. Paulette prowadzi wzorowy zakład krawiecki i śpiewa w chórze. Kiedy Paulette opiekuje się klientkami w zakładzie, w domu Marta opiekuje się upośledzoną Pauline. Po niespodziewanej śmierci Marty na nią spada obowiązek zajęcia się siostrą. Paulette kompletnie nie jest na niego przygotowana, nie mówiąc o tym, że wcale nie ma na to ochoty...

REŻ. LIEVEN DEBRAUWER
HBO, 19.00

**ŚNIADANIE U TIFFANY'EGO**

Pełna wdzięku komedia romantyczna z 1961 roku z Audrey Hepburn. Jej bohaterka Holly przybywa do Nowego Jorku, by złowić tu milionera. Przed witryną sklepu jubilerskiego (tytułowy Tiffany) spotyka przystojnego mężczyznę, wydającego się spełniać wszystkie jej oczekiwania. Film zapada w pamięć dzięki roli Hepburn, charakterystycznym kostiumom zaprojektowanym przez Givenchy'ego i piosence „Moon River”, która stała się przebojem. I pomyśleć, że pierwszą rzeczą, jakiej zażądał producent, oglądając materiały, było „wywalenie tej głupiej piosenki”.

REŻ. BLAKE EDWARDS
TVP1, 12.40

**JEŹDZIEC BEZ GŁOWY**

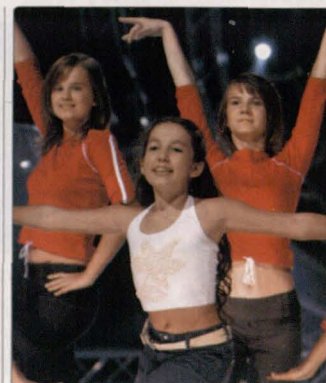
Horror, trzecia już ekranizacja powieści Washingtona Irvinga. Burton opowiada o niezwykle śledztwie w miasteczku Sleepy Hollow, którego mieszkańcy znajdują bezgłowe ciała ludzi mordowanych przez... No właśnie – przez kogo? Detektyw Crane (Johnny Depp) nie sądzi, żeby chodziło o mściwą zjawę – jedyny duch, w jakiego wierzy, to duch racjonalizmu. Dla Tima Burtona jak zwykle najważniejszy jest nastrój. I wyczarowuje go za pomocą mgieł, światła, kostiumów, fantastycznej scenografii i świetnie dobranej obsady (Depp, Christina Ricci, Christopher Walken i Christopher Lee). Bez dwóch zdań – ma człowiek głowę na karku!

REŻ. TIM BURTON
TVN, 22.50

**AGATA**

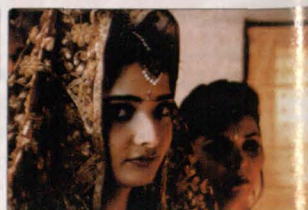
Dramat opowiadający o tajemniczym zniknięciu słynnej autorki kryminałów Agathy Christie. Pisarka przepadła nagle w 1926 roku, znalazła się po 11 dniach, twierdząc, że zapadła na amnezję. Nikt rzecz jasna nie chciał w to wierzyć... Apted wymyślił własną wersję zniknięcia pisarki (gra ją Vanessa Redgrave): Agatha, nakrywając męża z kochanką, ucieka i zaszywa się w hotelu w Yorkshire. Motyw konfliktu z mężem jest wielce prawdopodobny – po dwóch latach od tajemniczych wydarzeń Christie rozwiodła się z nim i wkrótce poślubiła archeologa Maksa Mallowana. – Kobieta powinna wyjść za archeologa – mawiała. – Bo im jest starsza, tym bardziej go fascynuje.

REŻ. MICHAEL APTEID
TVP2, 11.50

**I KONKURS EUROWIZJI DLA DZIECI**

Swoje dziecięce „klony” mają rozmaite imprezy stworzone pierwotnie z myślą o dorosłych – teraz przyszła kolej na Eurovizję. Pierwsza edycja konkursu odbywa się w Kopenhadze i bierze w niej udział 16 dzieci z różnych krajów, każde wykonuje piosenkę, do której samo skomponowało muzykę i napisało tekst. Reprezentantką Polski jest 12-letnia Kasia Żurawik wyłoniona w krajowych eliminacjach. W Kopenhadze zaśpiewa „Coś mnie nosi”...

TVP2, 20.00

**MONSUNOWE WESELE**

Fantastyczny obyczajowy portret współczesnych Indii targanych konfliktem między tradycją a wymogami XXI wieku. Po lewej owej walki jest wesele, do którego przygotowuje się zamożna, „nowoczesna” rodzina z New Delhi, a na którą ściągają kuzyni z całego świata. Zgodnie z tradycją panna młoda nie zna swojego przyszłego męża, a że żyjemy w XXI wieku, z nim zgodnie z wolą rodziny za niego wyjdzie, musi przerwać romans z żonatym mężczyzną...

Choć momentami film dotyka spraw bardzo bolesnych, oglądanie go to najczystsza przyjemność – „Monsunowe wesele” aż kipi kolorami i pulsuje fantastyczną muzyką. Po projekcji popędźcie do sklepu po płytę z soundtrackiem. Przyda się na niejednym weselu!

REŻ. MIRA NAIR
CANAL+, 20.00

Zagap się!

od 13 listopada do 19 listopada

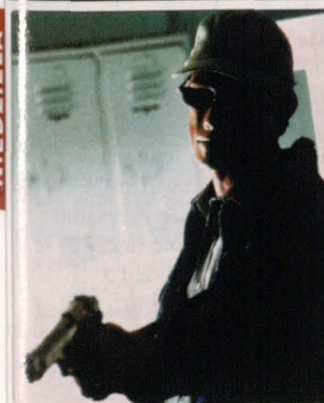
**PAMIĘĆ ABSOLUTNA**

Science fiction, ekranizacja opowiadania Philipa Dicka.

Historia rozgrywa się u schyłku XXI wieku, a bohater filmu, Quaid (Arnold Schwarzenegger), walczy o odzyskanie tożsamości i pamięci poddanej niegdyś praniu mózgu. Nie jest to jednak kino filozofujące o człowieczeństwie w erze komputerów, tylko porządna dawka akcji, przemocy i efektów specjalnych (nagrodzonych zaszta Oscarem).

Zanim w 1990 roku doszło do realizacji „Pamięci absolutnej”, powstało około 40 wersji scenariusza. Autorem kilku z nich był sam David Cronenberg, który pierwotnie miał film reżyserować. Długo trwały również poszukiwania odtwórcy głównej roli – zanim producenci zdecydowali się na Arnolda, brali pod uwagę Jeffa Bridgesa, Patricka Swayze i Richarda Dreyfussa.

REŻ. PAUL VERHOEVEN
POLSAT, 22.35

**MASKA DIABŁA**

Horror. Pewnie każdy, kto widział kiedyś legendarną „Noc żywych trupów”, zastanawiał się, „co ten Romero jeszcze zrobił?”. Jest okazja, żeby się przekonać: „Maska

diabła” to ostatni (z 2001 roku) film mistrza. Jego bohaterem jest znerwicowany projektant mody, którego głowę wypełnia krwawe fantazje – lista osób, które miałby ochotę zabić, jest naprawdę długa. Pewnego dnia mężczyzna, budząc się, odkrywa, że zamiast twarzy ma gładką maskę bez tożsamości i charakteru – taką jak maski. Domyslać się już, co dalej?

REŻ. GEORGE A. ROMERO
TV4, 22.30

**PASOŻYTY**

Debiut w Teatrze Telewizji Marcina Wróblewskiego, którego etiuda „Człowiek magnes” zdobyła nagrody na międzynarodowych festiwalach. „Pasożyta” nie tylko wyreżyserował, lecz także napisał do spółki z Grażyną Trelą, do niedawna aktorką i piosenkarką, dziś autorką niezłych scenariuszy i dramatów.

Jest to dość ponura historia o rodzinie złożonej z matki i dwójki dzieci, „chorej” na brak miłości i komunikacji. Podczas spisu powszechnego Piotr (Krzysztof Ogłóza) odnajduje w szpitalu psychiatrycznym człowieka, który podaje się za jego ojca (mężczyzna zaginął, kiedy chłopak miał dwa lata). Uszczęśliwiony zabiera go do domu. „Ojciec”, który najpierw stara się wkuć w łaski rodziny, niepostrzeżenie zamienia się w tyrana, narzucając domownikom swoją wolę. Piotr, jego siostra i matka nie potrafią obronić się przed jego agresją.

Bardzo mocna sztuka pokazująca kawał wciąż starannie skrywanej prawdy o naszych rodzinach.

REŻ. MARCIN WRÓBLEWSKI
TVP2, 22.40

**MUZYKANCY, KOSTKA CUKRU**

Dwa dokumenty, których nie można nie znać i nie widzieć. Pierwszy z nich (z 1960 roku) służy dziś w szkołach filmowych za wzór dokumentu idealnego. Choć przez niewiele ponad dziewięć minut Karabaszk pokazuje „tylko” próbę orkiestry dętej tramwajarzy, w jego filmie zapisał się kawał prawdziwego życia. Z kolei „Kostka cukru” nie udaje zwykłej rejestracji. Opowiadający o Wielkiej Pardubickiej dokument niemal szantażuje nas zatrzymanymi kadrami i zwolnieniami, na których oglądamy prawdę o wyciskach: cierpienie koni łamiących nogi o przeszkody, ich zmęczenie, strach i... łzy. Tak, bo konie płaczą.

REŻ. KAZIMIERZ KARABASZ, JACEK BŁAWUT
TVP2, 17.25

**KOCHAM KINO**

Specjalne wydanie magazynu filmowego „Kocham kino”, do którego zaproszono samych specjalnych gości. Oto powód: w Polsce niemal w tym samym czasie ukazują się dwa szalenie ważne (i też specjalne) wydawnictwa DVD – kolekcja filmów Charliego Chaplina i „Dekalog” Krzysztofa Kieślowskiego. Na rozmowę o tym pierwszym udało się „Kocham kino” namówić między innymi córkę Charliego Geraldine Chaplin, zaś Kieślowskiego wspominać będą Krzysztof Piesiewicz, Sławomir Idziak i Artur Barciś. Program prowadzi oczywiście Grażyna Torbicka.

TVP2, 19.30

**TYLKO RAZEM**

Obyczajowy. Z charakterystyczną dla siebie ironią Moodysson portretuje środowisko szwedzkich hipisów żyjących w komunie na przedmieściach Sztokholmu w latach 70. Wspólna kasa, wegetariańska kuchnia, seksualna wymiana, pełna akceptacja dla odmiennych preferencji erotycznych, lewackie poglądy. Może daloby się przymknąć oko na tę mieszkankę szlachetnych idei i zwykłej niedojrzałości, gdyby nie dzieci. W tym świecie to jedyne przytomne istoty, instynktownie dążące do spokoju i stabilizacji, które onegdaj porzucili otaczający ich dorośli. Z ich perspektywy to rodzice się bawią, i to wyjątkowo niemądze – Moodysson wie, co mówi, w końcu sam był takim dzieckiem.

REŻ. LUKAS MOODYSSON
CANAL+, 21.00

**BLUES BROTHERS**

Komedia zawdzięczająca swój sukces przede wszystkim Dany'emu Aykroydowi i Johnowi Belushiemu, odtwórcom ról Ellwooda i Jake'a, „braci blues”, którzy starają się zdobyć pięć tysięcy dolarów na ratowanie sierocińca. Przy okazji mają mnóstwo szalonych przygód, biorą udział w rozlicznych demolkach i pościgach. „Blues Brothers” to raj dla łowców filmowych smaczków: w drobnych epizodach można tu wypatrzyć Stevena Spielberga, Franka Oza i samego Johna Landisa. No i usłyszeć Jamesa Browna, Raya Charlesa i Arethę Franklin.

REŻ. JOHN LANDIS
TV4, 00.40

Najlepsze kanały telewizyjne za najniższą cenę

Antena satelitarna gratis!

Zadzwoń i zamów Cyfrowy Polsat a hity kina, sportu, muzyki oraz modę, naukę, podróże i informacje będziesz mieć za grosze.

infolinia: (22) 466-66-66

www.cyfrowypolsat.pl

* Promocja ważna do 31 stycznia 2004

CYFROWY
POLSAT
Świat Najlepszych Telewizji



PROMOCJA
Abonament
19.90 zł*



Dziennik z krainy

PAZŁOTKA

DOROTA MASŁOWSKA

Listopad
(tym razem nie)

FOT. BOGDAN KRZEL

Szanowna pani, czy liberalizm to jedyny kierunek słusznej drogi, czy katastrofa globalizmu? Czy nie sądzisz, że instytucja małżeństwa to dla twego pokolenia forma przestarzała? Mam wrażenie, że umiłowała sobie pani turpistyczne podniety. Czy może nie warto byłoby tam wpuścić trochę słońca. Czy wszystko musi być zaraz okraszane brudem, śliną i wszystkiego rodzaju defekantami. Ja wiem, że aura nie sprzyja, ale pani wydaje się taka nieszczęśliwa. Czy pani rzeczywiście jest taka nieszczęśliwa?

Kochani czytelnicy zadają kluczowe pytania w swoich listach. Szanowna pani jedzie potem rano autobusem z Żoliborza na Powiśle. W odwrotną stronę niż wszyscy. Myśli jak kryształki cukru rozpuszczają jej się w kaku. Wszystko jest słodkie i miękkie jak puszek. Chciałaby wszystkim odpisać, chciałaby wszystkim wysłać nitki ze swojego ubrania i odciski ust i oczu. Myśli, że dalsze oszukiwanie o tych grobach i nieustannej grawitacji, o tej powszechnej śmierteczności, lękach i rozpaczach, że to dłużej nie przejdzie. Szanowna pani nie czuje się ani trochę nieszczęśliwa. Chociaż bardzo się stara, patrzy wszędzie, czy okoliczna koparka bebesząca ulicę z wdziękiem jednorękiego bandyty nie wylosuje z ziemi jakichś pożydowskich kości. Szanowna pani uważa swoje niezadowolenie ze świata za swoją kluczową cechę charakteru. Bez niezadowolenia cały charakter na nic. Uważa grawitację w kierunku ziemi za główną powodującą nią w życiu siłę. Szuka kurczowo wzrokiem jakiejś chociażby nieznacznej patologii, chociaż jakiegoś małego przejawu rozpadu, puszczających do niej oczka rajstop współpasażerki. Idiotyczne słońce wpuszcza się szanownej pani samo. Bezszelestne i beczelne jak kot. Szanowna pani próbuje sobie przypomnieć coś smutnego, chociaż jedna iza.

Tak, była na cmentarzu. Nawet tam nie potrafiła skutecznie rozwinąć tematu śmierci i smutku. Wszędzie ta wata cukrowa i szanowny pan kupił jej pańską skórę, słodki nagniotek z boskiej stopy, żeby sobie czymś zajęła język. Wszędzie to igrzyska w zniczach, kto ma lepsze i bardziej się palące. To chociaż, żeby było bardziej schyłkowo, rozbolał ją brzuch i mogła utykać, wymieniać wszystkie brzydkie słowa, jakie zna, zraszać ciemną, pełną ukrytej śmierci ziemię łzami i powtarzać hipnotycznie: jakbyś widział jakiś wolny grób, to ja się bardzo chętnie położę. Ale on jej nie wierzył, uważał, że tak żartuje, i nie było żadnej satysfakcji.

Szanowna pani otwiera drzwi. Czuje niepokój. Skąd ma wziąć te jakieś metafory, te środki artystyczne. Któryś tam listopad, a ona jeszcze w ogóle nie myślała, żeby jakoś umrzeć. Wręcz przeciwnie. Siedem płyt Radiohead na nic. Sonic Youth na nic, Rapture na nic, Blonde Redhead na nic. Może szanowny kot chociaż się zaplątał w firany – myśli sobie pani. Szanowny kot, Śmieciara, żyje, ma się bardzo dobrze, biega sobie jak puchaty konik. Przynajmniej on docenia ożywczą siłę zniszczenia. Pokrył wszystko kropelkami swojego jaśniemoczku i jest bardzo zadowolony. Jeździ sobie na koniu na biegunach, co to za piramida zwierząt, która żyje i się rusza. Odgryzł koniowi ogon i włóczy go za sobą po domu jak zwłoki poległych. Szanowna pani też by sobie coś chętnie powłóczyła. Przynajmniej widok z okna ma na ścianę i śmietnik. Przynajmniej to. Coś się zawsze znajdzie, szanowna pani obiecuje kochanym czytelnikom, że ich tak z tym imbecylnym zadowoleniem z życia nie zostawi, że następnym razem znajdzie coś szczególnie ponurego do samookaleczenia, tym razem jednak nie. ■

www.przekroj.pl/maslowska

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Normalnie

Zgodnie z **normą**. Zachowuję się **normalnie**, kiedy moje zachowanie nikogo nie dziwi, kiedy jest po prostu **normalne**. Taka **norma**, i już. Często „**normalnie**” znaczy, że ani dobrze, ani źle. Jak leci? **Normalnie**.

A może to być czyjaś własna **norma**, na przykład moja. Taki już jestem, inny trochę. **Normalnie** tak się zachowuję. Może to Cię dziwić, ale **normalnie** tak właśnie postępuję, to właśnie robię, i tyle. I bywa, że robię coś nietypowego, odległego od moich własnych zwyczajów. Mogę wtedy powiedzieć, że **normalnie** jestem zupełnie inny. Nie wiem, co mi się stało. W zwykłych okolicznościach pewnie zachowałbym się **normalnie**, jak na siebie oczywiście, albo i w ogóle **normalnie**, ale...

To **normalnie** może dziwić. Znam Cię, **normalnie** nigdy się nie dziwisz, a tu akurat coś Cię zdziwiło. Dziwne (choć przecież dziwniejsze jest uznanie za **normalne** konsekwentnego braku zdziwienia). Mówisz, że to on zrobił? Niemożliwe! Musiało się coś wydarzyć specjalnego, bo tak **normalnie** to nie przysłoby mu to do głowy.

A bywa, że „**normalnie**” pokazuje kompletne zaskoczenie. Kiedy mnie rozumiesz **normalnie**, to w porządku, **normalnie**. Ale czasem Ty mnie **normalnie** nie rozumiesz! I nie chodzi tu o to, że mnie rozumiesz **nienormalnie**, tylko że w ogóle **normalnie** nie! A potem jeszcze masz mi **normalnie** za złe! To już **normalnie** przesada! I takie „**normalnie**”, proszę ja Ciebie, może, wyobraź sobie, znaczyć **normalnie** tyle co „**nienormalnie**”! **Normalnie** może, i już. Trudno uznać to za **normalne**.

www.przekroj.pl/bralczyk

TOPOR



JOLKA nr 46

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

L4 - K8 / M9 - K3 - B8 - G8 - B1 / A10 - M13 - I5 - J8 - G9 / G12 - D13 - G5 - A3 - M12 / C3 - I3
- L2 - M11 - J11 - F13 / L8 - H9 - G3 - B12 - I7 - C2 / H4 - B3 - A5 - F11 - D9 / I2 - E4 - D6 - L4
- E1 - H12 / L5 - F10 - K6 - E12 / I13 / C1 - I11 - M2 - J2 - E8 - A12 / I9 - L10 - A1 - L6 - B13 - C5



ROZWIĄZANIE JOLKI NR 43: W ŚWIECIE MUŁÓW NIE MA REGUŁÓW (Ogden Nash w tłum. Stanisława Barańczaka).

Rzędami: próg, krzyżówka, owacja, antonówka, natka, kreml, deska, rano, wlot, karo, sari, ukrop, antyk, losię, kidnaping, hangar, wypukłość, znak.

Kolumnami: kolchoz, trenerka, Rusinka, mroki, dżungla, rękaw, irys, wodospad, skok, awans, rabatka, Akwin, recital, omyślność, gwarant.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 41 nagrody wylosowali: Alicja Dziekońska, Warszawa; Anna Krajewska, Słupsk; Ireneusz Marczewski, Kielce; Maria Osińska, Koszalin; Agnieszka Żukiewicz, Pyrzyce. Gratulujemy!

WYRAZY

8-LITEROWE:

- wiesz, choć hydraulic
- już w drodze
- o bar dba
- tam nawet rejkiawiczki noszą
- rękawiczki
- czasu – bez gorejącej czapki
- żerujący kolorado
- trud na rzecz zgód
- Mamonie świeczkę, a muzom ogarek
- przybytek pompek
- od bliskiej osoby miłszy niż firmowy
- szef drzew
- poszczekała w Wostoku

WYRAZY

7-LITEROWE:

- najniżej w orkiestrze
- grafika z tryliona
- spieszczony stukopiejkowiec
- smyk, smyk, smyk, smyk

WYRAZY

6-LITEROWE:

- w kurii na arcy- czeka
- wściekłyzniany dodatek do wody
- wilk owieczką zaspoko
- dziś żadna pani nie zamówiłaby u niego portretu

WYRAZY

5-LITEROWE:

- Amerykańskie towarzystwa
- kierunkowskaz Cezara
- działka znakarza
- z grotem na smoka
- wyżej niż lampki i bombki
- Szkoci jej „hello”, a ona im „beee!”
- mielczanka na niebie
- ośli mebel
- spinning prerii
- izolotka miodu

WYRAZY

4-LITEROWE:

- i szukaj go teraz w lesie!
- a literacki kopnie?

PRZEKROJ

Założony
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P. 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:

Piotr Najstut

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elzbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:

Marcin Baran, Magda Gedziorska,

Maria Świątek (zastępca)

ASYSTENTKA:

Anna Romotowska

KULTURA:

Bartek Chaciński (szef), Marceł Andino Velez,

Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek,

Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz,

Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

KRAJ:

Magda Papużńska (szef), Joanna Gorzelińska,

Dorota Sajnog, Max Suski, Michał Wójcik

ŚWIAT:

Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Kobodziński,

Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

PRZEGLĄD ZDARZEŃ:

Paweł Wleczorek

NAUKA:

Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:

Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlawski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,

Małgorzata Łaska, Agata Loth,

Maciej Moruś, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:

Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:

Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica, Marcin Kędryna,

Bogdan Krzela (fotograf), Olga Piłśniak, Marek Szczepański

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej,

Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

PRZYGOTOWALNIA:

Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

SEKRETARIAT:

Iwona Chmielewska

EDIPRESSE

POLSKA

WYDAWCA: POLSKA S.A.

UL. WIEJSKA 12A, V P. 00-480 WARSZAWA,

TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,

FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierala

WICEPREZES:

Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. RELACJI Z WYDAWCA:

Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:

Krystyna Zowczak-Jastrzębska, Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:

Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Adriana Olczak, Marta Sztanka

BIURO REKLAMY:

Aleksandra Trojnar – dyrektor,

Anna Orłowska – zastępca dyrektora,

Artur Dudek, Jagna Federowicz,

Maciej Grelak, Bartek Kluczyński, Anna Maślińska

ul. Wiejska 12a, V P. 00-490 Warszawa,

tel. (0-prefiks-22) 5842-295, -297, -311, -584, -594

faks (0-prefiks-22) 584 22 98

Druk:

WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIŃ

PAPIER: OKŁADKA – NOVAPRESS 90 G,

PRODUKT – STORA ENSO

SRODEK – GALERIE ONE 65 G,

PRODUKT – M-REAL

PRENUMERATA: U. WYDAWCY

Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska

TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30

FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32

PRENUMERATA@EDIPRESSE.PL

PRZEPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE

NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEPŁATY

INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,

FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE

WWW.EXPORTIM.COM

FAXS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYM NIE ZWRACAMY.

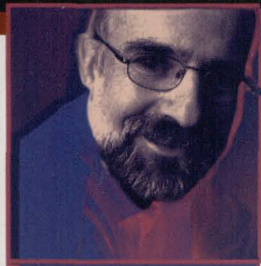
REDAKCJA ZASTĘPCA SOBIE PRAWO DO ZMIAN

I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.





BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Skarb w Orlim Gnieździe

Nigdy w nowożytnych dziejach Francuzi nie jedli ponoć tak źle jak podczas ostatniej wojny światowej, ale też nigdy tak dobrze nie pili. Przynajmniej niektórzy. Właściciel kilku bordoskich châteaux zwykł otwierać dla siebie dzień w dzień jakąś wielką butelkę, mówiąc, że Niemcom w wypadku ich zwycięstwa pozostanie jedna mniej do wypicia, a w wypadku ich klęski, jedna mniej do wypicia pozostanie jego spadkobiercom. Złośliwe języki twierdzą, że była to jedyna forma oporu wobec okupanta. Nie należy przesadzać, zdarzały się inne akty odwagi.

Na przykład do butelek rekwirowanych lub kupowanych przez Niemców wlewano czasem najgorsze zlewki, przyklejając dla niepoznaki etykiety słynnych posiadłości; znany jest fakt wysłania marszałkowi Göringowi butelek sikacza z nalepką słynnego Château Mouton-Rotschild – za zgodą, dodajmy, niemieckiego zarządcy bordoskich posiadłości, który bardziej szanował wino niż swych przełożonych. Albo (jak opisują Don i Petie Kladstrup w książce „Wine and War”) zamuroywano wielkie wina w piwnicznych czełściach, a ściany pokrywano pajęczyną.

Tak uczynili choćby właściciele najsłynniejszej paryskiej restauracji La Tour d'Argent, której podziemia skrywały prawdziwe winiarskie skarby, w tym 20 tysięcy butelek z legendarnego rocznika 1867; to je właśnie ukryto w przeddzień wkroczenia Niemców do Paryża. Właściciele mieli nosa. Specjalny wysłannik marszałka Göringa natychmiast skierował swe kroki do restauracyjnych piwnic i natychmiast zapytał się o rocznik 1867. „Wypili, Herr Obersturnbanführer – usłyszał – rodacy wszystko nam wypili przed wojną”. Göringowi pozostało obejść się

smakiem i zarekwirować pozostałych 80 tysięcy butelek.

Trzeba powiedzieć, że niemieccy führerzy byli doskonałymi snobami i świetnie wiedzieli, jakich to konfiter szukać w zdobyczym kraju. Göring uwielbiał wielkie bordeaux. Goebbels kierował swe nieposłednie apetyty ku rzadkim burgundom, Ribbentrop ukochał szampany. Adolf Hitler lubił, jak wiadomo, mleko, alkoholu nie brał do ust. Co nie przeszkadzało mu uczynić ze swej górskiej siedziby, Orlego Gniazda, największej piwnicy świata. Zebrano w niej pół miliona butelek, w tym wiele białych kruków, jak choćby całe skrzynki rzadkiego szampana Salon 1928 uznawanego jeszcze dzisiaj za największego w dziejach. Do annałów (zbrodni? gastronomii?) przeszły całonocne

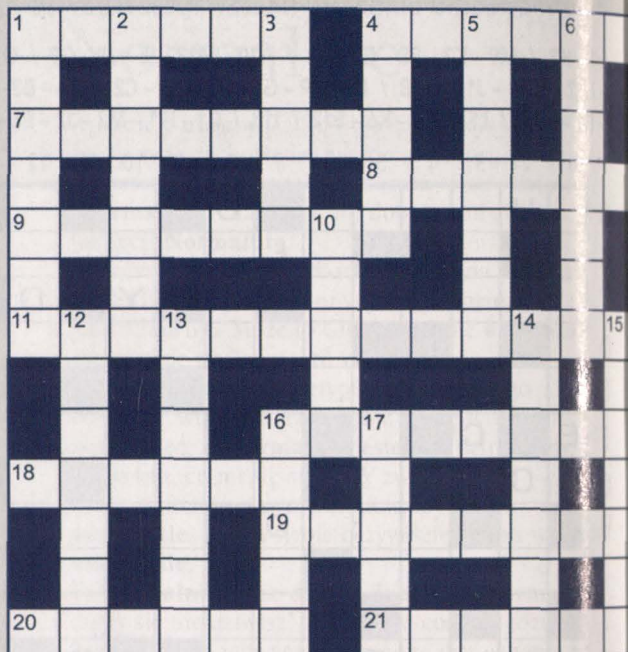


*Langwedockie Fontenille
x Domaine du Petit Roubié
2001. 21 złotych
w sieci Carrefour.
rozsadna cena
za nieśladą jakość*

Leclerc puścił bokiem mały oddział, który pod nosem Amerykanów jako pierwszy dotarł na szczyt. Gdy wysadzono drzwi do piwnicy, sierżant Bernard de Nonacourt, syn winiarza, wysłany do przodu jako znawca wina, przełknął trzykrotnie ślinę, zanim wydobyl z siebie głos. Nie wiadomo dokładnie, co powiedział, czy: „Niech mnie kule biją!”, „No niech mnie szlag trafi!”, czy też: „Jasny gwint!”, idę o zakład, że po francusku i tak brzmiało to: „Oh, merde!”. Zresztą nie widoku 500 tysięcy butelek warto zazdrościć sierżantowi, lecz samego zdumienia. Wiele bym dał, by móc się kiedyś w życiu tak zdziwić. ■

www.przekroj.pl/bienczyk

KRZYŻÓWKA nr 46



POZIOMO:

- SUMIACZ
- JEDNA BABA DRUGIEJ BABIE
- PAPIER PO POSIEDZENIU
- MAŁY KWITOLD
- NACZYNI DO NICZEGO
- ZAMIARY-ZATOR KOMUNIKACYJNY
- MIESZKA ZA WODĄ

18. PRZEDZIAŁEK

- POLNY
- ZAMYKA PRZEWÓD
- ZAGRANIE KWINTY
- ZDRYLOWANY ROBAL

PIONOWO:

- CHODZI PO LUDZIACH
- CAŁY DZIEŃ NA NOGACH
- NIE WOLNO SZYBKO!
- KIJOWA ALTERNATYWA

5. WSZECHUS

- DO KOLEJKI NA KASPROWY
- POLITYCZNY STRACH NA WRÓBLE
- STAN JONES
- KIJ, CO MA TRZY KONCE
- ZJAZD NA FOTELAC
- ZA WINKIEM
- Z TYŁU PRZODKA
- JAWNY PODKOP

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 43

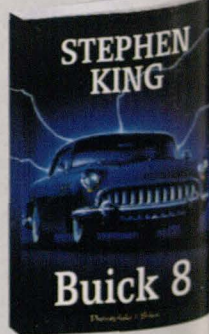
Poziomo: 2. poligamista
7. autobus 9. intryga 10. stoisko
11. atrapa 14. bistro 18. agrafka
19. nonsens 20. tulipan
21. piaskownica

Pionowo: 1. transparent
3. okowita 4. gąsior 5. martini
6. sztylet 7. jadłodajnia
12. różnica 13. przetak
15. szaniec 17. zastaw

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 41 nagrody wylosowali: Janusz Chodniewicz, Warszawa; Danuta Gumińska, Brodnica; Karin Haftka, Gdańsk; Anna Hummel, Warszawa; Danuta Sozańska, Zabrze. Gratulujemy!

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 23 listopada (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Stephena Kinga „Buick 8” (Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 46 lub Krzyżówka 46.



PIÓRO

POLSKI

Weganin w podróży

Miałem trudną przyjemność gościć przez tydzień weganina, czyli takiego jarosza, który nie używa produktów zwierzęcych. Na przykład mleka, sera, jogurtu czy jaj. Lecz weganin w podróży nie może być tak purystyczny jak na własnym, sojowym gospodarstwie – od czasu do czasu musi pogodzić się z odrobiną sera lub jogurtu w sosie. Raz nawet, przyparty do muru, poddał się jajku, co zapewne dobrze wpłynęło na poziom cholesterolu w jego krwi, niekiedy tak niski u weganów, że zagrażający stabilności połączeń nerwowych w mózgu. To nie żart – weganin o tym wie.

Korzystając z tej wiedzy oraz tego, że mój weganin był w podróży, przygotowałem kilka dań z minimalnym udziałem sera i śmietany, dwa z których chciałbym Państwu polecić jako smaczne. Sałatka z buraków, koziego sera, różnych liści i pomarańczowego sosu winegret jest adaptacją dania, które tego lata jadłem w bardzo dobrej restauracji w Obornikach Wielkopolskich.

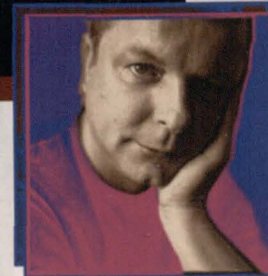
Bierzemy po dwa małe buraki na osobę (względnie po jednym dużym), gotujemy je lub pieczemy, a kiedy ostygną – obieramy i trzymamy w pogotowiu. Jeśli pozostałe składniki są już gotowe, wystarczy buraki pokroić w plastry centymetrowe lub troszkę grubsze i ułożyć na talerzach. Jeżeli ugotowaliśmy je zawczasu, należy podgrzać je, w plastrach, na parze przez dwie minuty. Poza burakami potrzebne nam będą sałaty różne – wewnętrzne liście masłanej, karbowana zielona, dębowa czerwona, rosłonka, lodowa.

Niekoniecznie wszystkie, ale miło jest mieć choćby dwa rodzaje sałaty w tym daniu. Liście polewamy sosem zrobionym z octu winnego, dziewięcej oliwy, soli, pieprzu i otartej skórki pomarańczy. Jedna pomarańcza wystarczy do

Jadłospis bez cienia zwierzęcia

sosu na cztery porcje sałaty. Kiedy talerze już kuszą różnymi odcieniami zieleni okalającymi buraki o barwie młodego burgunda, kładziemy na nie plastry lub grudki miękkiego koziego sera. Najlepsze z chlebem razowym bądź żytnim.

Na drugie danie – makaron z cukinią. Jedna średniej wielkości cukinia wystarczy dla dwóch osób. Przez wielkość średnią rozumiem gabaryty ogórka gruntowego. Cuki-



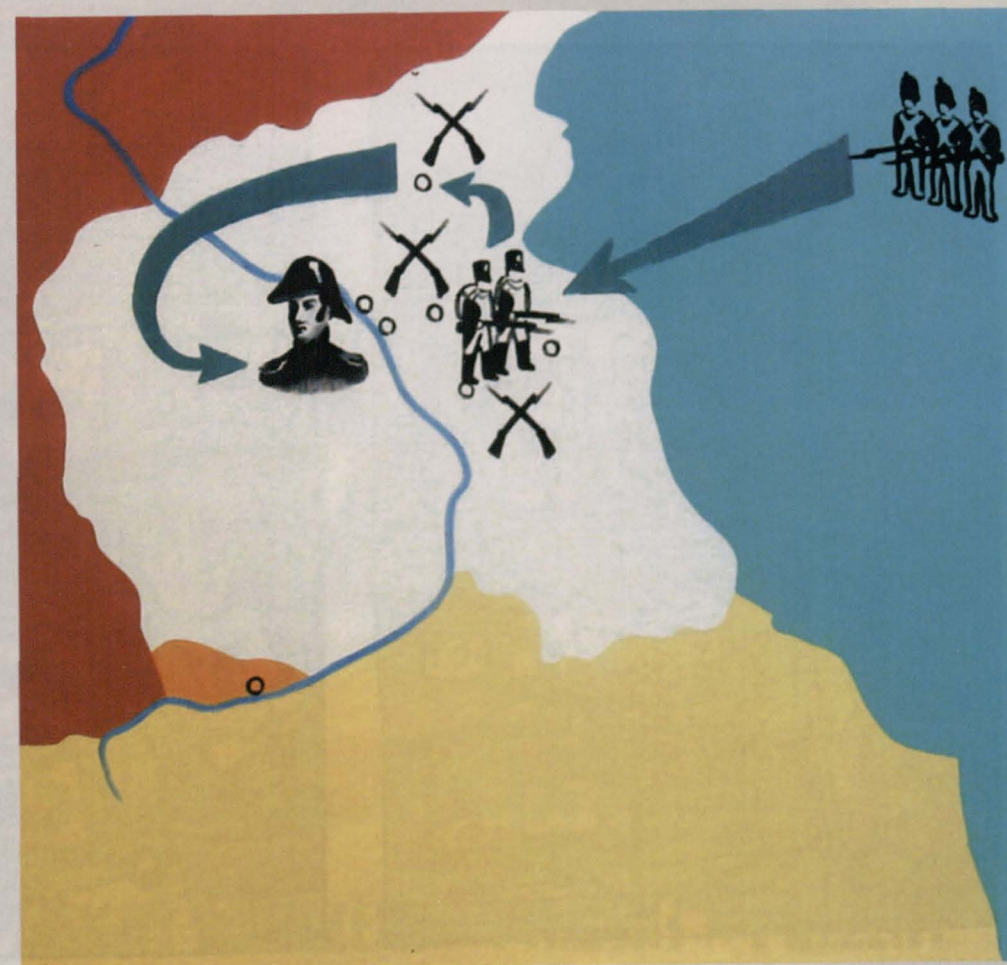
TADEUSZ PIÓRO

Starannie wszystko mieszamy i gotujemy na małym ogniu około kwadrans. Cukinia powinna być miękka, lecz nie sflaczała, niech ząb napotka namiastkę oporu z jej strony. Tylko odrobinę twardszy niech będzie makaron – cienkie rurki lub małe kolanka. Po odcedzeniu makaronu dodajemy do cukinii trzy łyżki mascarpone, ewentualnie pięć łyżek kremówki, ale to mascarpone jest kluczem do tego dania. Wrzucamy makaron do patelni z cukinią, bardzo starannie mieszamy z warzywami i topniejącym w oczach mascarpone, wyłączamy gaz i zostawiamy na minutę. Możemy posypać makaron i sos posiekaną natką pietruszki lub szalwią, lecz bez ziół, nawet bez parmezanu, świetnie można się obejść, a weganin i tak szczęśliwy. ■

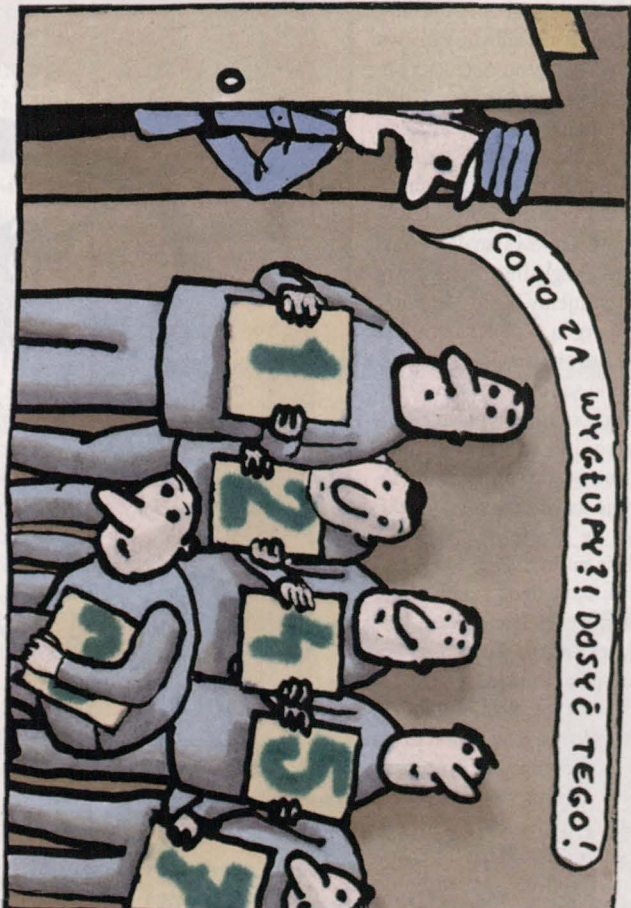
www.przekroj.pl/pioro

MACIEJOWSKI

ĆWIERĆ STRONY GRATIS



POWSTANIE LISTOPADOWE – RASTRA W POLSCE



1 a c z e j R A C Z K O W S K I

W M Y S L I I N A R Y S O W A Ł M A R E K R A C Z K O W S K I

TRAFIA W MĘSKIE POTRZEBY



W KIOSKU
OD 12.11.



PREZENT ★ PREZENT ★ PREZENT ★ PREZENT ★ PREZENT

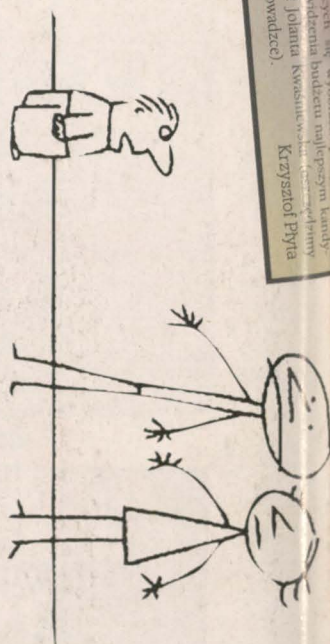
Rys. MAREK RACZKOWSKI



PRZYGOÓY STAPIŚCANA Z 2002:

BRZOŚKI
Dariusz Brzoška Brzoškievicz
DRZEWO
Drzewo głupie
Nie jest
I dlatego
Rośnie powoli

O zblazowaniu się w tym czasie, przesyłamy
zobaczmy, jak to wygląda. W tym czasie, przesyłamy
datam jest jolanta Krasulowa, która przesyła
na przeprowadzce).
Krzysztof Pyta



Rys. BARSOTTI/NEW YORKER

— Mamo, tato, czy ja jestem adoptowany?

Barsotti

altruistki

Milki Stankiewicz

Oszczędzając siły męża
Sama miej w kieszeni węza
Żeby wandal pożył dłużej
Sam wulgarnie pisz po murze
Aby spokój miał Wiśniewski
Sam prezentuj wokal kiepski
By oszczędzić księżu pracy
Sam się krzątaj wokół tacy
Jeśli wspomóc chcesz premiera
Sam djeżdżną poniewieraj
By Szymborska odpoczęła
Sam pisz za nią wielkie dzieła
Oszczędzając sił malarka
Sam się zabierz do pejzaża

KINOteatrzy

Przemek Jurka

CEKAWOSTKI ZE ŚWIATA:

Kino duńskie, pogrążone najwyraźniej
w wielkim kryzysie finansowym, radzi sobie
z kłopotami z podziwu godnym samozaparciem.
Oto jeden z taniejszych reżyserów Lars von
Trier w swoim filmie pt. „Dogville” zrezygnował
zupenie ze scenografii. Dekoracje zastąpił po
prostu wymalowanymi na podłodze konturami
ulic, budynków, pokoi. Jak widać: dla chcącego
nic trudnego. A nasi filmowcy potrąfają tylko
Pochylił się z szacunkiem nad inwencją
duńskiego reżysera, który siłą swego ducha
pokonał opór materii!

KURTYNA

(napis kredą na tablicy)

Z głowy...

Krzysztof Bilicy

SYTUACJE
DWUZNACZNE
SĄ JEDNOZNACZNE.

Rodzina Obłych KIWI

Patryk Pajdak

Oprócz kanapki syn Obły zabiera do szkoły jedno kiwi. Nie zjada go jednak, tylko na dużej przerwie podzucha do góry i łapie na różne sposoby. Dyrektor, który przechodzi korytarzem, odbiera chłopakowi owoc.
— To nie miejsce na takie zabawy – chce powiedzieć, ale nie może mówić.
Zamiast tego patrzy na kiwi, które coś mu przypomina. Tylko co? Może niespełnioną miłość, a może coś wręcz przeciwnego.

Rys. PAULUS MAZUR

Sondaże

Rafał Bryndał

O tym, czego słucham i co mam oglądać
Nie ja decyduję, tylko jakiś sondaż
Według niego wszystko jest zaplanowane
To, co mam w kieszeni, jak i na ekranie
To, co piję duszkiem, co biorę na katar
Jak często do kuchni w trakcie filmu latam
Z kim chciałbym wyjechać, o czym skrytyce marzę
Gdybym miał zapamiętać, przypomną sondaże
Dzięki nim wiadomo, co lubię najbardziej
Którą nogą tupię przy Rodzie Stewarcie
Gdzie spędzam wakacje i jak piórę brudy
Czy moim idolem jest wciąż doktor Judym
Jestem jak polityk, który ciągle zważa
Bez względu na kontekst na to, co w sondażach
Bez nich wręcz decyzji podjąć dziś nie mogę
Czy z kielbasą, bulką zjeść man, czy z twarogiem
Jakie mam poglądy? Czy chciałbym być gajem
Dzięki nim poznaję to, z czego się śmieję
Gdyby one znikły, jak na twarzy trądzik,
Pewnie bym nie wiedział, co w ogóle sądzić
Doszło już do tego, że się nie odważę
Przed byle decyzją nie zetrząść w sondaż
Po co intuicja i zdrowy rozsądek
Skoro one tworzą wokół mnie potrzaski?
One stymulują każdy gest i słowo
Na nich się opiera moja osobowość
Więc nawet poczułem się szczerze ujęty
Kiedy powiedziałas, że jestem przeciwny

